



George Gibbs



Ironia losu

PROLOG

Na brzegu jeziora rosły czerwone i żółte maki islandzkie — jaskrawe plamy barw na tle północnej przyrody.

Młoda dziewczyna zerwała kwiat, spojrzała na niego z roztargnieniem i przeniosła wzrok na pasmo gór.

Na szczytach leżał śnieg. Za jeziorem, w majestacie bieli, na przestrzeni ośmiu mil wznosiła się góra Wiktorii — kolos nad kolosami. Poniżej rzucały się w oczy barwne skały porośnięte sosnami.

Już od dwóch tygodni oglądała codziennie te góry. Przyzwyczajenie zrodziło obojętność. Dziki majestat już nie budził poprzedniego zachwytu. Odwróciła się i z niecierpliwością spojrzała w stronę hotelu, oczekując ukazania się przewodnika.

Miała jasne, puszyste włosy, smukłą, wyniosłą postać i piękne rysy twarzy, którym dodawał charakteru nieco przekorny wyraz. Przyjechała tu, nad jezioro Louizy z dziecinnej chęci zdobycia „wolności”. W Banfie, gdzie spędzała wakacje z przyjaciółmi, było nudno. Dziewczyna pragnęła samodzielności i marzyła o niezwykłych przygodach. Z dziecinnym biciem serca wpisała do księgi hotelowej nie swoje, tylko wymyślone nazwisko — Ellis Cherly. Brzmiało poetycznie i wydawało się jej symbolem zdobytej wolności.

Na ścieżce od strony stajni ukazał się jadący konno młody człowiek; prowadził za lejce drugiego osiodłanego wierzchowca. Zbliżywszy się do oczekującej na niego dziewczyny, przewodnik lekko zeskoczył z konia i zdjął kapelusz.

— Dzień dobry, panienko.

Głos miał niski i dźwięczny. Wyglądał malowniczo w czarnym, srebrem haftowanym kapeluszu, skórzanej kurtce myśliwskiej, wyszytej blaszkami i ozdobionej frędzlą, oraz w jedwabnej jaskrawoczerwonej chustce na szyi. Spodnie miał wpuszczone w wysokie buty ze skóry jeleniej. Zeskakując z siodła, zadzwonił srebrnymi ostrogami.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Ile razy już prosiłam, żebyś mnie nie nazywał panienką, Steve?

Przewodnik odpowiedział jej uśmiechem, ukazując mocne, białe zęby i schylił się, by podciągnąć popręgi.

— Myślałem — odparł po chwili — że to wchodzi w zakres moich obowiązków, tak samo, jak noszenie tego kostiumu. Trzeba jakoś pokazać wam, mieszkańcom z Nowego Jorku,

że rzeczywiście znaleźliście się na Dzikim Zachodzie. — Wyprostował się ze śmiechem i poklepał konia po lśniącej szyi. — Dokąd dzisiaj jedziemy, panienko?

— Steve, jesteś strasznie uparty — wzruszyła ramionami dziewczyna.

Nie doczekawszy się pomocy, wskoczyła na siodło i ruszyła na most rozpięty nad przepaścią. Przewodnik pojechał za nią, kręcąc papierosa.

Droga prowadziła w głąb lasu. Jakiś czas jechali w milczeniu pod górę. Słysząc było tylko głuchy stuk kopyt, oddechy koni i skrzyp siodeł.

Przewodnik nie rozpoczął pierwszej rozmowy. Na pytania dziewczyny o nazwy drzew, kwiatów i ptaków ożywiał się i odpowiadał szczegółowo. Jednak unikał rozmów o sobie; w ciągu tych dwóch tygodni, podczas codziennych spacerów, dziewczyna dowiedziała się tylko, że nie jest Kanadyjczykiem tylko Amerykaninem, że pracował na ranczach, był na wojnie i że nazywa się Steve.

Początkowo porównywała go ze swoimi znajomymi ze stolicy, a głównie z Geo Drackiem, swoją ostatnią sympatią. Teraz już nie wspominała Nowego Jorku. Steve'a trudno było mierzyć zwykłą miarą — czuła to instynktownie. Mimo swego teatralnego kostiumu i nieco rubasznej mowy miał w sobie coś, co wzbudzało szacunek i nie dopuszczało nawet myśli o drwinach.

Jego siła, męskość i spokojna godność, pociągały dziewczynę. W dodatku był młody i przystojny, o jasnych poważnych oczach, wysokim czole i zdecydowanej linii podbródka. Ellis drażniła nieco jego obojętność. Zdawało jej się, że nic go nie wzrusza, nawet to, że jego właśnie wybrała spośród wielu przewodników i na drugi dzień oświadczyła w biurze hotelu, że nie życzy sobie być oprowadzana przez innego, tylko przez Steve'a.

Była zepsuta powodzeniem u mężczyzn. Czyżby ten młody dzikus miał się oprzeć jej czarowi?

W dolinie, hen daleko, wiała się rzeka. Dziewczyna zatrzymała się na brzegu przepaści i poczekała, aż Steve się zbliżył.

— Jak pięknie, prawda? — szepnęła.

— Bardzo ładnie, panienko. To rzeka Bow.

— Wiesz, Steve, w hotelu zaczynają już szeptać z powodu tego, że codziennie jeździmy razem w góry.

To było nieprawdą, lecz pragnęła skierować rozmowę na osobiste tory. Zmyślane nazwisko, samotność, poczucie swobody dodawały jej śmiałości.

Przewodnik uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Tak? Zawsze znajdują się ludzie, którzy nie mają co robić i z nudów wtrącają się w cudze sprawy.

— Mnie to jest obojętne — spokojnie odparła dziewczyna. — Jeżeli panu też wszystko jedno...

— Mnie? Nigdy nie zwracałem uwagi na plotki.

— Właściwie sama jestem temu winna — chytrze dodała dziewczyna. — Chciałam jeździć tylko z tobą.

— Wiem o tym, panienko. Pewnie przyzwyczaiła się pani do mnie.

— Myśli pan? — szepnęła, patrząc na dalekie szczyty gór. — Nie wiem...

— Czego pani nie wie?

Po chwili udanego wahania śmiało odrzekła:

— Dotychczas nie mogłam pana rozszyfrować, Steve. Chciałam pana poznać i zdobyć jego zaufanie. Myślałam, że się zaprzyjaźnimy... Lecz pan jest taki... skryty. Zdaje mi się, że pan nie chce mojej przyjaźni.

Teraz nie patrzyła na niego, lecz czuła na sobie jego spojrzenie, zdziwione i zainteresowane. Udało się!

— To dla mnie wielki zaszczyt — rzekł powoli. — Nie śmiałem mieć nadziei na przyjaźń pani. Jestem... jestem bardzo szczęśliwy, gdyż pani jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem.

Zaśmiała się radośnie.

— Dlaczego przedtem nie mówiłeś mi tego?

Wzruszył ramionami i odwrócił się, spoglądając w dal, na góry z drugiej strony doliny. Z wyrazu jego twarzy zrozumiała, że rozważał jej słowa, starając się odgadnąć jej zamiary. Nie ważne, co myślał, byleby myślał o niej! Uśmiechnęła się, patrząc na jego profil i wyciągnęła dłoń:

— A więc, jesteśmy przyjaciółmi, Steve?

Uśmiechnął się niepewnie i spojrzał na nią otwartym, jasnym spojrzeniem.

— Naturalnie, panienko!

Ujrzawszy jej wyciągniętą dłoń, ujął jej palce i przez chwilę zatrzymał, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Ciepłe palce dziewczyny zacisnęły się w jego ręce.

— Teraz jesteśmy przyjaciółmi, czy chcesz tego, czy nie.

— Oczywiście, że chcę, panienko. Ja...

Schylił się w siodle i uściśnął mocno jej dłoń obydwoma rękami. Dziewczyna wyrwała rękę, spięła konia ostrogą i szybko odjechała. Przewodnik podążył za nią. Na skrzyżowaniu dróg stanęła i krzyknęła:

— Która ścieżka prowadzi do Rajskiej Doliny?

Nie rozumiejąc, o co jej chodzi, wskazał drogę.

2

Rajska Dolina, położona wśród gór, zasługiwała na swoją nazwę. Czy nie dlatego tak ją ludzie nazwali, że nie było w niej ani jednej siedziby ludzkiej? A może dlatego, że nie szła przez nią ani jedna szosa; zielona, bujna roślinność nie znała dymu samochodowego, a hordy turystów nie deptały trawy. Wesół szumiąc i kryjąc się wśród zieleni, spływała po kamieniach woda przezroczystego strumyka — rajskiego strumyka, jak go nazwał Steve. Naokoło panowała niczym nie zmacona cisza. Przyroda była tu świeża, dziewicza, jakby nigdy nie ruszona przez człowieka.

I tak samo jak w prawdziwym raju kobieta walczyła tutaj z pokusą. Towarzyszący jej mężczyzna budził w niej lęk i pociągał ją zarazem. Był dla niej kuszącym Niebezpieczeństwem i ponętą Przygodą... Ze strachem i przyjemnością napotykała gorące płomienie jego oczu, czuła, jak się w nim rozpala pożądanie i gaśnie, zdławione silną, zimną wolą. Nie po raz pierwszy znajdowali się w Rajskiej Dolinie, odpoczywając na brzegu strumienia, na skraju lasu lub wśród bujnej zieleni łąki...

Wczoraj sprowokowała go do pocałunku i, udając obrażoną, z całej duszy cieszyła się jego zakłopotaniem. Boże, jaki z niego głuptas! A przy tym taki dziwnie stanowczy w swej prostocie. Czyż to coś nadzwyczajnego, pocałować się z mężczyzną? W Nowym Jorku było to coś takiego, jak upudrowanie nosa. To najniewinniejsze i najprzyjemniejsze spędzenie czasu. Dziwnie jej było jakoś, gdy Steve z namiętną siłą objął ją, całując po raz pierwszy. Omal nie zadusiła się w jego uścisku. Było to nadzwyczaj ciekawe, lecz trochę straszne. W milczeniu powracali z Rajskiej Doliny, pogrążeni w swych rozmyślaniach.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że to, co się stało, zostało sprowokowane przez nią. Chciała tego i zasłużyła na takie traktowanie. Lecz on, zdaje się, wziął to poważnie. Z takim uwielbieniem patrzył na nią, że dziewczyna zaczynała odczuwać coś zupełnie nowego. Nowe i

dziwne uczucie. Piękny i silny przewodnik napawał ją lękiem i jednocześnie pociągał coraz silniej. Obiecała sobie pojechać z nim znów do Rajskiej Doliny.

Dziś znowu usiedli na brzegu strumyka. Dziewczyna usiadła blisko Steve'a i zapaliła papierosa. Oczywiście, nie mówili o miłości. Lecz dlaczego nie wykorzystać w pełni przyjemnej chwili — tym bardziej, że postanowiła przeżyć jakąś przygodę?

Spojrzenie Steve'a pałało ogniem, a w jego głosie dźwięczała tłumiona namiętność. A może spróbować? Zdawało się jej, że znalazła się w nowym, nieznanym jej świecie i że sama jest inna. Złudzenie to potęgował fakt, że żyła tutaj pod zmyślnym nazwiskiem i wiedziała, że nigdy więcej tutaj nie wróci.

— Ellis... Piękne imię — szepnął Steve. — I pani też piękna. Choć to imię jakoś nie pasuje do pani...

— Dlaczego?

— Nie wiem. Pani jest bardzo współczesną panną, wychowaną na nowych zasadach. Może dlatego.

— Mówi pan tak dlatego, że pozwoliłam się pocałować?

— Może... Ellis Cherly... imię i nazwisko, jak z powieści. Zresztą wciąż mi się wydaje, że pani naprawdę spłynęła z kartek jakiejś powieści.

— Przypuszczam jednak, że jestem bardziej naturalna.

— Oczywiście, zupełnie naturalna. Wiele czytałem o dziewczętach z Nowego Jorku, lecz nigdy nie myślałem, że tam są takie jak pani.

— Jest pan pewny, że wie, jaka jestem?

— Owszem. Jak dziki kwiat tutaj wyrosły, lecz zerwany i wysłany tam, do miasta... — Umilkł, a po chwili dodał: — Pani mnie rozmarzyła. Czy wyszłaby pani za mnie?

Dziewczyna drgnęła, przez chwilę dech jej zapało, lecz odparła cicho i spokojnie, kładąc głowę na jego ramieniu.

— Nie, Steve. Ja nigdy nie wyjdę za mąż.

Ręka, która ją obejmowała, zadrżała.

— Dlaczego?

— Bo małżeństwa są zawsze nieszczęśliwe, a ja chcę być szczęśliwa!

— A teraz jest pani szczęśliwa?

— O, tak!

Odwróciła twarz w jego stronę i ich usta spotkały się.

Długo trzymał ją w uścisku, potem odsunął się, powoli wstał i odszedł. Stał nad brzegiem jeziora, patrząc na ciemne odbicie gór w wodzie.

— Co się stało, Steve? — spytała, poprawiając rozwichrzone włosy.

Nie odrzekł ani słowa, nawet nie odwrócił głowy.

— Będzie pan nieszczęśliwy, jeśli ożeni się ze mną — zwróciła się do jego pleców. — Nie mogę mieszkać na wsi. A pan... pan przywykł do tego życia i czułby się źle w mieście.

Lekkie zająknięcie nie uszło jego uwagi.

— Chce pani powiedzieć, że w Nowym Jorku wstydziłaby się mnie pani? — odparł spokojnie, nie odwracając się.

Dziewczyna zachmurzyła się. Zgadł jej ukrytą myśl. Lecz po co psuć nastrój tak pięknej chwili?

— Nie mów głupstw, Steve! Chodź tu.

Nie ruszył się z miejsca.

— Pani bawiła się mną — rzekł ponuro.

— Ach, no co też pan...

— Proszę zaczekać! To trzeba rozważyć — odparł powoli, jakby głośno myśląc, i siadł na kamieniu oddalonym o dwa kroki od niej.

— Ot, jak mnie się to przedstawia: każde z nas rozmaicie patrzy na świat. Współczesne dziewczęta mają nowe idee. Chcą żyć swobodnie, jak mężczyźni, robić, co same chcą... Nie oskarżam was. To wasze prawo — żyć, jak chcecie...

Dziewczyna słuchała z zaciekawieniem.

— Lecz zdawało mi się, że pani inaczej odnosi się do mnie niż do innych — dodał po chwili i nagle roześmiał się. — Głupio, prawda? Pani zwyczajnie nudziła się sama, a ja myślałem, że pani... że pani kierowała się uczuciem do mnie.

— Oczywiście, że tak! Przestań mówić głupstwa, Steve!

Lecz jego nie tak łatwo było oderwać od myśli, które go pochłoneły.

— Przecież to wszystko prawda, co mówiłem? Dziewczyna patrzyła przed siebie, kapryśnie krzywiąc usta.

— Po cóż pan pyta, jeśli tak dobrze wie?

— Jeszcze nie wszystko wiem — odparł spokojnie. — Zdaje się, pani mnie niezupełnie zrozumiała. Powinienem więcej wiedzieć o pani, zanim...

Wzruszyła ramionami.

— Nie jest pan pierwszym mężczyzną, który mnie całował.

— Wiem. Odczułem to, gdy panią całowałem. Lecz mimo to jestem gotów ożenić się z panią.

Spojrzała na niego ze zdumieniem nie wiedząc, czy się pogniewać, czy roześmiać. Wspaniałomyślnie zdecydował się z nią ożenić, chociaż nie była jego warta. To wyznanie czy głupi żart?

Gniew ustąpił i śmiech zamarł jej na ustach, pod spokojnym spojrzeniem jego szafirowych oczu. Nagle jego słowa przestały być śmieszne i bezczelne. Odwróciła się, nie wiedząc, co powiedzieć.

Przewodnik wyjął tytoń i bibułki, w zamyśleniu zaczął kręcić papierosa.

— Teraz zrozumiałem — powiedział, wstając. — Pani bawiła się mną z nudów.

Zapalił papierosa, ochraniając płomień ręką, wypuścił kłęb dymu patrząc, jak go wiatr rozwiewa. Następnie spojrzał na duży nikłowy zegarek i rzekł zdecydowanie:

— Pora wracać do hotelu.

Drgnęła, jakby ją uderzył. Lecz młody człowiek tak był pochłonięty swymi myślami, że nie zauważył tego.

Dziewczyna była bliska płaczu, pełna obrazy i wstydu. Cały jej urok, kokietowanie na nic. Steve szedł już w stronę pasących się koni.

— Steve! — krzyknęła za nim. — Jeszcze wcześniej! Chodź tu!

Wskazała na trawę obok siebie. Przewodnik odwrócił się i bez słowa poszedł dalej. Oddalał się i wymykał. Jej ambicja nie mogła tego znieść.

— Steve!

Zerwała się i pobiegła za nim, zapominając o dumie, o swej godności, myśląc tylko, by go zatrzymać, nie pozwolić mu odejść. On, zdawało się, nie słyszał.

Dziewczyna dopędziła go, zaszła mu drogę, ujęła go za rękę.

— Steve! Jak możesz tak się zachowywać!

— Ellis, ja...

— Nie możemy rozstać się w ten sposób! Ja tego nie zniosę...

Opuściła głowę i nagle duże łzy spłynęły na jego dłonie. Steve niespodziewanie objął ją w pól.

— Dlaczego płaczesz? — szepnął przerażony, czując wyrzuty sumienia i poryw żalu.

— Nie chcę, byś odchodził tak ode mnie... Nie chcę...

Wytarł jej oczy końcem swej czerwonej chustki, a ona przytuliła jego głowę do siebie.

— Pocałuj mnie, Steve! Kocham cię! Dlaczego mi nie wierzysz?

Osunęli się na murawę i nagle świat przestał istnieć wokół nich.

3

W drodze powrotnej, gdy ścieżka była dość szeroka, Steve jechał obok niej, trzymając dziewczynę w pól. Mówił o ślubie jak o sprawie zdecydowanej, do której brak tylko obrączek i księdza. Ellis — milczała — była przestraszona. Pomimo pozorów zwycięstwa, czuła że on jest silniejszy od niej, i nie miała odwagi oponować. Taki człowiek jest zdolny do niezwykłych rzeczy. Mógł, na przykład zmusić ją do zawarcia ślubu jeszcze dziś, widząc, że ona się waha. Na szczęście, przyjął jej milczenie jako zgodę.

Zanim dojechali do hotelu, poprosiła:

— Pożegnajmy się tutaj, Steve.

— Do jutra — rzekł, pochylając się na siodle i czule tuląc ją do siebie.

— Do jutra — powtórzyła ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Niczego nie żałujesz?

— Nie, Steve.

— Postaram się, żebyś była ze mną szczęśliwa, Ellis. Tak ciebie kocham...

Uśmiechnęła się; przyszło jej do głowy, że nawet nie zna jego nazwiska. Dziwne! Nie spytała się jednak i w milczeniu oddała mu pocałunek. W tej chwili zdawało jej się, że go kocha. W duszy nagle poczuła pragnienie, aby rzucić wszystko, oddać swoje życie w jego silne dłonie i iść za nim wszędzie.

Poryw szaleństwa minął. Oswobodziła się z jego objęć i odwróciła się. Wyobraziła go sobie w nowojorskim salonie, śmiesznego, niezgrabnego, w źle skrojonym smokingu... Tu, w malowniczym stroju, na tle dzikiej przyrody miał urok, wydawał się zręczny i piękny. Lecz w mieście! Przyjaciele wyśmieją ją! Nie, nie, niemożliwe! To nie może się stać!

Usłyszała jego głos jak z oddali:

— Ellis, przyjdiesz jutro? O tej samej porze?

— Tak — odparła zdławionym głosem, nie patrząc na niego.

— Jutro. Jak zwykle.

Wyjechali z lasu, przejechali most. Na brzegu jeziora zeskoczyła z siodła i powoli poszła aleją w stronę hotelu. Steve złapał cugle jej konia i stępa skierował się w stronę stajni.

Na skrzyżowaniu alei dziewczyna zatrzymała się na chwilę i odwróciła, przesłała mu ręką pozdrowienie na pożegnanie i patrzyła chwilę za nim, aż znikł jej z oczu.

W hotelu zdecydowanie skierowała się do biura i zamówiła samochód na jutro rano.

4

Nazajutrz Steve oczekiwał, jak zwykle, w miejscu, gdzie się codziennie rano spotykali. Dochodziła jedenasta. Dzień zapowiadał się upalny. Konie stały z opuszczonymi głowami. Zapalił trzeciego papierosa i z niecierpliwością spojrzął w stronę hotelu.

Całą noc spędził na rozmyślniach. — Ożenię się z Ellis zaraz. W Hektorze mieszka ksiądz. Zamiast na codzienny spacer pojedę jeszcze dziś do niego. Biedna Ellis! Potrzebny jej silny człowiek, który by się nią opiekował. Potrzebny jej przewodnik w życiu, by nie zeszła na manowce.

Uśmiechnął się. Dziwne, że ją poprosił, by wyszła za niego za męża. Słowa same wyrwały mu się z ust. Właściwie wcale nie miał zamiaru żenić się... O, jeszcze nie tak prędko... No, i Ellis nie była podobna do dziewczyny, o jakiej marzył. Podobały mu się skromne, gospodarne kobiety. Emancypowane, współczesne dziewczęta nie nęciły go. Lecz tę gorąco pokochał.

Nic o niej nie wiedział. Może nie ma nikogo z rodziny? Tym lepiej... Jakoś dadzą sobie radę. Całe życie poświęci dla niej. Zdaje się, że ona ma pieniądze. To też dobrze, gdyż będzie mogła sobie pozwolić na wszystkie wygody, do których przywykła, dopóki on będzie pracować i torować sobie drogę... Zamieszkają w Danwern, bo Ellis nie lubi wsi. Tam znajdzie dobrą posesję... Lub kupią małe ranczo koło Danwern i będą hodowali konie. To przynosi dobre zyski...

Ellis! Czuje się winny w stosunku do niej. Będzie dla niej zawsze dobry, cierpliwy... Jego żona! Wszystko zrobi, by ona również była z nim szczęśliwa, żeby nigdy nie żalowała, że wyszła za niego...

Steve spojrzął na zegarek. Dziwne, Ellis nigdy się nie spóźniała. Może chora?

Odwrócił się na odgłos kopyt końskich. Od strony hotelu zbliżał się inny przewodnik.

— Steve, pięć osób dla ciebie! Wycieczka w góry o jedenastej.

— Jestem zajęty — odparł — mam inną wycieczkę.

— Kazano mi ci powiedzieć, żebyś był gotów na jedenastą. Lepiej zapytaj się w biurze!

Steve przywiązał konie i poszedł w stronę hotelu, dźwięcząc ostrogami. Widocznie zaszło jakieś nieporozumienie. Dlaczego Ellis nie przyszła?

— Może pomyliłeś się w godzinach, Jim — rzekł, torując sobie drogę do urzędnika hotelowego wśród turystów tłoczących się w hallu. — Dziś, jak zwykle, jadę z miss Cherly.

— Miss Cherly wyjechała rano do Banfu.

— Wyjechała?

Steve popatrzył na urzędnika szeroko otwartymi oczami, jakby rażony piorunem.

— Jesteś pewny, Jim? — wyjąkał z trudem.

— Najpewniejszy. Osobiście zamówiłem dla niej samochód wieczorem.

Przewodnik odwrócił się powoli i wyszedł na ulicę. Ellis wyjechała! Nie było wątpliwości. Zakpiła z niego. Porzuciła, wyjechała bez pożegnania, nie zostawiając nawet kilku słów!

Nawiedzony nagle jakąś myślą, powrócił do hotelu i wszedł do biura pocztowego.

— Czy miss Ellis Cherly zostawiła swój adres? — zapytał uprzejmie urzędniczkę.

Panienska spojrzała do księgi.

— Nie, nie zostawiła, tylko powiedziała, że jedzie wprost do Nowego Jorku.

— Dziękuję — spokojnie odparł Steve.

Nie pojechał w góry z turystami. Rozsiodłał konie, zdjął mundur przewodnika, zapakował swoje dwie zniszczone walizy i wsiadł do autokaru jadącego na dworzec kolejowy.

W hotelu byli mu winni za dwa tygodnie. Pieniądzy tych nie wziął. Jej pieniądze spaliłyby mu ręce.

Rozdział I

SIOSTRY

Mimo że Mary i Polly Freeman zupełnie nie były podobne do jej dwóch córek, pani Ben szczerze przywiązała się do obydwu dziewcząt. Znajomość zawarta w pociągu w krótkim czasie zamieniła się w serdeczną przyjaźń; zdecydowano dalej podróżować razem.

Do chwili przyjazdu do Banfu, historia obydwu rodzin została omówiona piąte przez dziesiąte. Mary Freeman rozumiała, że pani Ben żywi ambitne plany co do przyszłości swych córek. Pozycja towarzyska na przedmieściu Chicago nie odpowiadała ogromnej fortunie, zdobytej niedawno przez ich ojca, Augusta Bena, fabrykanta konserw. Waszyngton był dla nich Mekką i na przyszły sezon została już tam wynajęta willa. Mary Freeman bawiła nieco ta chęć świeżo upieczonej milionerki wprowadzenia za wszelką cenę córek do „wyższych sfer” lecz dobroduszość pani Ben usposabiała ją przychylnie do tej niemłodej kobiety.

Z kolei pani Ben dowiedziała się wiele o losie sióstr Freeman, których samodzielność i praktyczność życiowa stanowiły jaskrawy kontrast z jej własną, ubogą i nudną przeszłością. Freemanowie zawsze byli bogaci — oczywiście nie tak, jak oni obecnie, jednakże wystarczająco, by wieść niefrasobliwe życie w Nowym Jorku, wiele podróżować i robić, co się im podobało. Mary miała dwadzieścia dwa lata, Polly dwadzieścia. Rodzice umarli im prawie jednocześnie, przed czterema laty. Początkowo mieszkała z nimi leciwa dama do towarzystwa, z którą panny rozstały się z powodu nieporozumień, z winy Polly.

Mary opowiedziała o tym pani Ben tonem pewności siebie, która nawet ją mocno uraziła. Lecz w zapatrywaniach dziewczyny było tyle czystej prostoty, że pani Ben słuchała z zaciekawieniem, choć nie podzielała jej przekonań. W jej oczach Mary zyskała wiele z powodu poczucia odpowiedzialności, jakie objawiała w stosunku do swej młodszej siostry. Mary była głęboko przejęta tym uczuciem i w chwili szczerości opowiedziała nowej przyjaciółce o przyrzeczeniu, jakie dała matce przed jej śmiercią — kochać Polly i opiekować się nią.

Polly była roztrzepana i lekkomyślna, lecz Mary nie wątpiła, że zdoła wypełnić dane matce przyrzeczenie.

W Banfie wszystkie panie zamieszkały w jednym hotelu. Mary, pozostawiwszy młodszą siostrę pod opieką pani Ben, wyjechała na dwa tygodnie do przyjaciół. Polly, ku najwyższemu zgorszeniu pani Ben, zniknęła z hotelu pewnego pięknego poranka, pozostawiając jedynie kilka

słów do niej z wiadomością, że wyjeżdża z wizytą do Proktorów. Leciwa niewiasta gorzko żalowała, że wzięła odpowiedzialność za lekkomyślną dziewczynę.

O tym i wielu innych rzeczach myślała pani Ben, siedząc z robótką szydełkową na werandzie hotelu i patrząc za Natalią i Zofią, swymi córkami, które pluskały się w basenie. Chwała Bogu, jej córki nie były ani tak nieodpowiedzialne jak Polly, ani wyzywająco pewne siebie jak Mary! Pani Ben zdawała sobie sprawę, że jej uwielbianym córom brak, niestety, przymiotów, którymi los obdarzył ich nowe przyjaciółki — elegancji, poczucia własnej godności i uroku.

Rozmyślenia pani Ben zostały przerwane nagłym ukazaniem się Polly.

— Droga pani Ben! — zaszczębiotała dziewczyna, wbiegając po schodach werandy. — Pani zapewne myślała, że ja już nigdy nie wrócę!

Polly schyliła się i ucałowała serdecznie starszą panią w oba policzki.

— Dobrze spędziłaś czas, kochanie?

— O, wspaniale! Proktorowie jutro wyjeżdżają, więc postanowiłam wrócić! Czy Mary już jest?

— Nie, kochanie. Oczekuję jej pojutrze.

— A!

Dziewczyna usiadła na kamiennej balustradzie werandy i rzekła tajemniczym tonem:

— Chcę panią prosić o jedną rzecz, missis Ben!

— Proszę cię, Polly. Z chęcią zrobię dla ciebie, co będzie w mojej mocy.

— Chodzi o to, by pani nic nie mówiła Mary o mojej podróży! Mary okropnie się czepia o każde głupstwo. W dodatku nie lubi Proktorów.

— Ale Zofia i Nata na pewno jej powiedzą!

— Nie. Jeżeli je o to poproszę, to nie powiedzą. Przecież pani nic nie ma przeciwko temu.

Pani Ben milczała, zastanawiając się nad dziwną prośbą Polly.

— Zresztą to nie ma znaczenia, skoro wróciłam, prawda? — przymilając się do pani Ben, argumentowała dziewczyna. Patrzyła na nią błagalnie.

Pani Ben uśmiechnęła się, ustępując jej prośbie.

— Dobrze — rzekła śmiejąc się. — Jednak pod warunkiem, że zwolnisz mnie od odpowiedzialności za wszystko, co robiłaś.

— No, oczywiście! Jaka pani miła i dobra! Polly serdecznie uściskała pocziwą kobietę.

W kilka dni po powrocie Mary Freeman pani Ben zajęła się przygotowaniem do odjazdu. Przed rozstaniem się z młodymi przyjaciółkami, chcąc zacieśnić węzeł przyjaźni, zaprosiła je na kilka dni do siebie, do Chicago. Benowie przenieśli się już z podmiejskiej willi do dużego hotelu, oczekując na urządzenie wspaniałego pałacu w Waszyngtonie.

Ubierając się u siebie w pokoju, siostry rozmawiały o tym zaproszeniu.

Mary siedziała przed lustrem w niebieskim kimonie i starała się zapudrować ślady opalenizny na twarzy i szyi. Polly, pólżąc na kozetce, patrzyła w okno, na gasnącą zorzę wieczorną. Siostry były mało do siebie podobne. Jedyne w wyrazie oczu można było doszukać się rodzinnego podobieństwa. Polly była bardzo ładna, o śnieżnej cerze, delikatnym rumieńcu i krótkich włosach koloru dojrzałego zboża. W rysach jej twarzy było coś niedojrzałego i nieokreślonego. Rysy twarzy Mary były prawidłowe i wyraźne. Oczy szarobłękitne, jak u siostry, wydawały się bardziej jasne i głębokie przy złocistokasztanowych włosach.

Mary, zajęta sobą, nie zauważyła ponurego usposobienia siostry. Z miłą chęcią zgodziła się na przyjęcie gościny w Chicago, która urozmaici im długą i nużącą podróż. Pani Ben była taka dobra i miła dla nich i szczerze pragnęła spędzić z nimi jeszcze kilka dni. Ku wielkiemu zdumieniu siostry, Polly zgodziła się natychmiast na ten projekt, mimo że zwykle oponowała, jeśli coś nie było jej pomysłem.

Mary spojrzała na młodszą siostrę i zdziwiła się, widząc jej ponury i przygnębiony wyraz twarzy.

— Co ci jest, Polly? Nudzisz się?

— Tak.

— Myślałam, że dobrze się bawiłaś podczas mojej nieobecności.

— Ach, te góry! Działają mi na nerwy! Chcę wyjechać już dziś wieczorem.

Polly mówiła prawie szeptem. Mary zbliżyła się do niej i serdecznie ją objęła.

— Boli cię głowa?

— Nie martw się — rozkapryszonym tonem zbyła ją Polly. — Zostaw mnie. Jestem zupełnie zdrowa.

— Więc co ci jest? Nigdy nie widziałam cię w takim nastroju — denerwowała się Mary.

— Znudziło mi się tu, i tyle! Idź na dół, na obiad. Zejdę, jak się ubiorę.

Mary w milczeniu spojrzała na siostrę, potem powróciła do lustra i poprawiła swoje bujne włosy. Wiedziała z doświadczenia, że nie warto było nalegać i wypytywać, gdy Polly kaprysiła.

W drzwiach Mary odwróciła się.

— Postaraj się być uprzejmą dla pani Ben i jej córek, jak zejdiesz na obiad!

— Uprzejma? — burknęła Polly. — Nie rozumiem, po co ona do nas się przyczepiła. Przypuszczasz, że jesteśmy jej potrzebne w Nowym Jorku? Bo ja tego nie uważam.

— Ach, Polly, sądziłam, że pani Ben podoba ci się...

Młodsza siostra wzruszyła ramionami.

— Zgadzam się z nimi podróżować, nie mam jednakże zamiaru przyjaźnić się z nimi całe życie!

— A ja lubię Benów i przyjmę ich zaproszenie. Polly wzięła suknię z krzesła i ze złością ją strzepnęła.

— Rób, jak chcesz, mnie wszystko jedno!

Mary raz jeszcze obrzuciła ją długim, badawczym spojrzeniem i wyszła z pokoju.

Kaprysy Polly działały jej na nerwy. Zamiast mówić słowa pełne troski, wołałaby skrzyknąć swoją lekkomyślną siostrę i zmusić ją do opamiętania. Zdecydowała jednak pozostawić ją na razie w spokoju; czuła, że w przeciwnym razie pokłóć się na dobre i wieczór zejdzie im na wymianie zarzutów.

Mimo wad Polly, Mary głęboko kochała siostrę. Polly była egoistką. Lecz która z współczesnych dziewcząt nie jest egoistką? Mary uważała, że ona sama zepsuła charakter Polly, pieszcząc ją zbyt i niepotrzebnie dogadzając jej we wszystkim, jednak była pewna, że Polly kocha ją nad wszystko na świecie. Pomimo częstych sprzeczek, wywołanych chęcią pokazania swego autorytetu przez Mary, Polly zawsze była z nią szczerą i obdarzała ją pełnym zaufaniem.

W Chicago nowe kaprysy Polly przysporzyły Mary wiele nieprzyjemności. Pani Ben robiła wszystko, co tylko mogła, żeby dziewczynie było wesoło. Obiady, spacer, teatry miały gościom uatrakcyjnić pobyt. W magazynach, przy kupowaniu nowych toalet, córki pani Ben kierowały się gustem i radami Mary i Polly. Kiedy indziej Polly byłaby zadowolona. Obecnie, zdawało się, nic ją nie zajmowało. Chwile krótkiego entuzjazmu były przeplatane napadami złego humoru. Nie zwracała najmniejszej uwagi na uwielbienie i dziecinną przyjaźń Natalii i często zbywała ją opryskliwie; nawet do pani Ben odnosiła się niegrzecznie.

Dopiero w kilka tygodni po powrocie do Nowego Jorku Mary przekonała się ostatecznie, że z Polly dzieje się coś niedobrego. Napady wyjątkowej wesołości następowały po chwilach pełnego milczenia. Całymi dniami pozostawała u siebie w sypialni, nie chcąc widzieć nikogo, nawet Geo Dracka, z którym przedtem na zabój flirtowała. Na pytania Mary odpowiadała niechętnie, monosylabami. Koniec końców, nadszedł odpowiedni moment. Mary postanowiła wyjaśnić, czy Polly jest potrzebna tylko przyjacielska pomoc, czy porada lekarska.

Weszła do pokoju bez pukania. Polly leżała na kozetce z twarzą zakrytą rękami. Miała taki dziecinny, bezradny wygląd, że serce Mary ścisnęło się ze współczucia. Szybko podeszła do siostry.

— Polly! Powiedz mi, co ci jest? Co się z tobą dzieje?

Dziewczyna drgnęła i podniosła głowę.

— A, to ty — szepnęła.

— Musisz mi powiedzieć, co ci jest!

— Nic! Zostaw mnie w spokoju.

— Nie, moja droga, i tak długo o nic się ciebie nie pytałam. Co cię męczy, Polly? Ja muszę wiedzieć. Powiesz mi, Polly?

— Nie, nic mnie nie męczy! O co ci chodzi? Dlaczego nie mogę spokojnie wypoczywać w swoim pokoju? Dlaczego nie mogę robić, co mi się podoba?

W głosie jej dźwięczały histeryczne nuty i łzy!

— O — pomyślała Mary — lepsze to niż milczenie. Lżej jej będzie, jak wypłacze swój ból.

— Polly — nalegała serdecznie, obejmując siostrę — wiesz przecież, że cię kocham nad wszystko na świecie. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

Pieszczoty siostry wzruszyły Polly. Zaszlochała, kryjąc twarz w poduszkach.

Mary klękała przy kozetce, pocieszając siostrę jak w czasach dzieciństwa. Wierzyła, że jej przygnębienie pochodzi z jakiejś błahej przyczyny i że się uspokoi, gdy o tym powie. Lecz instynkt wewnętrzny mówił jej, że te łzy — nie są dziecinne. Tak płacze poniżona i dotknięta w swej godności kobieta. Przestrasz ją ogarnął na myśl, że ból siostry może pochodzić z przyczyn, których nie podejrzewała. W oczach Polly była rozpacz nie mająca granic i strach...

Łkanie siostry Mary odczuwała jak własne.

— Powiedz mi, Polly, droga! — miękko nalegała. — Zaufaj mi. Powiedz wszystko.

— Nie! Nie mogę — usłyszała zdławioną odpowiedź. — Nie mogę...

— Chcę ci pomóc. Jestem pewna, że będę mogła ci pomóc! Obiecałam opiekować się tobą i dotrzymam przyrzeczenia choćby nie wiem co. Powiedz, co cię napełnia taką rozpaczą! Zrobię wszystko, żebyś znów była szczęśliwa!

— O, Mary... Mary... Wstyd mi spojrzeć ci w oczy...

Powoli, z wysiłkiem, Polly opowiedziała swoją historię. W duszy Mary przerażenie walczyło z litością i męczyła ją świadomość własnej odpowiedzialności za nieszczęście siostry. Starła się słuchać spokojnie, zachować zimną krew, lecz gniew i rozpacz zalewały jej duszę, mąciły rozsądek. Mary czuła, że musi się zdobyć na coś więcej niż udział w nieszczęściu siostry, lecz nie znajdowała słów. Spowiedź Polly przeszła w chaotyczne usprawiedliwienie i skargę.

Mary siedziała nieruchomo, z suchymi oczami, patrząc niewidzącym wzrokiem na ja-skrawy rysunek tapety. Słońce wpadało potokami w otwarte okno; zwykle wesole dźwięki dochodziły z ulicy... W sąsiednim domu ktoś grał na fortepianie, słychać było słodki głos kobiecy... Wszystko wydawało się snem. Rzeczywistością była tylko postać leżąca na kozetce, wysmukła dziewczęca postać, kryjąca w sobie straszną tajemnicę...

— Mary! — zadźwięczał stłumiony głos — dlaczego milczysz? Przeklnij mnie, bij mnie... Wszystko zniosę... Tylko powiedz coś!

— Polly... — jęknęła siostra.

— To okropne, Mary. Lecz trzeba coś wymyślić. Co zrobić?

Polly wyprostowała się i odwróciła w stronę siostry. Mary ścisnęła oburącz głowę, starając się wmówić w siebie, że wszystko, co słyszała, było koszmarem, że koszmar zaraz zniknie i wszystko będzie jak dawniej... Ledwie poczuła, jak palce Polly ścisnęły jej ramię...

— Musisz mi pomóc, Mary — namiętnie szepnęła Polly. — Postąpiłam jak szalona. Lecz wiele dziewcząt czyni to samo...

— Cicho, Polly... Nie mów nic... Daj mi się opamiętać...

Starsza siostra powoli wstała i zbliżyła się do okna.

— Och, Mary, nie bądź bez serca! Gdybyś nie wyjechała z Banfu, nigdy by się to nie stało.

— Boże mój, czy ty myślisz, że ja o tym nie wiem? Nie rób mi zarzutów, mnie i tak ciężko! Jestem wszystkiemu winna! Powinnam była lepiej cię znać! Lecz to... O, Polly, jak mogłaś? Podły! — dodała Mary z nienawiścią.

— Mary, on nie jest winien. Postąpiłam źle, lecz nie chcę, byś winiła jego. On mnie kochał, wiem o tym. Chciał się ze mną ożenić. Lecz ja się przestraszyłam i uciekłam. Obawiałam się, że ulegnę i naprawdę wyjdę za niego.

— Byłoby to twoim wybawieniem! — Mary spacerowała po pokoju, łamiąc rękę. — Przynajmniej uniknęłabyś hańby!

Zatrzymała się i spojrzała siostrze w oczy.

— Gdzie on jest teraz?

Polly rozłożyła bezradnie ręce.

— Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Czyżbyś chciała...

Oczy Mary błysnęły zdecydowaniem.

— Musimy go odnaleźć! Musimy...

4

Mary całkowicie zdawała sobie sprawę ze swej odpowiedzialności. Przed czterema laty śmiało wzięła na swe barki opiekę nad siostrą, nie wątpiąc w swe siły, przekonana, że jej miłość odgrodzi lekkomyślną Polly od życiowych burz...

Starła się teraz przekonać siostrę o konieczności podróży do Banfu, by odnaleźć Steve'a, lecz Polly nie chciała nawet o tym słyszeć. Mary błagała ją, gniewała się, denerwowała i płakała. Polly była niewzruszona w swoim uporze. Wreszcie zrozpaczona Mary zdecydowała się pojechać sama.

W pociągu mknącym na zachód wiele myślała, kreśliła różne plany, lecz wszystkie te projekty i postanowienia kończyły się samooskarżeniem.

Nie można było winić pani Ben. Polly wyjechała, nie zadając sobie nawet trudu, by uprzedzić osobiście dobrą kobietę. Żadni Proktorowie, rzecz jasna, nie istnieli. Polly wymyśliła ich, lecz pani Ben nie mogła o tym wiedzieć. Nie mogła również wiedzieć, że dziewczyna udała się nad jezioro Louizy. Nikogo nie można winić oprócz samej Polly i jej, Mary. Nie powinna była zostawić siostry bez dozoru. Polly zawsze była narwana i lekkomyślna — niebezpieczne cechy charakteru dla dziewczyny z jej urodą. Poczucie winy jak kamień gniotło jej duszę. Polly nigdy nie odważyłaby się uciec, gdyby ona była w Banfie!

Przed jej wyjazdem z Nowego Jorku między siostrami miała miejsce dramatyczna scena. Przerazona Polly błagała siostrę, by nie jechała. Zamiast wyjścia za męża za przewodnika Polly wolała zastosowanie innych środków ratunku. Mary dojrzała wreszcie prawdziwe oblicze siostry; przekonała się o zupełnym braku u niej jakichkolwiek zasad moralnych. Miała wrażenie, że rozmawia z jakąś obcą kobietą, ujrzała siostrę po raz pierwszy w prawdziwym świetle...

Wyraźniej niż kiedykolwiek zrozumiała, że jest tylko jedno wyjście: znaleźć tego człowieka, tego przewodnika, gdzie by się nie znajdował, przywieźć do Nowego Jorku i natychmiast wydać za niego Polly.

Ze strachem i nienawiścią myślała o tym, jakie spotkanie oczekuje ją u celu koszarnej podróży. Z chaotycznych opowiadań Polly trudno było sobie zdać sprawę, co to za człowiek. Był przewodnikiem w hotelu nad jeziorem Louizy, był wysoki, miał ciemnoniebieskie oczy i kasztanowe włosy, nazywał się Steve! Nic więcej Mary o nim nie wiedziała, lecz miała nadzieję, że to wystarczy, by go odszukać. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że musi go znaleźć i groźbą, błaganiem, czy też pieniędzmi zmusić, by przyjechał do Nowego Jorku.

Gdy przybyła do Banfu, Mary postarzała się o kilka lat. Gorycz i poczucie odpowiedzialności zgasiły w niej dawną radość życia.

W spokojnej wiosce pokrytej śniegiem z trudem rozpoznała wesoły, przepelniony turystami Banf, który przed dwoma miesiącami opuściła. Ciężka mgła spowiła szczyty gór, rzeka Bow z głuchym szumem toczyła swe czarne, groźne wody. Hotel, w którym mieszkała z Benami, był zamknięty. Mary znalazła mały hotelik, zostawiła w nim walizkę, by nie tracić czasu, udała się natychmiast do biura towarzystwa, które dostarczało w każdym sezonie środków lokomocji oraz przewodników hotelom w Banfie i nad jeziorem Louizy.

Za biurkiem siedział urzędnik, przeglądając papiery. Wymieniając zmyślane nazwisko. Mary usiadła na krześle i wyłożyła cel swoich odwiedzin.

— Steve?... Hm... — zamyślił się urzędnik. — Tak, pamiętam. Wyjechał od nas w pełni sezonu. Wysoki, elegancki chłopak... Co pani chce od niego, jeśli można wiedzieć — zapytał uprzejmie.

Mary była przygotowana na to pytanie i odrzekła z uśmiechem:

— To już nie ma znaczenia, nieprawdaż?

— Oczywiście, oczywiście... Zapytałem dlatego, że on opuścił nas tak niespodziewanie, w samej pełni sezonu, gdy i tak było za mało przewodników. Byliśmy mu winni pieniądze, wynagrodzenie za dwa tygodnie, a on nawet nie przyszedł do biura. Wyjechał, nikogo nie uprzedzając.

— Więc nie wiadomo panu, gdzie on się obecnie znajduje? — niepewnie pytała Mary.

— Nie, nie wiem, niestety. Zniknął jak kamień w wodzie.

— Dziwne...

— Dla nas to też bardzo dziwne. Nie mieliśmy nic przeciwko niemu, prócz tego, że wyjechał tak raptownie. Ale miał do tego pełne prawo.

— Skąd przyjechał do Banfu?

— Nie wiem. Gdzieś ze Stanów. Zjawił się u nas w poszukiwaniu pracy i myśmy go natychmiast przyjęli, bez żadnych rekomendacji. Robił wrażenie porządnego, uczciwego chłopca.

— Czy nie może mi pan wymienić jego nazwiska? — słabym głosem zapytała Mary.

— Nie znam. Zaraz zobaczę w książce.

Urzędnik wyszedł do drugiego pokoju i natychmiast wrócił.

— Niestety, bardzo żałuję, lecz nie posiadamy jego zapisu. Wysłaliśmy go nad jezioro Louizy, pamiętam to dobrze. Był u nas tylko miesiąc.

— Może jest ktoś w Banfie, kto go zna lepiej i wie o nim więcej, niż pan?

— Nie, nie przypuszczam. On z nikim nie rozmawiał o sobie. Był bardzo skryty.

— A nad jeziorem Louizy nie ma nikogo, kto by mógł...

— Tam nikt teraz nie mieszka. Hotel zamknięty. Bardzo żałuję — powtórzył znów uprzejmie — bardzo chętnie pomógłbym pani, ale sama pani widzi...

Mary wyszła na zanieśioną śniegiem ulicę. Po co zrobiła długą, męczącą podróż, wynoszącą trzy tysiące kilometrów! Przewodnik zniknął, nie pozostawiając śladu! Runęła ostatnia nadzieja uratowania Polly... Więcej nic nie mogła zrobić... Nic...

Tego samego wieczoru wyjechała z Banfu.

Rozdział II

OFIARA

Wyjazd sióstr Freeman do Europy wczesną wiosną nikogo nie zdziwił.

Nikt nie domyślał się istotnej przyczyny wyjazdu.

Dziecko przyszło na świat w Pleuneuf, w małej wiosce bretońskiej, nad brzegiem morza, gdzie Polly zamieszkała pod nazwiskiem missis Charly. Siostry wynajęły cały domek, złożony z czterech pokojów i żyły samotnie z dzieckiem i miłą uprzejmą wieśniaczką, madame Prudhomme, która pełniła funkcje służącej.

Po porodzie Polly była bardzo chora, długo walczyła ze śmiercią, lecz wyzdrowiała.

Mary była przekonana, że tylko jej modlitwy uzdrowiły siostrę. Biedna młoda matka była taka nieszczęśliwa, słaba, jakaś taka samotna i opuszczona wśród obcych, że serce starszej siostry było przepełnione współczuciem. Ze łzami w oczach błagała Boga, by Polly nie zeszła z tego świata taka nieszczęśliwa, i ofiarowywała swoje własne życie jako odkupienie za to, że nie umiała ustrzec siostry przed grzechem. Bóg wysłuchał jej modlitwy — Polly wracała do zdrowia. Lecz On przyjął również i ofiarę Mary.

Stopniowo i powoli usposobienie Mary zmieniało się. Stawała się coraz skromniejsza i uległa, w miarę utraty wiary we własne możliwości. Całą miłość swego serca, nie zajętą troską o matkę, przeniosła na dziecko. Chłopak był zdrow, mocny. Zdenerwowanie i strach, z jakim oczekiwała przyjścia na świat dziecka, zmieniły się w miłość graniczącą z uwielbieniem.

Polly długo nie powracały siły. Pozostała słaba i wątła, szybko się męczyła.

Obojętność matki wobec dziecka rozgoryczała Mary, lecz tłumaczyła to sobie chorobą Polly, która całymi dniami leżała na otomanie, mało mówiąc, z budzącym litość, bezradnym wyrazem twarzy, patrząc w okno, na morze.

Mary myślała o siostrze, siedząc na brzegu morza i lekko kołysząc nogą wózek ze śpiącym dzieckiem. Gdy się obudziło, wstała i powoli potoczyła wózek z powrotem do wsi.

Gdyby była obrała drogę wzdłuż wybrzeża, prawdopodobnie uniknęłaby dramatu, który zburzył całe jej życie. Lecz poszła drogą, na której czatował na nią Los, w postaci dużej, luksusowej limuzyny, zbliżającej się od strony północnej.

Mary stanęła na skraju drogi, oczekując spokojnie na przejazd samochodu. Lecz szofer zwolnił i zatrzymał wóz obok niej, pytając o drogę do Paryża.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy z głębi wozu rozległ się okrzyk:

— Mary! Mary Freeman!

Na ucieczkę było za późno.

Podczas gdy dziewczyna starała się zebrać myśli i znaleźć wyjście z sytuacji, z samochodu wyskoczyły dwie strojne panie i zaczęły ją całować. Były to bliskie znajome z Nowego Jorku — Eloiza Dooning i jej zameżna siostra, missis Kartys.

— Co za nieoczekiwane spotkanie! — szczebiotały. — Jak świetnie wyglądasz, Mary! Czy Polly też jest tutaj? Myślałyśmy, że jesteście w Szwajcarii! Dlaczego chowacie się w tej dziurze? Odkąd zaczęłaś niańczyć dzieci? Jaki cudny bobas! Czy goście tutaj u znajomych? Musisz się zlitować nad nami, Mary, i zaprosić nas na śniadanie. Umieramy z głodu.

Mary traciła głowę ze zdenerwowania, zdając sobie sprawę, jakim niebezpieczeństwem grozi to spotkanie. Missis Kartys była znaną plotkarką. Obie panie należały do bogatego towarzystwa nowojorskiego i utrzymywały przyjacielskie stosunki z Freemanami. Nie mogło być mowy, by im powierzyć tajemnicę Polly — za kilka dni stałaby się publiczną wiadomością, wszystkim znaną.

Co robić? Dziecko, przyzwyczajone do ruchu, zaczęło krzyczeć. Mary, zasypywana przez przyjaciółki pytaniami, milczała. Myśl jej pracowała szybko. Zaprosić je do willi, gdzie ujrzą chorą Polly, znaczyłoby to samo, co wydać ją z kretelem. Nie, nie mogą wiedzieć, że Polly jest tutaj! I tak już ciekawość Eloizy i jej siostry była poważnie rozbudzona. Jeżeli skierować je do oberży wiejskiej, wypytają o wszystko gospodynię, madame Courbois, która, oczywiście, opowie im, co jej wiadomo o Amerykankach. Mary wyczuła, że milczenie jej wydaje się już podejrzanym.

— Bardzo żałuję, że nie ma Polly — rzekła. — Jest w Anglii. Mieszkam u znajomych... u Francuzów... Przykro mi, że nie mogę was zaprosić... A restauracja we wsi jest dość marna. Myślę, że najlepiej będzie wam posilić się w Saint-Severain. To niedaleko. Jedźcie do Paryża? Odwiedzę was, jak tam będę.

— Kiedy będziecie w Paryżu?

— Nie wiem jeszcze, napiszę wam...

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Georgia Kartys roześmiała się.

— Mary, zawsze byłaś tajemnicza! Przyznam się, że mnie zaciekawiłaś. Czy było warto wyjeżdżać z Ameryki, by spędzić lato w takiej dziurze i niańczyć cudzego bachora? Nie rozumiem...

— Chciałam wypocząć... Wypocząć na wsi i nie widzieć ludzi...

— To znaczy nas? Dziękuję! Widzę, że lepiej zrobimy, jak czym prędzej stąd ucieknemy, prawda Eloizo?!

— Nie mów głupstw, Georgio — poczerwieniała Mary. — Zrozumcie, że nie mogę was zaprosić do cudzego domu... Moi przyjaciele to trochę dziwacy, staromodna rodzina francuska... i... i nie są przyzwyczajeni do cudzoziemców...

Mary była wyraźnie speszona. Chaotyczne odpowiedzi nie były zgodne z jej zwykłą prostotą i pewnością siebie.

— No, oczywiście — odrzekła spokojnie pani Kartys. — Przecież nie mamy zamiaru narzucać się.

Spojrzała badawczo na dziecko i rzekła:

— Jakie cudne dzieciątko... Prawdziwy cherubinek! Ile ma? Dwa miesiące, nie więcej?

— Trzy... — szepnęła Mary.

— A więc do widzenia! Najwyższa pora jechać, Eloiso!

Obie panie ucałowały Mary i wsiadły do samochodu. W kilka minut auto znikło jej z oczu.

Mary zdecydowała nie mówić nic siostrze o niefortunnym spotkaniu wiedząc, że Polly zdenerwuje się na samą myśl o tym, że jej tajemnica została odkryta.

Wieczorem jednak, gdy siedziały same w małym pokoju stołowym, Polly wyczytała z twarzy Mary jakieś niezwykle wzburzenie, gdyż zaczęła ją wypytywać i podejrzewać coś złego. Mary w końcu była zmuszona opowiedzieć o porannym spotkaniu, nadała jednak opowiadaniu ton, który bagatelizował cały incydent; starała się przekonać siostrę, że udało się jej rozproszyć podejrzenia przyjaciółek.

Polly przestraszyła się nie na żarty i zaczęła robić siostrze wymówki za jej nieostrożność.

— Dlaczego wybrałaś drogę gościńcem? — powtarzała kilka razy rozdrażnionym tonem. — Powinnaś była pomyśleć, że zawsze można kogoś spotkać... Naprawdę, Mary, ty na każdym kroku ryzykujesz moim bezpieczeństwem...

Polly przeszła od niesprawiedliwych zarzutów do łez i jęków; w końcu znów była zmęczona i wyczerpana. Mary uspokajała ją pieszczotliwie, i prosiła by się położyła i zasnęła.

Gdy to się wreszcie stało, pozostała przy jej łóżku, patrząc z miłością i współczuciem na bladą, umęczoną twarz siostry. Biedna Polly! Jak drogo zapłaciła za chwilę słabości! Jej twarz przy świetle świecy wydawała się woskowa. Była tak godna litości, że Mary sama nie wiedzia-

ła w tej chwili, kogo więcej ma żałować i kochać — dziecko, czy dziecinną matkę. Oboje potrzebowali jej opieki i sił...

Polly spędziła noc niespokojnie i rano czuła się zupełnie chora. Śniadania nawet nie dotknęła. Z wielkim trudem udało się Mary odradzić jej napisanie listu do pani Kartys, w którym chciała opisać jakąś fantastyczną historię, która mogła tylko jeszcze pogorszyć sprawę.

Mary wezwała doktora. Ten zbadał serce Polly. Stan nerwowy chorej zatrwożył go bardzo. Zadał Mary kilka pytań, zalecił natychmiast położyć chorą do łóżka i bardzo dbać o jej spokój.

Nowa choroba Polly dowiodła Mary, jak słaba i wątła była jeszcze jej siostra. Omal nie wstydziła się własnego kwitnącego zdrowia...

Starła się być dla Polly jeszcze cierpliwsza i czulsza niż dotychczas; spędzała całe dni w jej pokoju i pocieszała ją, jak tylko mogła.

Mijały dni. Polly zaczęła wierzyć, że to spotkanie na drodze minęło bez następstw.

2

Minęło kilka tygodni. Pewnego dnia Mary otrzymała list od ich sąsiadki z Nowego Jorku, Karoliny Brayd, która zamieszkała w Paryżu w tym samym hotelu co Eloiza Drooning i Kartysowie, a także wielu jej rodaków. Karolina pisała:

Droga Mary!

Jestem strasznie zdenerwowana rozmową, którą usłyszałam dziś wieczorem. Graliśmy w brydża u Kleefa Browna. Piliśmy dużo i dokazywaliśmy. Była też Georgia Kartys. Jak ci wiadomo, ona lubi powiedzieć czasem coś niepotrzebnego, szczególnie po wypiciu koktajlu.

Opowiedziała, że spotkała cię w Bretanii z jakimś dzieckiem i wcale niedwuznacznie podkreśliła przyczynę, która cię zmusiła do spędzenia lata w takim głuchym miejscu. Nie mogę w to uwierzyć! Georgia zasłużyła na baty za takie świństwo. Opowiadanie jej słyszało kilku waszych znajomych. Kartysowie wyjeżdżają w przyszłym tygodniu, więc musisz koniecznie przyjechać. Jestem bardzo zdenerwowana. Takie plotki rozprzestrzeniają się z niezwykłą szybkością. Przyjeżdżajcie razem z Polly do Paryża; w ten sposób dowiedziecie wszystkim, że Georgia jest podłą plotkarką i kłamczuchą.

Wasza Karolina

Oczywiście, zatrzymacie się u mnie w hotelu.

Mary głęboko przejęła się tym listem. Jej lęk zamienił się w gniew. Zdawała sobie sprawę, że należy natychmiast coś zrobić, obalić opowiadanie Georgii, zanim ta zdąży powtórzyć je w Nowym Jorku... Polly nie wychodziła jeszcze z pokoju. Powoli przychodziła do zdrowia.

Mary rozumiała, że nie może jej pokazać tego listu. Polly nie może wiedzieć... przynajmniej do czasu, aż zupełnie wyzdrowieje i wzmocni się...

Mary przejrzała rozkład pociągów i zaczęła pospiesznie pakować niezbędne do podróży rzeczy. Powiedziała Polly o zaproszeniu Karoliny Brayd dodając, że musi pojechać do Paryża, by porobić konieczne dla dziecka zakupy...

3

Miss Brayd powtórzyła w hotelu zdenerwowanym szeptem to, co napisała w liście do Mary. Georgia ograniczyła się do aluzji, lecz zrobiła to w taki sposób, że nie było wątpliwości co do macierzyństwa Mary...

Kipiąc z gniewu, Mary połączyła się telefonicznie z apartamentem Kartysów i umówiła się z Georgią po śniadaniu. Miss Brayd w poczuciu solidarności poszła z nią.

Georgia Kartys właśnie wróciła z konnej przejażdżki w Lasku Bulońskim; powitała je z przesadną uprzejmością. Możliwe, że dręczyło ją sumienie, za nieoględnie wypowiedziane słowa. Jeżeli nawet domyślała się celu wizyty, nie okazała tego. Zamówiwszy herbatę, spokojnie usiadła w fotelu i zapaliła papierosa.

Mary z goryczą porównywała kwitnącą, rozpieszczoną kobietę z nieszczęśliwą, chorą i samotną Polly. Od tej kobiety zależało teraz szczęście, a może nawet życie siostry.

Mary była bardzo blada, lecz spokojna. Mocno postanowiła nie tracić panowania nad sobą.

— Czy nie myślisz, Georgio — zaczęła spokojnie — że z twojej strony było bardzo nieładnie opowiadać tę brzydką historię, którą Karolina mi powtórzyła?

Missis Kartys drgnęła, spojrzała na Karolinę i roześmiała się.

— To ty doniosłaś?

— Tak, to ja napisałam Mary — rzekła wzburzonym tonem miss Brayd. — To było zbyt podłe! Powiedziałam ci to wówczas, Georgio. Uważałam za konieczne uprzedzić Mary.

Pani Kartys wzruszyła ramionami i zwróciła się do dziewczyny:

— Po to przyjechałaś do Paryża? Cóż mi powiesz nowego?

— Proszę powtórzyć przy mnie to, coś mówiła!

Georgia strzepnęła popiół z papierosa.

— Powiedziałaś, że spotkałam cię w Bretanii, w głuchej wsi, z wózcikiem dziecięcym.

— To wszystko?

— Zdaje mi się, wszystko... Ach, tak! Powiedziałaś jeszcze, że wydawało mi się to dziwne, że niańczysz dziecko... chociażby nawet cudze. — Georgia roześmiała się. — Prawda, Mary! Takie zajęcie jest niepodobne do ciebie. Szczególnie gdy się zna twoje upodobania tak dobrze, jak ja...

— To wszystko? — powtórzyła Mary, patrząc na miss Brayd.

— Tak, nic więcej nie mówiła, lecz nie w tym rzecz! — odezwała się Karolina, silnie wzburzona. — Chodzi o to, jak to było wypowiedziane — i jak to zrozumieli słuchacze. Nie mogłam po prostu tego znieść, Mary!

— W zupełności cię rozumiem — spokojnie rzekła Mary, a zwracając się w stronę Georgii — z twojej strony to było podłością, Georgio! Już lepiej było po prostu skłamać, niż zrobić taką aluzję...

— Ach, tak?

Pani Kartys wyprostowała się w fotelu z niedobrym uśmiechem.

— Dziwnie słuchać takie słowa z ust kobiety, która posiada nieprzyzwoitą tajemnicę!

— Nie mam żadnych tajemnic! — porywczo zawołała Mary.

— Powiedziałaś prawdę. Dziecko jest nie moje, a mojej przyjaciółki.

Georgia zaśmiała się. Nie była z natury złą kobietą, lecz była egoistką lekkomyślną i rozpieszczoną. Takie kobiety bronią się do ostatka, gdy zostaną przyciśnięte do muru, a szczególnie, gdy zdają sobie sprawę ze swego postępuku.

— Twojej przyjaciółki? Możliwe... — rzekła przeciągle i zapaliła nowego papierosa. — Nie lubię, gdy mi zarzucają kłamstwo, Mary! To... nie jest przyjęte w dobrym towarzystwie. Nie powiedziałabym na pewno nic, gdybym nie miała ku temu poważnych powodów.

Pewność Georgii nie na żarty przestraszyła Mary. Czyżby rzeczywiście dowiedziała się czegoś?

— Przeciwnie, jestem przy zdrowych zmysłach i zaraz tego dowiodę — odrzekła Georgia. — Nie oszczędziłaś mnie w słowach, więc ja odpowiem ci tym samym. Zacznę od tego, że nie uwierzyłam, gdy mi powiedziałaś, że gościsz u francuskiej rodziny. W wiosce rybackiej! To było zbyt nieprawdopodobne. Przy tym byłaś za bardzo zmieszana, gdy nas zobaczyłaś. Eloiza też to zauważyła.

— O! Georgio, jak możesz...

— Dlaczego nie mam mówić prawdy? Tym bardziej po tym, co usłyszałam od Mary! Mary nie znalazła odpowiedzi. Dalszy ciąg opowiadania usłyszała jak we śnie.

— Zaledwie wyjechaliśmy ze wsi, nasze auto zepsuło się. Trzeba było zatrzymać się przy garażu. — Pani Kartys zrobiła pauzę i zapytała:

— Mary, czy życzysz sobie, bym mówiła dalej?

Mary milczała, miss Brayd słuchała z nateżoną uwagą.

— Staruszek, właściciel garażu, okazał się bardzo gadatliwy. Podczas gdy szofer i jego syn zajmowali się maszyną, on gawędził z nami. Dowiedziawszy się, że jesteśmy Amerykankami, zapytał, czy znamy miss Freeman i jej siostrę, która niedawno była bardzo chora po urodzeniu dziecka. Ani ja, ani Eloiza nie pytałyśmy się o nic, lecz nie mogłyśmy nie słyszeć, co do nas mówił starzec.

— Mary! — szepnęła miss Brayd, przyciskając ręce do piersi. Georgia uśmiechnęła się.

— Jak widzicie, byliście zbyt niesprawiedliwe w stosunku do mnie! Mogłam przecież opowiedzieć całą historię, gdybym tylko zechciała.

Mary milczała, na próżno starając się wymyślić jakieś kłamstwo, które by obaliło okropną prawdę.

— Bardzo mi przykro, że tak wyszło, jednak nie jestem temu winna — powiedziała Georgia i dodała miękko: — Teraz bardzo żałuję, że powiedziałam o spotkaniu ciebie z dzieckiem. Chciałam zażartować myśląc, że wszyscy wezmą to za żart.

Georgia zwróciła się do miss Brayd: — Po co było pisać o tym do Mary i nawarzyć takiej kaszy?

Karolina była zupełnie oszołomiona.

— Bóg wie, po co!

Mary siedziała jak na szpilkach. Starła się zebrać myśli, lecz mogła myśleć jedynie o Polly, o biednej Polly... i o dziecku. Jeśli Polly się dowie... Ona nie ma sił, by walczyć. Nowy

wstrząs może być katastrofą — tak powiedział doktor. Gdy Polly dowie się, że Georgia Kartys zna jej tajemnicę...

Georgia znów coś mówiła, lecz słowa dochodziły do niej, jak z oddali.

— Mary, naprawdę bardzo mi przykro, że tak się stało. Lecz, oczywiście, tak Eloiza, jak i ja, nie mogłyśmy nie wierzyć w to, co na własne uszy usłyszałyśmy! Lepiej byłoby, gdybym cię nie spotkała z dzieckiem i nie dowiedziała się o waszej historii. Postąpiłaś wspaniało-myślnie, chcąc ratować biedną Polly, lecz...

— Polly!

Mary omal nie zemdląła ze wzruszenia. Ta kobieta odgadła prawdę! Jednak nie posiadała dowodów i nie będzie ich miała — oczywiście, o ile nie zechce powrócić do Bretanii przed wyjazdem do Ameryki. Bo i do tego była zdolna!

— Polly! — powtórzyła dziewczyna zmienionym głosem.

Olśniła ją jedna myśl: musi uratować Polly, nieszczęsną, biedną, chorą siostrę... uratować za wszelką cenę!

— Dlaczego uznałaś, że to dziecko jest Polly?

— Starzec wyraźnie powiedział, że... Myślałam...

Na roztrząsanie nie było czasu. Mary poszła ślepo za instynktem jak człowiek rzucający się pod pociąg, by uratować dziecko, nie liczący się z własnym bezpieczeństwem.

— To nie jest jej dziecko — rzekła z trudem wymawiając te słowa.

— To moje... moje... Myślę, że zrozumieliście...

Mary wstała i skierowała się ku drzwiom; pojęła nagle znaczenie własnych słów.

— Będę wdzięczna, jeśli nie będziecie o tym nigdy mówiły — dodała jakby jej brakło tchu. — Ani teraz, ani nigdy...

Obie kobiety podniosły się, patrząc na nią zdumione.

— Mary! — krzyknęła Georgia, gdy dziewczyna otwierała drzwi.

— Moja biedna Mary!

Dopiero w pociągu jadącym do Saint-Severain Mary zrozumiała w pełni znaczenie swojego kłamstwa.

Z jaką łatwością obie kobiety uwierzyły jej! Wyraźnie wyczytała współczucie w ich oczach. Nie żałowała jednak niczego. Udało jej się odwrócić potok plotek od prawdziwej winowajczynie. Chora Polly nie jest zdolna obronić się! Później, gdy powróci do zdrowia, sama zechce wziąć odpowiedzialność za dziecko. A do tej chwili Mary jest dostatecznie silna, by nieść jej brzemię! Tylko, żeby Polly wyzdrowiała...

Po powrocie Mary do Pleuneuf Polly czuła się już lepiej. Opowiadanie o podróży do Paryża szczerze ją rozweseliło. Starsza siostra znów musiała się uciec do kłamstwa, by ukryć swoje pierwsze kłamstwo. Powiedziała jej, że widziała się z Georgią Kartys i że śmiały się z całej duszy, wspominając spotkanie na drodze i że Georgia niczego się nie domyśla.

Od tego dnia Polly zaczęła się czuć coraz lepiej i szybko przychodziła do zdrowia. Przed zimą powróciła zupełnie do sił i świetnie wyglądała. Mary czuła, że jej ofiarność nie poszła na marne.

Lecz w miarę rekonwalescencji Polly, starszą siostrę coraz więcej martwiła jej obojętność wobec dziecka. Matka nie chciała zająć miejsca Mary podczas spacerów, lecz jak przedtem pozostawiła troskę o chłopca siostrze i służącej.

Odpowiedzialność za dziecko stała się dla Mary przyzwyczajeniem. Obudził się w niej instynkt macierzyński. Jej miłość do dziecka była tak głęboka, że poświęcając mu całe dni, nie uważała tego za coś nadzwyczajnego. Była szczęśliwa w poczuciu, że jest potrzebna małej istocie. Dziecko znało ją lepiej niż własną matkę. Jego pierwszy uśmiech był dla Mary, a nie dla matki.

Dopiero w listopadzie Polly, ze źle skrywanym rozdrażnieniem wspomniała o przyszłości syna. Dotychczas siostry unikały tego tematu.

Kwestia ta została poruszona nagle, podczas pierwszego śniadania. Słowa Polly zrobiły na Mary wrażenie pękającej bomby. Matka oświadczyła, że nosi się z zamiarem, by powrócić do Ameryki, a dziecko pozostawi w paryskim przytułku do następnej wiosny.

— Polly! Ty chyba żartujesz?!

— Nic podobnego! — krótko odrzekła matka. — Nikt nie wie o jego istnieniu i nie może się dowiedzieć. Nie mogę zniszczyć całego swego życia przez chwilę zapomnienia.

— Ale dziecko!

— Dziecku będzie bardzo dobrze w przytułku. Powrócę na wiosnę do Paryża i umieszczę je u jakiejś rodziny francuskiej. O to bardzo łatwo przy dobrej zapłacie.

— Nie masz prawa go porzucić! Ty tego nie zrobisz!

Polly ze zdziwieniem spojrzała na siostrę i wzruszyła ramionami.

— Nie mów głupstw, Mary. Dotychczas wszystko robiłam po twojemu. Lecz teraz jestem już zdrowa i uprzykrzyło mi się słuchać ciebie! Mam 21 lat i mam prawo sama rozporządzać sobą. Jeżeli chcesz, możesz tutaj zostać. Ja jednak wrócę do Ameryki.

— Polly!

— Od dawna już zbierałam się, by powiedzieć ci, że w przyszłości będę postępowała tak, jak mnie się podoba. Zrozumiałas? Poświęcać całe swoje życie dla dziecka byłoby ostatnim głupstwem.

— Ani na chwilę nie mogę uwierzyć, że ty mówisz to serio, Polly!

— Nie jestem temu winna, że mniej kocham dziecko niż ty. Nie przeszłaś tyle cierpień i poniżenia, co ja.

— Zaczekaj... Zaczekaj, Polly.

Mary powoli przesunęła dłonią po czole. Cierpień? Poniżenia? Mary wspomniała Georgię i Karolinę Brayd. O czym one mówiły po jej wyjściu z pokoju? Czy długo zachowały milczenie po powrocie do Nowego Jorku? Żadne wiadomości ze świata nie dochodziły do Pleuneuf, nikt nie napisał do sióstr ani jednego słowa. Mary prosiła o zachowanie tajemnicy, lecz była pewna, że przyjaciółki nie wypełniły jej prośby. Nie wątpiła ani chwilę, że jej historia z najrozmaitszymi komentarzami dawno jest znana wszystkim w Nowym Jorku. A Polly mówiła o swoim poniżeniu...

— Polly — powiedziała, nie wiedząc, od czego zacząć — muszę ci powiedzieć... Byłaś tak chora, nie mogłam mówić o tym wcześniej. Lecz teraz najwyższy czas poważnie spojrzeć na życie...

— Poważnie spojrzeć na życie? — sucho zaśmiała się Polly. — Zdaje się, że od roku nie robię nic innego!

— Chcę powiedzieć, że powinnaś zrozumieć swoją odpowiedzialność, swoje obowiązki w stosunku do dziecka i... do samej siebie.

I do mnie chciała powiedzieć Mary, lecz słowa ugrzęzły jej w gardle. Przedtem myślała, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, z łatwością powie siostrze o swoim spotkaniu z Georgią

i Karoliną. Przypuszczała, że Polly sama zrozumie swój obowiązek i ułatwi wszystko. Pomyliła się, nie spodziewając się tak zimnej obojętności. Między siostrami rozwarła się przepaść.

— Nie rozumiem, czego ty chcesz — odrzekła Polly. — Zdaje się, że wyraźnie powiedziałam, że nie mam zamiaru brać na siebie większej odpowiedzialności, niż to jest konieczne.

Mary rozmyślała kilka sekund.

— Nie przypuszczasz, że ktoś może się dowiedzieć, jaki był powód twego pobytu w Pleuneuf?

— No, co do tego, to wątpię! Niebezpieczeństwo, chwała Bogu, minęło z chwilą uspokojenia się Georgii. Tutejszych mieszkańców nie obawiam się. Oni na pewno nigdy nie pojedą do Nowego Jorku!

— Przypuśćmy, że Georgia opowie, jak mnie spotkała z wózkiem dziecinnym!

Polly roześmiała się.

— To zgubiłoby ciebie, a nie mnie! Jakie to zabawne! Ty i taka historia! — znowu się zaśmiała. — Nie, to naprawdę głupie!

— A jednak wyobraź sobie, że o tym się dowiedzą — nalegała Mary.

— Wyobraź sobie, że ludzie rzeczywiście pomyślą, że dziecko jest moje!

— Zaczekajmy, aż się to stanie — wzruszyła ramionami Polly.

— Nie warto już teraz łamać sobie głowy.

— Czyżbyś przyjęła to obojętnie?

— Co właściwie? Że dziecko mogą uważać za twoje? Jeśli tobie jest wszystko jedno, to ja nie mam nic przeciwko temu. Ono zresztą jest bardziej twoje. Jeśli tobie jest wszystko jedno, to ja nie chcę już wziąć go na ręce. Za każdym razem uderza w płacz!

Mary głęboko się zamyśliła.

— Dobrze — rzekła powoli. — Jeśli ty go nie chcesz, on będzie mój. Nie zgadzam się na oddanie go do przytułku. Jeżeli nie masz zamiaru opiekować się małym, to ja się nim zajmę.

— Proszę cię! Rób, jak ci się podoba. W każdym razie nie mam zamiaru zabierać go ze sobą do Nowego Jorku i stać się pośmiewiskiem wszystkich znajomych.

— Mogłabyś powiedzieć, że to jest dziecko francuskie, które usynowiłaś.

— Kto mi uwierzy? Natychmiast stanę się pośmiewiskiem! Także i ty, jeżeli zrobisz to, co proponujesz mnie! Jesteś naiwna, Mary! Oddamy go do przytułku i wszystkim będzie dobrze!

— Nie, Polly. Za nic!

Z każdym słowem przepaść między siostrami stawała się głębsza. Polly, której poczucie bezkarności dodawało śmiałości, pokazała całą swoją brutalność. Mary zamilkła, oszołomiona takim brakiem serca. Zdawała sobie sprawę, że powinna powiedzieć Polly o swej rozmowie z Georgią Kartys. Jednak nie mogła tego zrobić. Uczucie nie do przewyciężenia — dumy czy litości — nakazało jej wstrzymać się od wyznania, które w każdej chwili gotowe było wyrwać się jej z ust.

Wstała powoli i podeszła do kominka.

— To znaczy, że dziecko jest moje? — spytała spokojnie.

— Tak. Jeżeli chcesz!

— Doskonale. Ja usynowię małego.

Gdy Polly wyszła z pokoju, Mary oparła łokcie na kominku i schowała twarz w dłonie. Nie mogła jeszcze uwierzyć w to, co usłyszała od Polly. To było zbyt brutalne, zbyt straszne!

Po chwili Mary przeszła do pokoju dziecinnego i usiadła przy łóżeczku, w którym spało dziecko. Szmer obudził chłopca. Mary schyliła się nad nim, szepcząc zwykle, czułe słowa. Dziecko, ujrawszy ją, wyciągnęło do niej rączki. Chłopak nie wiedział, że właśnie w tej chwili rozstrzygał się jego los, lecz dla Mary jego niezrozumiałe gaworzenie dźwięczało wymowniej od błagania. Łzy trysnęły jej z oczu, łzy miłości i współczucia. Nigdy go nie porzuci, nigdy! Teraz należy do niej. Będzie jej dzieckiem, jej synem...

W tej chwili Mary nie myślała o możliwych skutkach swego postanowienia. Była zbyt szczęśliwa, zbyt pełna nowych, nieznanym jeszcze uczuć.

Gdy siostry przyjechały do Francji, miały zamiar postąpić właśnie tak, jak projektowała Polly. Przytułek dla dziecka, wolność dla matki! Mary myślała o tym od chwili swego gorzkiego niepowodzenia w Banfie.

Teraz sama nie wierzyła, że tak okropna myśl mogła kiedykolwiek przyjść jej do głowy! Nienawidząc ojca i pogardzając nim, Mary obdarzała tymi uczuciami i przyszłe dziecko. Było jej obojętne, co się z nim stanie. Wówczas nie zdawała sobie sprawy, jakie błękitne mogą być oczy u nowo narodzonego dziecka, jak słodkie będzie dotknięcie dziecięcych, bezradnych rączek! Teraz kochała dziecko z wyrzeczeniem się samej siebie, co ją samą zdumiewało. Przekonała się, że największa miłość — to ta, która jest zrodzona z współczucia i która wymaga ofiary.

Rozdział III

PUSTELNICA

Polly często wyjeżdżała do Paryża; wówczas Mary pozostawała z dzieckiem w Pleuneuf. Za każdym razem jej nieobecność była dłuższa. Wkrótce po Bożym Narodzeniu Polly napisała, że otrzymując teraz regularnie swoje własne pieniądze z Ameryki, zdecydowała spędzić resztę zimy w Paryżu i wynajęła już małe mieszkanie.

Z tonu listu Mary zrozumiała, że jej siostra jest szczęśliwa i zadowolona. Widocznie zawarła nowe znajomości i wesoło spędzała czas. W następnym liście pisała, że Geo Drack, jej dawny wielbiciel, przyjechał do Paryża i że razem zwiedzają muzea, chodzą do opery i do teatrów.

Mary odpisała, nie robiąc jej jednak ani słowa wymówki. Czowała, że nie ma o czym mówić... Łzy, jakie Polly wylała przy rozstaniu, były tak samo powierzchowne, jak wszystkie inne przejawy jej uczuć. Mary nie miała już złudzeń co do prawdziwego charakteru siostry.

Nie żałowała swej decyzji. Ucieczka Polly jeszcze bardziej przywiązała ją do małego stworzonka, zdanego na jej łaskę.

Chłopczyka ochrzcił francuski proboszcz w maleńkim kościółku wiejskim. Mary nazwała go Johnem. John Freeman — tak nazywał się jego dziadek. Ksiądz proboszcz był bardzo dobry i o nic nie pytał. Swego czasu wiele wycierpiał i rozumiał cierpienia innych. Madame Prudhomme trzymała język za zębami. Była kobietą ostrożną i została dobrze wynagrodzona za milczenie.

Mary oczekiwała Polly na chrzcinach, lecz w ostatniej chwili nadszedł list pełen wykrętów i tłumaczeń, dlatego uważała za stosowne pozostać w Paryżu. Według jej słów, listy Mary były takie radosne, chłopak widać był zdrow. Po co ma wracać na wieś i rozstawać się z Paryżem w pełni sezonu, a i przyjaciele byliby zdziwieni jej nieobecnością?

Nie tylko przestrzeń dzieliła siostry. Obie pamiętały o długu wdzięczności, którego Polly nigdy nie mogła spłacić siostrze — i nie miała zamiaru. Obecnie Mary nawet nie żałowała tego. Kilka razy próbowała napisać siostrze prawdę, powiedzieć jej, jaką potwarz wzięła na siebie. Lecz listy brzmiały fałszywą nutą i Mary darła je i paliła.

Kiedys powie Polly, ale nie teraz. Zdawało jej się to niepotrzebne. Mary nie czuła się nieszczęśliwa. Przeżywała uczucia, jakich Polly nigdy nie dozna. Gdyby Polly poznała fałszy-

we położenie siostry, powróciłyby teraz i chciała wziąć na siebie krzyż, który ta wzięła na swe barki. Mary odmówiłaby jej oddania dziecka. Ale często się modliła o to, by Polly zrozumiała prawdę, powróciła do niej i zechciała uwolnić ją, a wówczas — żeby Mary mogła jej odmówić i dalej nieść swój bohaterski krzyż.

Polly nie wracała...

Z początkiem lata nadszedł list z Paryża:

Droga Mary

Jutro odbędzie się mój ślub z Geo Drackiem. Decyzję tę podjęłam nagle, więc nie miałam czasu zawiadomić Cię wcześniej. Nie gniewasz się o to na mnie — prawda? Jutro wieczorem wyjeżdżam w podróż poślubną. W chwili, gdy otrzymasz ten list, będziemy już w drodze do Szwajcarii, skąd pojedziemy dalej — na wschód — możliwe, że w podróż naokoło świata.

Geo jest strasznie kochany i poza mną nie widzi świata. Mary, on nigdy nie powinien się dowiedzieć! Rozumiesz? Czuję się tak szczęśliwa po wszystkich moich nieszczęściach i jestem pewna, że Ty nigdy mnie nie zdradzisz! Nie zapomnij, że obiecałaś!

O, Mary, ja wiem, Ty nigdy mi nie przebaczysz mego postępowania z dzieckiem! Ale nie mogłam inaczej... Jeżeli Ci dokuczy, oddaj go madame Prudhomme. Zapłacę, ile zechce. Muszę być znów szczęśliwa, Mary, ja muszę! Teraz nadeszła okazja, by zacząć nowe życie. Nie przeszkodzisz mi, prawda? Nigdy nie byłam Ciebie warta. Myślę, że będziesz zadowolona, gdy się mnie pozbędziesz.

Mary, kocham Cię bardzo za wszystko, za wszystko!

Wybacz mi moje szczęście. Przebacz mi.

Polly

Nie trzeba było innych dowodów by przekonać Mary o zupełnym braku serca u Polly. Nie miała odwagi zawiadomić o swoich zaręczynach z Geo Drackiem, obawiając się, by Mary nie przeszkodziła w jej planach. Teraz było za późno. Mary zmuszona była przyjąć małżeństwo Polly jako fakt dokonany, który zobowiązywał ją do milczenia. Musiała nieść swoją ofiarę do końca, bez nadziei wyzwolenia!

W ciągu następnych miesięcy Polly przysyłała pocztówki z Egiptu, Indii, Chin, Japonii i, rzadko, krótkie listy. Potem zupełnie przestała pisać. Mary było wszystko jedno. W listach sio-

stry nie wyczuwała najmniejszego zainteresowania, najmniejszej iskry miłości do niej lub do dziecka.

W życiu Mary rozpoczął się nowy rozdział. Obserwowała, jak rósł chłopak, ze słodkim wzruszeniem łowiła słowa „mama”, których go nauczyła. Byli zawsze razem. Miłość poczęta od kolebki rosła wraz z dzieckiem i przepelniała serce przybranej matki błogością, która w zupełności wynagradzała wszystkie poniesione ofiary.

W zimie chłopak mocno się zaziębił. Lekarz powiedział, że dziecko ma słabe płuca. Całą wiosnę Mary pilnowała go jak oka w głowie i w lecie chłopak przyszedł do siebie. Malec wszędzie biegał za nią, wesoło szczebiotał po francusku z rybakami, którzy go dobrze znali i lubili. Często dokazywał, lecz Mary podobały się jego psoty i ruchliwość. Całymi godzinami mogła się z nim bawić na plaży. O przyszłości starała się nie myśleć. Po co? Wystarczała jej teraźniejszość.

Ze światem zerwała niezupełnie z własnej woli; okoliczności zmusiły ją do samotnego życia. Stała się ofiarą cudzego błędu, ofiarą własnej dobroci i miłości do dziecka, które stało się dla niej teraz droższe ponad wszystko na świecie.

Świat też odwrócił się od Mary. Kilka listów pełnych oburzenia, otrzymanych od dalszych krewnych z Nowego Jorku, zabiło w niej wszelkie pragnienie powrotu do rodzinnego miasta. Historia jej upadku stała się w Nowym Jorku krótką sensacją i wkrótce zapomniano o niej. Mary nie odpisywała na listy i listy przestały przychodzić.

Mijały lata. Stopniowo przestała myśleć z goryczą o okrucieństwie siostry. W ogóle rzadko wspominała Polly.

John znów zachorował na bronchit i Mary zmuszona była pojechać do Paryża, do lekarza specjalisty. Tam spotkała kilkoro dawnych znajomych. Pojęła, że wszyscy znają jej historię i za przesadną uprzejmością czuła ich ciekawość i potępienie. Lecz Mary, ku własnemu zdumieniu, pozostała zupełnie obojętna na opinię dawnych przyjaciół.

Jedyna tylko Beatrycze de Salignac, dawna By Harny, z którą Mary uczęszczała do gimnazjum, odniosła się do niej z dawną serdecznością i radością; nie pytała o nic, co głęboko wzruszyło Mary i wskrzesiło szkolną przyjaźń. Mąż Beatrycze, potomek starej rodziny francuskiej, został zabity na wojnie. Młoda kobieta powróciła na krótko, by uporządkować swoje sprawy spadkowe.

Lekarz zdecydował, że dziecku nie służy ostry klimat bretoński i radził wyjechać na miesiąc zimowe na południe Francji.

Mary nie chciała porzucać swego gniazdka, gdzie była po swojemu szczęśliwa. Ale przed nią wyrosło nagle zagadnienie dotyczące przyszłości Johna. Rozumiała, że nie może stale mieszkać w Pleuneuf, lecz odkładała decyzję myśląc, że los sam wskaże jej wyjście, gdy nadejdzie czas.

Beatrycze de Salignac, dowiedziawszy się o kłopotach Mary, dała jej przyjacielską radę:

— Jedź ze mną do Waszyngtonu. To jest idealne miejsce dla tych, którzy pragną żyć samotnie. Waszyngton nie jest podobny do Nowego Jorku. Pełno tam nowych ludzi, których nie znasz i którzy nigdy nie słyszeli o tobie. Nie będziesz zmuszona z nikim obcować. Możesz żyć tak odosobniona, jakbyś mieszkała na Saharze! Jestem przekonana, że klimat będzie służył Johnowi. Nie możesz pozostać w Pleuneuf. Chłopak musi zacząć się uczyć. Dlaczego nie zdecydować się zaraz? Pojedziemy razem. Zapytaj się swego lekarza. Będę szczęśliwa, gdy nie rozstanę się z tobą!

Lekarz wyraził zgodę. Mary było zupełnie wszystko jedno, dokąd jechać. Jej też nie bardzo chciało się rozstawać z przyjaciółką. Zgodziła się.

2

Już od dwóch lat Mary mieszkała w Waszyngtonie. Pani de Salignac, żartobliwie nazywała ją pustelnicą.

Pod nazwiskiem pani Freeman, Mary wynajmowała małą willę na cichej ulicy. Sprowadziła ze składu w Nowym Jorku swoje meble i książki. Czowała się dobrze i szczęśliwie w nowym gniazdku.

Zdrowie chłopca znacznie się poprawiło. Beatrycze mieszkała niedaleko. Przyjaciółki widywały się często. Mary nie żałowała swego kroku.

Historia jej stała się wkrótce znana. Piękna, 29-letnia kobieta, mieszkająca sama z dzieckiem i nie szukająca znajomości, wzbudzała zrozumiałe zainteresowanie. Ktoś widział Mary w Paryżu, przypomniał sobie jej historię. Plotka szybko obiegła ciekawych.

Są rzeczy, których opinia nie przebacza kobiecie, nawet w naszym współczesnym wieku swobody i rozpusty. Ludzie są gotowi na wszystko zamknąć oczy, jeżeli będzie zachowana przyzwoitość i umiar. Ci sami ludzie z pogardą odwracają się od niezameężnej kobiety, „bezwstydnie afiszującej” swym macierzyństwem. Mary nie została przyjęta do towarzystwa. Lecz

ona nie starała się nawet dostać do niego. Pragnęła tylko jednego — by ją pozostawiono w spokoju.

Lecz znaleźli się w Waszyngtonie znajomi, z którymi Mary dawniej żyła w bliskich stosunkach. W ich gronie była i pani Ben. Ta szanowna matrona i jej córki pragnęły wspaniałomyślnie wznowić znajomość z upadłą Mary. Lecz dziewczyna nie chciała zrozumieć ich dobrych chęci widząc, że nigdy nie będą się do niej odnosiły jak do równej sobie.

Najmilszą rozrywką Mary były dalekie spacery za miasto z Johnem. Jeździli na nie w małym, dwuosobowym samochodzie, który Mary sama prowadziła. Gdzieś w polu zatrzymywali się. Nabiegawszy się i nabawiwszy do woli, odpoczywali na trawie...

Mały John był mocnym, ładnym chłopcem, pewnym siebie i wesołym. Gorąco ubóstwiał swoją „matkę”. Mary kochała go bez pamięci, on zaś wynagradzał jej z nadwyżką wszystkie trudy i ofiary. Lecz Mary z lękiem myślała o tym, że chłopak ma już sześć lat. Wkrótce zacznie się zastanawiać, wypytywać... Mary pragnęła z całego serca oddalić tę chwilę. Co mu powie? Gdzie jego ojciec? Dlaczego nie mają znajomych? Nadejdzie chwila, gdy chłopiec zapyta o to...

Serce dziewczyny kurczyło się boleśnie na myśl, że za rok trzeba będzie chłopca oddać do szkół gdzieś daleko, gdzie jego historia nikomu nie jest znana. Na razie trzymała go przy sobie, separując od dzieci, których towarzystwo mogłoby przedwcześnie rozwinąć jego zaciekawienie. Mary sama uczyła go czytać i pisać, zazdrośnie chroniąc go przed prawdziwymi i rzekomymi niebezpieczeństwami.

Dziś wybrali na cel wycieczki brzeg rzeki, niedaleko od drogi do parku Rock. Po zjedzeniu śniadania John udał się nad rzekę, by brodzić przy brzegu po płytkiej wodzie. Mary siedziała opodal na pagórku z książką w ręku, patrząc w zamyśleniu przed siebie i słuchając szczebiotu chłopczyka. Była spokojna i szczęśliwa. Czas wyleczył jej duszę i teraz tylko rzadko głuchy, słaby ból przypominał jej zagojoną ranę. Dziewczyna jakby się odrodziła do nowego życia. Po dawnej Mary mało co pozostało — prócz żywiołowej radości życia... Straciła wiarę w ludzi, szczególnie w szlachetność i honor męski. Zdawało jej się, że wszyscy mężczyźni patrzą na nią dziwnym wzrokiem — który ją obrażał — jak na tajemniczą współniczkę. Wyobraźnia prawdopodobnie! Lecz Mary unikała ich, nienawidząc wszystkich za podłość i grzech jednego. Uwodziciel Polly, niejasna sylwetka, koszarne widmo, był dla niej uosobieniem wszystkiego, co przyziemne i grzeszne w naturze ludzkiej. Był Jimem Westberry, eleganckim młodym człowiekiem, który kiedyś kochał Mary i chciał się z nią żenić, lecz odwrócił się od niej (chwała Bogu), gdy jej nieszczęsna historia stała się tajemnicą wszystkich. Był Fredem Sackettem, in-

nym towarzyszem dni jej wesołej młodości w Nowym Jorku, który pod nieobecność swej żony zjawił się w Waszyngtonie i starał się pozyskać względy Mary. Byli jeszcze inni — o których dziewczyna nie mogła myśleć bez wstrętu. Wszyscy oni byli uosobieniem zdrajcy...

Dziwna rzecz, dlaczego właśnie dziś wspomina tego człowieka! Wszystko wokoło takie ciche i spokojne. Mary była szczęśliwa z Johnem, już teraz jej własnym synem. Kupiła go za najdroższą cenę, jaką może zapłacić kobieta — swoją cześć i honor. Jak radośnie biło jej serce, gdy przybiegał do niej, przynosząc w mokrych brudnych rączkach żuki i ślimaki rzeczne, śmiejąc się wesoło i krzycząc!

Przez kilka minut nie zjawiał się, Mary wyprostowała się i zawołała. Nie otrzymawszy odpowiedzi, wstała i spojrzała ponad krzakami. Chłopca nie było widać.

— John? — krzyknęła zaniepokojona. — John!

Nie było odpowiedzi. Mary pobiegła wzdłuż brzegu, nie przestając wołać. Nagle usłyszała krzyk i zobaczyła chłopca.

Dziecko spadło ze skały w głębinę rzeczną i rozpaczliwie borykało się z unoszącym go prądem. Mary krzyknęła nie swoim głosem i rzuciła się za nim. Ale on był już daleko; biała kurteczka pograżyła się w wodzie.

Okropna chwila! Dziewczyna znów krzyknęła, wołając o pomoc, chociaż w pobliżu nie było nikogo. Trudno jej było biec w wodzie. Potknęła się, upadła, podniosła się i dalej biegła, nic nie widząc przed sobą oprócz białej niknącej plamy...

Wtem skądś rozległ się w odpowiedzi głos i na piaszczystą mieliznę, na którą starała się dostać ponad krzakami skoczył z rozpędu koń z jeźdźcem. Woda i piasek bryznęły na wszystkie strony. Mary znów rzuciła się naprzód, lecz koń zawrócił już z powrotem, wspinając się na stromy brzeg. Jeździec trzymał w rękach bezwładne ciało, z którego strumieniami lała się woda!

Gdy Mary dobiegła do plaży, jeździec zeskoczył z siodła, położył swój ciężar na białym, rozpalonym piasku i silnymi ruchami zaczął zginać i prostować rączki dziecka.

— Czy to pani chłopczyk? — zapytał.

— Tak. On... on nie?

Mary nie miała sił skończyć zdania.

— Nic, nic, zaraz przyjdzie do siebie. Widzi pani! — zawołał tryumfalnie zbawca, gdy John głęboko westchnął. — Zaraz otworzy oczy. Trzeba tylko wypompować z niego wodę. Dobrze, że usłyszałem pani wołanie!

Mary uklękła i zaczęła pomagać według wskazówek nieznajomego. Był to młody mężczyzna, zręczny i zdecydowany, o miłym, niskim głosie.

— Już mu lepiej, prawda? — z trudem łapiąc powietrze, pytała Mary. — O, nie wiem, jak mam panu dziękować!

Młody człowiek roześmiał się.

— Nie ma za co! Cieszę się, że byłem w pobliżu. Byłem z moim pryncypałem, który pojechał naprzód, ale zapewne zaraz wróci, szukając mnie!

Nieznajomy włożył dwa palce do ust i głośno gwizdnął.

— Oto i on!

Mary odwróciła się na chrzęst gałęzi. Drugi jeździec wjechał na plażę, zeskoczył z siodła i troskliwie nachylił się nad chłopcem.

— Biedny! — szepnęła dźwięcznym, niskim głosem. — Jeszcze niezupełnie przyszedł do siebie?

Młody człowiek skromnie usunął się na bok. Mary zwróciła się do starszego:

— On oddycha i już otwierał oczy. Myślę, że za chwilę się ocknie...

— Być może, że jeszcze w nim pozostała woda. Pani pozwoli...

Wziął chłopca z rąk Mary i położył na piasku, twarzą w dół, i zaczął się z nim obchodzić ostrożnie jak niańka. W kilka minut później John z trudem wyrzucił strugę wody i otworzył oczy, siadając na piasku. Bohatersko tłumiał łzy. Niebezpieczeństwo minęło.

— Jak się czujesz? — zapytał serdecznie drugi jeździec.

— Ładny koń — stwierdził zamiast odpowiedzi chłopczyk.

— Podoba ci się? — rzekł starszy. — Bob, przyprowadź go tutaj!

Wziął chłopca na ręce i zbliżył się do wierzchowca.

— Pogłaszcz ją. Ona jest dobra.

John nieśmiało dotknął miękkiego pyska klaczy. Mary wstała z piasku, uśmiechając się radośnie. Podziwiała, jak mądrze nieznajomy potrafił zwrócić uwagę dziecka w innym kierunku, by zapomniało o przeżytych strachu.

Dopiero teraz dostrzegła, że dżentelmen ów jest wysokiego wzrostu, ma ciemne włosy, a na skroniach srebrne nitki siwizny. Spod szerokiego kapelusza patrzyły na dziecko jasne, niebieskie oczy. Uśmiechał się przyjaźnie. Miał na sobie popielatą marynarkę, spodnie do konnej jazdy i wysokie brązowe buty.

— Ładny koń — powtórzył John.

— Nie boisz się go? To jesteś zuch. Niestety, trzeba wracać do domu, przyjacielu, i przebrać się w coś suchego, bo się możesz przeziębić...

Spojrzał na Mary.

— Czy to pani auto na drodze?

Dziewczyna skinęła głową.

— Świetnie — rzekł nieznajomy. — Ja zaniosę chłopca. Bob, maszyna jest zakryta? Świetnie! Gorąca kąpiel i do łóżka! Jutro chłopak będzie zdrow, jakby nigdy nic się nie stało!

Idąc pod górę z chłopcem na ręku, skierował się w stronę samochodu. Mary szła za nim z Bobem, dziwiąc się sobie, że z taką łatwością pozwoliła rozporządzać swoim dzieckiem temu zaborczemu, sympatycznemu, nieznajomemu mężczyźnie.

John został umieszczony w aucie. Nie było pledu. Szeף Boba bez namysłu zdjął marynarkę i zawinął w nią chłopca.

— Nie wiem, jak mam panom dziękować — rzekła Mary. — Czy nie będzie panu zimno bez marynarki?

— Ależ nie — zaśmiał się nieznajomy. — I tak miałem ją zdjąć i przytroczyć do siodła.

— Może zechce mi pan powiedzieć, komu jestem winna wdzięczność za uratowanie mego chłopca?

— Bobowi Hestingsowi — zawołał starszy, klepiąc po przyjacielsku młodego człowieka po ramieniu. — On zajmuje się wyświadczeniem mi przysług. Ale, jak pani widzi, czasem znajdzie czas i dla innych!

— Jestem panu głęboko wdzięczna, mister Hestings — szczerze powiedziała Mary.

— Większa wdzięczność należy się koniowi! — uśmiechnął się Bob. — Zresztą koń należy do pana Edwardsa, a nie do mnie.

— Dziękuję obydwu panom!

— Mnie nie ma za co dziękować — zaprzeczył Edwards. — Jeśli pani pozwoli, zajdę jutro do pani zapytać, jak się miewa mały, i zabiorę marynarkę.

— Nazywam się missis Freeman — powiedziała Mary i podała swój adres.

Edwards pomógł jej wsiąść do auta.

— Jestem szczęśliwy z poznania pani. — Zwrócił się do chłopca: — Pamiętaj, nie wpadaj więcej do wody, dopóki nie nauczysz się pływać! Do widzenia!

— Do widzenia — zawołał wesoło John, który przyszedł zupełnie do siebie po przeżytym wstrząsie.

Mary zawróciła auto, ręką przesłała mężczyznom pozdrowienia. Edwards skręcał papierosa, lecz szybko zdjął kapelusz, gdy dziewczyna mijała go, i uśmiechnął się, błysnąwszy białymi zębami.

Przez całą drogę John mówił o nowych znajomych i o cudnych koniach. Mary z zamartwionym sercem myślała o tym, co by to było, gdyby Hestings nie pospieszył na ratunek.

Na szczęście pogoda była piękna i ciepła, dziecko się nie przeziębiło. Położywszy spać chłopca, Mary wzięła z krzesła marynarkę Edwardsa, by odesłać ją do krawca, do odprasowania. Z wewnętrznej kieszeni wypadło kilka listów. Mary w ten sposób dowiedziała się, kim był nowy znajomy; listy były adresowane do posła Steve'a Edwardsa, Gmach Kongresu, Waszyngton. Mary z ciekawością spojrzała na stempel pocztowy. Jeden list był z Denver, drugi z Trinidad, stan Kolorado.

Mary schowała listy do szuflady w biurku.

3

Wierny danemu przyrzeczeniu, Steve Edwards przyszedł następnego dnia dowiedzieć się o zdrowie chłopca. John był niezmiernie zdziwiony, że gość przyszedł pieszo, w zwykłym garniturze i kazał się służącej zameldować jak zwykły śmiertelnik. Wyobrażał sobie, że Edwards wjedzie wprost do salonu na „pięknym koniu” i był trochę rozczarowany.

Było około piątej po południu. Mary kazała podać herbatę i sandwicze. John siedział na krześle, machając nogami i bez zainteresowania słuchał rozmowy starszych. Wreszcie, zeskokczywszy na dywanik przed kominkiem, zajął się swymi zabawkami.

— Szkoda, że pan Hestings nie mógł przyjść — powiedziała Mary.

— Bob ma dużo pracy. Jest moim sekretarzem. Wczoraj mnie uprzedził, ratując małego, a to powinienem był sam uczynić! Za karę dałem mu do przepisania na maszynie moc listów i zamiast niego przyszedłem do pani! Jak się czuje John?

— Świetnie. Cały dzień mówi tylko o panu, o panu Hestingsie i o pańskich koniach!

— Czyżby? — roześmiał się Edwards.

— Wywarł pan na nim wstrząsające wrażenie! Nigdy nie zapomnimy dobroci panów. Marynarka pana jest już gotowa. W kieszeniach było kilka listów. Nie wytrzymałam, przeczytałam adres i dowiedziałam się, kim pan jest.

— Chce pani, żebym opowiedział, co robię? Tak, jestem członkiem Kongresu, skromnym, niczym nie wyróżniającym się posłem z dalekiej prowincji.

— No, nie tak bardzo znowu nie wyróżniającym się — uśmiechnęła się Mary, mierząc go oczyma.

— Gdy w zeszłym roku przyjechałem do Waszyngtonu i po raz pierwszy wkroczyłem na salę posiedzeń parlamentu, zdawało mi się, że znów dostałem się do szkoły i muszę zachowywać się jak uczeń — cicho i spokojnie, bo w przeciwnym razie wyrzucą mnie! Z całych sił staram się być tak ważny jak w domu, lecz nic z tego. — Roześmiał się. — Uważałem siebie za przedstawiciela ludu, obarczonego ważnymi pełnomocnictwami. W Kolorado urządzono mi niesłychaną owację, z przemowami i orkiestrą. Lecz gdy wyszedłem z pociągu w Waszyngtonie zgubiłem się w tłumie i dotychczas czuję się zagubiony. Jednak powoli przyzwyczajam się. Bob też. On przyjechał ze mną.

Edwards na chwilę zamilkł i napił się herbaty.

— Pani nigdy nie bywa w parlamencie, missis Freeman?

— Bardzo rzadko. Kto stale mieszka w Waszyngtonie, ten odkłada takie wizyty, bo może zawsze tam pójść. Natomiast czytam gazety.

Gość z ciekawością rozglądał się po pokoju.

— Czy pani zawsze tutaj mieszkała? Pani urodziła się w Waszyngtonie?

— Nie. Mieszkam tutaj zaledwie dwa lata.

— A ma się wrażenie, że pani należy do tego domu, jakby on zawsze był pani! Posiada pani stare obrazy, meble, dobre książki, z których widać, że były czytane, że żyło się z nimi... Jest coś niezwykle ujmującego w domach, w których się długo mieszkało — właśnie pani dom do takich należy. Odczuwa się specjalny urok... Jakby to powiedzieć? Tradycję...

— Tradycja... Czasami mi się zdaje, że to jest bardzo wątpliwa przewaga! W ludziach wiernych tradycjom bardzo często nie ma nic więcej!

W głosie Mary mimo woli zadźwięczała gorycz; Edwards zauważył to i zmienił temat rozmowy.

Dziewczyna dziwiła się, z jaką łatwością i swobodą rozmawiała z człowiekiem, który jeszcze wczoraj był jej nie znany. Niepostrzeżenie dla siebie przeszli z tematów towarzyskich na wymianę szczerych myśli i zdań. Edwards był prosty jak dziecko i wyraźnie znajdował przyjemność w obcowaniu z nią. Mary zdawała sobie sprawę, że znajomość ta prędko się skończy, jak kończyły się wszystkie jej znajomości... Lecz interesował ją ten dziwny, prosty-

duszny człowiek z dalekiego Zachodu, z prostymi, jasnymi myślami. W jego każdym słowie odbijała się szlachetność i czystość duchowa.

— Szczerze się cieszę, że panią poznałem — rzekł Edwards. — W Waszyngtonie prawie nigdzie nie bywam i nikogo nie znam, oprócz posłów. Przyjemnie jest spotkać człowieka nie mającego nic wspólnego z walką polityczną i patrzącego na świat z innego punktu widzenia...

— Obawiam się, że się pan rozczaruje. Jestem bardzo nieuświadomiona. Nigdy nawet nie byłam w Kolorado.

Edwards ożywił się.

— To jest prześliczny kraj! Gdyby pani widziała nasze góry! Nic bardziej majestatycznego nie można sobie wyobrazić! Prawie całe życie spędziłem tam na łonie przyrody.

Mary uśmiechnęła się.

— Zapewne jest panu bardzo ciasno w mieście?

— O tak! Czasami mam wrażenie, że się duszę! Wówczas wyjeżdżam za miasto konno. W tym celu specjalnie sprowadziłem Jenny, moją klacz. Przywykłem do wsi, co robić! Swego czasu pracowałem na farmie.

— Widocznie pańskie życie było bardzo ciekawe, jeżeli pan zrobił karierę w przeciągu tak krótkiego czasu — zauważyła dziewczyna.

— Nie wiem, naprawdę. Na ogół miałem szczęście. Po powrocie z wojny udałem się na poszukiwanie złota, włóczyłem się z miejsca na miejsce, bez specjalnego szczęścia. Później, pewnego pięknego dnia, znalazłem...

— Złoto?

— Nie. Chociaż to dziwne, nie złoto, a naftę. Zmęczyłem się tą włóczęgą. Miałem trochę pieniędzy. Kupiłem kawałek ziemi w Teksasie, by prowadzić hodowlę bydła. Ziemia nie była nadzwyczajna, nie nadawała się do uprawy, lecz kupiłem ją tanio. Nie upłynęły trzy miesiące, jak odkryłem źródła nafty! Posypały się dobre propozycje. Sprzedałem ziemię za doskonałą cenę i powróciłem do rodzinnego Kolorado. Początkowo pracowałem u adwokata — w młodości bowiem otrzymałem przyzwoite wykształcenie. Zacząłem się interesować polityką i wreszcie głuptasy wybrali mnie do Kongresu! Przyjechałem do Waszyngtonu pełen szlachetnych zamiarów przysłużenia się ojczyźnie, lecz, zdaje mi się, nie ma ich gdzie zaszcześcić! U nas, w parlamencie, wszyscy są pochłonięci niesnaskami partyjnymi, jak gdyby posłów wysyłano specjalnie po to, by się kłócili, a nie by pracowali dla dobra kraju!

— Jeżeli posiada pan stałe zasady, jestem pewna, że z czasem przyniosą one owoce.

— Mam nadzieję — spokojnie powiedział Edwards. — Myślę, że z czasem przyniosą owoce.

John zbliżył się do gościa.

— Jutro znów pójdę nad rzekę łapać kijanki — oświadczył, wyzywająco patrząc na Mary. — Jeżeli utonę, to pan przyjdzie mnie ratować?

— No, oczywiście. Tylko musisz mi zawczasu powiedzieć, kiedy będziesz tonął.

— Jutro — powtórzył chłopczyk. — Czy można, mamó?

Mary uśmiechnęła się sztucznie.

— John, pan Edwards jest bardzo zajęty. Nie może pojechać do parku Rock dlatego właśnie, że ty tego chcesz!

— Może, mamó. Sam mi powiedział, że może.

— John, będziemy przyjaciółmi — rzekł Edwards. — Zobaczysz! Jeżeli mama zgadza się zawieźć cię do parku po śniadaniu, to przewiozę cię konno na moim koniu! Oczywiście, jeżeli missis Freeman nie będzie miała nic przeciwko temu?

Słowa „missis Freeman” przypominały Mary o okrutnej rzeczywistości, uzmysłowivszy jej fałszywą sytuację. Prosta szczerłość Edwardsa zburzyła jej zwykłą skrytość. Z jaką łatwością uległa czarowi tego człowieka! Jak inni, on też odwróci się od niej z chwilą, gdy się dowie o jej historii. Wstała i spokojnie powiedziała, nie patrząc na gościa:

— Niestety, to jest niemożliwe, panie Edwards.

Poczuła na sobie zdziwiony wzrok gościa. Niezdecydowanie wstał, nie wiedząc, czym ma wyjaśnić nagłą zmianę w postępowaniu i głosie młodej kobiety.

— John, może mama pozwoli ci innym razem — rzekł łagodnie. — Do widzenia, przyjacielu!

John gotów był się rozpłakać z rozpaczy, ale bohatersko stłumił łzy i wybiegł z pokoju.

Mary nagłym ruchem odwróciła się do Edwardsa, w porywie wdzięczności.

— Panie Edwards, nigdy nie zapomnę panu i panu Hestingsowi tego, co zrobiliście dla mnie! Proszę, by pan nie uważał mnie za niewdzięczną. Jest pan bardzo dobry, że zechciał do nas przyjść. Życzę panu z całego serca powodzenia w pańskiej pracy. Żegnaj pana.

Edwards ujął wyciągniętą do niego dłoń. Było aż nazbyt jasne, że pani Freeman nie życzy sobie podtrzymywać znajomości. Zrobiła to jednak tak uprzejmie, że nie czuł się obrażony. Odczuwał jednakże zdumienie i żal.

— Dziękuję — rzekł spokojnie. — Było mi bardzo przyjemnie spędzić z panią kilka miłych chwil.

Przy wyjściu gość się odwrócił.

— Gdyby pani zechciała odwiedzić Kongres, będzie mi nad wyraz miło ofiarować pani i jej mężowi bilety wstępu na miejsca członkowskie.

Mary nie mogła mu spojrzeć w oczy. Wyszepiała słowa podziękowania i odwróciła się.

Edwards spojrział na nią z ciekawością i wyszedł z pokoju.

Rozdział IV

POSEŁ ZE STANU KOLORADO

Benowie już od kilku lat mieszkali w Waszyngtonie. Nabyli duży dom, w którym wydawali częste przyjęcia i wieczorki. Pragnienie pani Ben spełniło się. Weszła „do towarzystwa”. Kochająca matka nie wątpiła, że jej córki z czasem porobią wspaniałe partie. Starsza, Natalia, była świetnie wychowana. Grała na fortepianie i na harfie, po francusku paplała nie gorzej od guwernantki, lecz mimo to była nudna i bezbarwna. Na próżno matka starała się wyrobić w niej wesołość i światowy polor — zalety, jakimi były przeważnie obdarzone jej rówieśniczki. Natalia była posłuszna, zachowywała się skromnie i bez zarzutu. Znajome panie pragnęły jej przyjaźni dla swych lekkomyślnych córek w nadziei, że dziewczyna wywrze na nie zbawienny wpływ. Ale starający się, którzy się zjawiali w domu Benów na krótko, znikali, wołąc od niej jej lekkomyślne przyjaciółki. Biedna dziewczyna rozpaczała i nie mogła tego zrozumieć. Ale matka nie traciła nadziei. Była pewna, że wcześniej czy później zjawi się wymarzony kandydat — niezbyt młody, z dobrym stanowiskiem społecznym i wystarczająco doświadczony, by zrozumieć i ocenić należycie taką dobrą dziewczynę, jak Natalia.

Gdy młodsza córka Benów, Zofia, zawiadomiła o swoich zaręczynach z synem chicagowskiego bankiera, pani Ben zupełnie poważnie zastanowiła się, co zrobić ze starszą córką. Steve Edwards, nowy poseł ze stanu Kolorado był odpowiednią partią. Był bogaty, przystojny, otwierał się przed nim szeroki horyzont wszelkich możliwości na przyszłość. Wprawdzie nosił jakieś dziwne krawaty i niskie, miękkie kołnierzyki, a do znajomych pań zwracał się często „szanowna pani” lecz te błędy były do naprawienia. Podobał się Natalii. I wreszcie znalazł się człowiek, który tańczył tak samo nieźle, jak i ona!

Edwards często bywał u Benów, rozmawiał z nimi o Kolorado, gdzie Benowie mieszkali w młodości, jeździł konno z Natalią, chętnie gawędził z Augustem Benem o stanie giełdy nowojorskiej i o cenach terenów w Waszyngtonie, o polityce ekonomicznej rządu...

Pani Ben wyraźnie sprzyjała Edwardsowi. Zatem zupełnie zrozumiała, że zwrócił się do niej po informacje dotyczące Mary Freeman. Opowiedział jej krótko o tym, w jaki sposób zawarł z nią znajomość, szczerze zachwycił się chłopcem i jego „matką”.

Oblicze pani Ben pokryło się smutkiem.

— Biedna Mary! — westchnęła. — Nie wiem, czy mam prawo opowiadać o jej nieszczęściu... Ale ta historia jest wszystkim znana. To dziwne, że dotychczas jej pan jeszcze nie słyszał...

— Spotkało ją nieszczęście? — zdziwił się Edwards.

— Najgorsze, jakie może się zdarzyć kobiecie!

— Nie rozumiem... Jej mąż?

— Ona nazywa siebie „missis” Freeman, ale ona nie ma... męża.

— A dziecko?

— To jej dziecko. Ubóstwia go i poświęciła mu całe swe życie. To wszystko. Cała historia w dwóch słowach!

Edwards siedział milcząco, z wzrokiem utkwionym w dywan.

— Tak mi jej żal — mówiła dalej pani Ben. — Wszyscy jej żałują... Była czarującą dziewczyną. Poznałyśmy się w podróży, na Zachodzie. Było ich dwie siostry: Mary i Polly. Miłe, wesołe panienki. Właśnie mieliśmy wyjeżdżać do Waszyngtonu i miałam nadzieję spotkać się z nimi znów w Nowym Jorku, gdy... gdy to się stało. — Umilkła na chwilę.

Edwards podniósł głowę.

— Proszę opowiedzieć mi wszystko, pani Pen.

— Historia jest prosta. W ciągu zimy, którą spędziliśmy tutaj, siostry Freeman wyjechały z Nowego Jorku do Francji. Natalia miała wówczas 16 lat. Była do nich ogromnie przywiązana. Wszystko to było bardzo ciężkie dla niej.

Edwards w milczeniu kiwał głową.

— Cały rok nic o nich nie było słyhać. Potem dowiedzieliśmy się, że Polly mieszka sama w Paryżu, a Mary zaszyła się gdzieś w Bretanii, w małej wiosce. Mary, taka wesoła, pełna radości życia, towarzyska... Nikt tego nie mógł zrozumieć. Nawet Polly, zdawałoby się, nie umiała tego wyjaśnić. Mary miała poważny powód!

— I co dalej? — spokojnie zagadnął Edwards, gdy umilkła.

— Polly wyszła za mąż w Paryżu. Wkrótce po jej ślubie zaczęto szeptać o Mary. Ktoś ją widział w Bretanii z dzieckiem. Była to właśnie przyczyna, dla której nie wracała do Nowego Jorku.

— Czy nie były to tylko plotki, proszę pani? Jest pani pewna, że to prawda?

— Niestety. Przed dwoma laty Mary zamieszkała w Waszyngtonie ze swoim synem. Byłam z Natalią u niej z wizytą. Natalia ma bardzo dobre serce, panie Edwards! Mary była spokojna i bardzo skryta. Zmieniła się ogromnie. I, wie pan, obydwie odniosłyśmy wrażenie, że ona zupełnie się nie wstydzi swego upadku, najzupełniej... Natalia zdziwiła się niezmiernie. Oczywiście, nie pytałyśmy o nic. Zachowała się z taką dumą, że było to niemożliwe.

— A potem?

Pani Ben wymownie wzruszyła ramionami.

— Widząc, że Mary nie chce nas wtajemniczyć w swoje nieszczęście, posiedziałyśmy u niej niedługo i wyszłyśmy. Okropna sytuacja, panie Edwards, szczególnie dla chłopca. Takie miłe dziecko!

— Cudowne dziecko!

— Biedna Mary, świata poza nim nie widzi.

— Zauważyłem to.

Po chwili Edwards zapytał:

— Ona wcale nie ma znajomych? Nikt u niej nie bywa?

— Zawsze czuję się przy niej skrepowana. W niczym nie mogę jej pomóc. Mary nie re-wizytowała nas, więc przestałam u niej bywać.

— Wszyscy się od niej odwrócili?

— Niestety, panie Edwards. Mary nie jest przyjmowana w towarzystwie waszyngtońskim.

— Rozumiem. Nikt nie wie, kto jest ojcem Johna? — zapytał po chwili.

— Nikt! W tym tkwi cała tajemnica. Mary nikomu nigdy o tym nie mówiła. Jest w niej jakaś dziwna godność. Czasem zdaje mi się, że ona jest lepsza od wielu pań z towarzystwa, które się od niej odwracają, spotykając ją na ulicy!

— Ma pani rację! — z głębokim przekonaniem potwierdził Edwards. — Widziałem panią Freeman zaledwie dwa razy, ale jestem przekonany, że większość naszych światowych pań nie jest warta jej palca!

Pani Ben była nieco zdziwiona poruszeniem gościa.

— W zupełności zgadzam się z panem — odparła obojętnie. — Natalia też jest tego zdania. Nic dziwnego, że taki człowiek jak pan broni nieszczęśliwą kobietę... Ale cóż możemy na to poradzić? Ani ja, ani Natalia nie możemy bywać w domu, w którym nas nie chcą, prawda?

— Nie wiem, proszę pani — spokojnie zaprzeczył Edwards. — Gdyby dobroć pani była tak wielka, żeby chodzić tam tak długo, aż panią zechcą...

Pani Ben wydało się, że Edwards ją źle sądzi. Szczerość gościa oszołomiła ją nieco.

— Pan nie zna Mary Freeman tak dobrze, jak ja — powiedziała niezadowolona i umilkła.

Młody deputowany, wracając do domu, wspominał swoją niedawną rozmowę z Mary. Teraz rozumiał, dlaczego młoda kobieta tak nagle zmieniła się. Przyjęła go z wdzięcznością za oddaną przysługę. Podczas miłej rozmowy przy herbacie zapomniała o swojej fałszywej pozycji w świecie. Ale parę słów wróciło ją do rzeczywistości. Edwards często wspominał to spotkanie. Wbrew swej zasadzie mówił wiele o sobie, a Mary zarzucała go pytaniami, w których wyczuwało się szczere zainteresowanie. Od swego przyjazdu do Waszyngtonu z nikim nie spędził tak miłego czasu, z nikim nie czuł się tak swobodnie i dobrze. Zdawało mu się, że młoda kobieta na chwilę otworzyła przed nim swoją duszę — szlachetną, pełną tęsknoty i samotności. A on przypadkiem, przez swą prostoduszną szczerość znalazł odpowiedni ton, który wzbudził w niej zaufanie i na chwilę kazał jej zapomnieć o zwykłej powściągliwości.

Dla Edwardsa kobiety były epizodami, przelotnymi wrażeniami, jedna tylko głęboko zadrasnęła jego serce — przed wielu laty. Jaskrawy motyl, który oślepił go na chwilę, sparzył szybkim płomieniem jego serce i uleciał w nieznaną dal.

Mary Freeman nie była podobna do tej kobiety. Miała wprawdzie takie same niebieskie oczy jak Ellis Cherly, lecz z jej oczu wyzierała tajemnicza głębia — tak, jakby patrzyła w mrok. Mary nie była bezwolna i tchórzliwa jak Ellis. Odwaga, z jaką niosła skutki swego grzechu, jej dumna skrytość, mimo woli wzbudzała szacunek. Jednocześnie była w niej dziwna miękkość, pochodząca z miłości do dziecka. Edwards z oburzeniem myślał, że niewinne dziecko stało się ofiarą okrucieństwa czy podłości nieznanego łotra.

W domu czekała go pilna praca, lecz on zagłębił się w fotelu, skręcił papierosa i rozmyślał o nieszczęśliwym losie Mary Freeman. Wydało mu się okrutną niesprawiedliwością, by kobieta płaciła taką cenę za grzech popełniony z mężczyzną, który teraz jest wolny i nie znosi żadnych kłopotów i ciężarów. Gdyby nie dziecko, Edwards nigdy nie uwierzyłby, że coś po-

dobnego mogło stać się z Mary. Taki postępek jakoś nie licował ze spokojną siłą jej charakteru...

Jego wrodzona szlachetność wzdragała się na myśl, jak opinia postąpiła z nieszczęśliwą kobietą. Lecz cóż robić? Duma zmusiła ją do zerwania nawiązanej przyjaźni, w to nie wątpił. Jak przywrócić jej zaufanie? Dobrowolnie odeszła od swoich dawnych przyjaciół i zapewne nie zechce zawierać nowych znajomości.

Opowiadanie pani Ben wzmogło w nim tylko pragnienie poznania bliżej młodej kobiety. Żał mu jej było z całej duszy i chciał dowieść jej swojej przyjaźni. Kilka razy zamierzał ją znów odwiedzić, ale nie mógł się odważyć.

Bob Hestings był u Mary i został zaproszony na obiad. Sekretarz opowiedział, że bardzo przyjemnie spędził czas, lecz że missis Freeman nie zapraszała go więcej.

Wreszcie nadeszła zima. Rozpoczęły się posiedzenia Kongresu i Steve przestał myśleć o Mary, zajęty innymi troskami.

Edwards wygłosił swoją pierwszą mowę, na którą przewodniczący komisji udzielił mu tylko pięć minut czasu. Nowy poseł mówił prędko, z dużym przekonaniem i z gruntowną znajomością rzeczy. Mowa zrobiła duże wrażenie. Koledzy ze stanów zachodnich podeszli uściśnić mu dłoń.

Właśnie w tej chwili, spojrzawszy zupełnie przypadkowo na trybuny dla publiczności, Edwards ujrzał Mary Freeman. Młoda kobieta była wychylona naprzód i z zainteresowaniem śledziła przebieg obrad. Edwards spiesznie wyszedł z sali i spotkał ją na schodach.

Mary była lekko zażenowana, jakby ją ktoś złapał na gorącym uczynku, lecz serdecznie odpowiedziała na pozdrowienie.

— Często myślałem o pani i o Johnie, missis Freeman — rzekł Edwards. — Jak się ma chłopak?

— Dziękuję, doskonale. Podobała mi się pańska mowa, panie Edwards. Wszyscy słuchali pana z dużym zainteresowaniem.

— Pięć minut! — uśmiechnął się poseł. — Więcej czasu początkującym nie udziela się. Trafiłem w skład komisji i przewodniczący zdecydował wypróbować moje siły. Czy pani często bywa na posiedzeniach?

— W ostatnich czasach, tak. To bardzo interesujące, prawda?

— Czasami. Niezbyt wiele czasu spędzam na posiedzeniach. Główna praca Kongresu odbywa się nie tu, a w komisjach.

Po chwili cicho dodał:

— Myślałem już, że nigdy więcej nie zobaczę pani!

— Cieszę się, żeśmy się spotkali — odrzekła uprzejmie Mary. — Ale teraz, naprawdę, najwyższa pora wracać do domu.

Szedł z nią przez korytarz, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Lecz postanowił nie opuścić jej, zanim nie zdoła nawiązać przerwanej znajomości.

— Bardzo chciałem odwiedzić panią znowu, missis Freeman, lecz nie mogłem się zdecydować. Zdawało mi się, że pani mnie nie przyjmie.

— Dlaczego?

— Nie będzie pani uważała tego za natręctwo?

— Przykro mi, że pan tak mówi, panie Edwards.

— Jeden Bóg raczy wiedzieć, jakbym pragnął myśleć inaczej! Czy pomoże mi pani pozbyć się tego wrażenia?

W szczerść Edwardsa nie można było wątpić. Mary uśmiechnęła się.

— Przecież powiedziałam już, że cieszę się z dzisiejszego spotkania.

— Miałem nadzieję... myślałem, że mogę bywać u pani — burknął niewyraźnie. Zrobił pauzę, jakby chciał nadać większe znaczenie słowom, i zapytał: — Czy mogę nadal mieć nadzieję, missis Freeman?

Doszli do balkonu nad marmurowymi schodami. Mary zatrzymała się zamyślona, patrząc w dół. Trudno jej było wyrazić to, co chciała powiedzieć Edwardsowi. Nie mogła być dla niego szorstka, po tym, co dla niej zrobił. Jednocześnie była prawie pewna, że on już wie, dlaczego ona nie chce przedłużać ich znajomości.

— Mieszkam i żyję samotnie, panie Edwards — rzekła powoli. — Mój dom to nudny dom. Nie myślę, by pan zechciał u mnie bywać.

— Bardzo chcę — zaśmiał się Edwards. — O to właśnie chodzi. Często wspominam panią, Johna i pani przemiły dom. W tak miłym domu nigdy nie byłem od chwili, gdy wyjechałem z Kolorado. I chłopiec pani polubił mnie. Pani sama mi to mówiła, czy pani sobie przypomina?

Mary patrzyła w dal, ważąc w myślach jego słowa.

— Tak, to prawda — szepnęła w zamyśleniu.

— W takim razie — szybko podchwycił Edwards — dlaczego nie mielibyśmy się spotykać i spędzać w trójkę miłych chwil? Jestem zupełnie samotnym człowiekiem i byłbym szczę-

śliwy, gdybym mógł częściej bywać u pani. Wszystko szło jak najlepiej dopóki pani nie uważała za stosowne zerwać naszej znajomości. Moja wizyta u pani przypomina mi jedną przygodę, jaką miałem w Kolorado, podczas kampanii wyborczej. Moim konkurentem był niejaki Jim Dooson, podły chłop, którego za wszelką cenę postanowiłem zwyciężyć. Walka była okrutna. Ani ja, ani on nie liczyliśmy się ze słowami, gdyśmy mówili jeden o drugim... Kiedyś jechałem konno z Trinidad w Pueblo i zajechałem do rancza koło drogi, by odpocząć i trochę się posilić. W domu nie było nikogo prócz uprzejmej staruszki. Powiedziałem jej, że jestem głodny. Zrobiła mi jajecznicę i kawę. Poszedłem do pokoju stołowego i usiadłem przy stole. Jajecznica tak pachniała, że ślinka ciekła! Gdy zdjąłem kapelusz, staruszka nagle spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy i rzekła: „Proszę zaczekać, nie jeść. Panie, jak pan się nazywa?”. „Edwards — Steve Edwards”. „Steve Edwards! Gdybym wiedziała, kto pan taki, nie smażyłabym panu jajecznicy!”. Zabrała mi talerz sprzed nosa. Zostałem głodny z widelcem w ręku! Wskazała mi palcem drzwi i krzyknęła: „Jestem matką Jima Doosona. Wynoś się natychmiast. Kto szkaluje mego syna, nie może jeść jajecznicy w moim domu!” — Steve zaśmiał się. — Odjechałem jak niepyszny. To posłużyło mi jako nauczka; nigdy nie chodzić do ludzi, nie mając pewności, że będą mi radzi!

Mary słuchała spokojnie, lecz gdy skończył, zaśmiała się.

— Naprawdę uważa pan, że postąpiłam z panem jak pani Dooson?

— Niezupełnie — uśmiechnął się. — Pani najpierw nakarmiła mnie sandwiczami!

Uśmiech znikł z twarzy Mary. Spuściła głowę. Podobał jej się ten człowiek, podobał się od pierwszego spotkania. Jego prostota i świeżość były czarujące. Dlaczego się waha? Czyżby ze strachu, że okaże się nie lepszy niż inni, gdy pozna ją bliżej? Sama nie wiedziała.

— Teraz rozumiem, dlaczego wybrano do Kongresu pana, a nie Jima Doosona! — powiedziała z uśmiechem.

— Dlaczego?

— Wyborcy wiedzieli, że pan umie dopiąć tego, czego chce! Twarz Edwardsa rozjaśniła się w uśmiechu.

— Więc pozwala mi pani bywać u siebie?

— Bardzo proszę — powiedziała Mary, wyciągając dłoń. — Najwyższa pora, żebym poszła do domu. Aby panu dowieść, że nie jestem podobna do pani Dooson, proszę pana jutro na obiad. Nikogo nie będzie prócz mnie i Johna. Przyjdzie pan?

— Oczywiście! Z prawdziwą radością.

— A więc postanowione. Wpół do siódmej — to ze względu na Johna. Do zobaczenia, do jutra!

2

Deputowany z Kolorado siedział po prawej stronie Mary, a John naprzeciw niego, z filiżanką kakao i z grzanką. Edwards opowiadał chłopcu, który słuchał z szeroko otwartymi z zachwytu oczami, o swoim życiu w górach i stepach Zachodu, o koczowniczych wyjazdach, o łapaniu dzikich bizonów za pomocą arkanów; o tym, jak pierwsi przybysze ze Wschodu wojowali z plemionami indiańskimi, jak polowali na bizona, dopóki prawie wszystkie nie wyginęły, oprócz kilku sztuk, które teraz trzymają w parkach narodowych i w ogrodach zoologicznych, pokazując je za pieniądze. Opowiadał o wyprawach w góry, gdzie sypiał pod gołym niebem, poszukiwał złota i strzelał dzikie jelenie, te same, które łapał Dziadek Mróz, by je zaprząć do swoich sań. Naśladował krzyki zwierząt, sów i innych ptaków.

John omal nie oszalał z radości i wpadł w takie podekscytowanie, że Mary dała do zrozumienia Edwardsowi, by opowiadał mniej ciekawe rzeczy.

Po obiedzie, olbrzymi mężczyzna chodził na czworakach po dywanie, posadziwszy dziecko na plecach i udawał dzikiego konia, którego John tresował. Skończyło się to tym, że koń stał się spokojny i cichy, ku ogromnemu zadowoleniu jeźdźcy.

Francuzka, guwernantka, która obserwowała z progu „tresurę”, zbliżyła się do chłopca i oświadczyła, że pora pójść spać.

Chłopak nie chciał pójść. Nigdy w domu nie było i nie będzie takiego nadzwyczajnego gościa!

— Najwyższy czas, kochanie — powiedziała stanowczo Mary. — Już dziesiąta.

Żegnając się na dobranoc z Mary, John objął ją za szyję i szepnął:

— Zaprosisz go znów mam, prawda?

— Tak kochanie.

— On mi się bardzo podoba, mam! Z niego taki ładny koń!

Mary zaśmiała się.

— No, idź spać. Dobranoc!

Chłopak podszedł do Edwardsa i wyciągnął rączkę.

— Następnym razem będziemy się bawili w Indian, dobrze?

— Naturalnie. I będziemy łapali dzikie bizony!

— Prawdziwym arkanem?

— Oczywiście! Kupię ci arkan, jeżeli zaraz pójdziesz do łóżka i prędko zaśniesz!

Guwernantka ujęła Johna za rękę i zaprowadziła na górę, zmęczonego i szczęśliwego.

— Obawiam się, że go pan do reszty zepsuje — uśmiechnęła się Mary. — Teraz w nic nie będzie się bawił, tylko w tresowanie konia!

— Trzeba będzie nauczyć guwernantkę!

Dziewczyna zaśmiała się. Edwardsowi podobał się jej śmiech. W jej oczach zapalały się wesołe iskierki i wtedy ginęło wrażenie, że patrzą w ciemność.

Wyjął tytoń i bibułkę, skręcił papierosa, odmawiając zapalenia świetnych cygar, jakie Mary kupiła specjalnie dla niego. Rozmowa znów zeszła na Johna.

— Nadzwyczaj wesoły chłopak — rzekł Edwards. — Dziwne, ale mam takie wrażenie, jakbym go znał od dawna.

— Mnie też to bardzo dziwi, jak prędko John przywiązał się do pana! Zazwyczaj jest bardzo nieśmiały z obcymi, szczególnie z mężczyznami. Ale pan mu się podoba!

— Może przez wzgląd na niego pozwoli mi pani znów przyjść?

— Zdaje się, że będę musiała pozwolić — uśmiechnęła się.

Rozdział V

PRZYJAŹŃ

Mary nie bez trudu przyzwyczaiła się do nowej sytuacji. Dawno już postanowiła nie nawiązywać znajomości z obawy przed następnymi upokorzeniami. Z doświadczenia wiedziała, jak ciężkie jest przebudzenie i powrót do rzeczywistości po oczarowaniu nową znajomością. W domu Beatrycze de Salignac, na przykład, nieraz spotykała panie, które początkowo były z nią serdeczne, lecz przy następnych spotkaniach stawały się zimne i nadęte. Była obojętna w stosunku do takich ludzi, lecz osad goryczy w duszy pozostawał.

Po kilku wizytach Edwardsa przekonała się, że on zna jej historię — tę oczywiście, która była znana całemu Waszyngtonowi. Nie zmienił się w stosunku do niej, był pełen szacunku, specjalnie podkreślanego, i unikał rozmów dotyczących jej osobistego życia, szczególnie przeszłości. W rozmowie odnajdowała zawsze drogi, którymi mogła pójść za nim swobodnie. Otworło się przed nią wiele ciekawych myśli, życie nabrało nowej wartości. Dawne wątpliwości znikły. Dziewczyna przekonała się, że on jest taki, jaki jej się wydał pierwszego dnia — prosty, wspaniałomyślny, dobry człowiek i uczciwy przyjaciel, który przychodził do niej tylko dlatego, że mu się podobało spędzić z nią czas — z nią i Johnem, a nie w jakimś innym celu. Nauczyła się odkrywać jego duszę pod nieco szorstką zewnętrzną powłoką i zaborczym sposobem bycia — bezpośrednią i prostą jak u dziecka. Możliwe, że właśnie prostota Edwardsa tak szybko ujęła Johna. Albo inny, bardziej subtelny instynkt podszeptał chłopcu, że zawierając nową przyjaźń, nie popełni omyłki...

Beatrycze de Salignac знаła Edwardsa i cieszyła się z jego przyjaźni z Mary. Będąc jednak mądrą kobietą, o nic ją nie wypytywała. Mary sama zwróciła się do niej po radę, czy przyjmując propozycję Edwardsa — wspólnych spacerów konnych.

— Dlaczego nie? — odparła przyjaciółka. — Przecież bywa u ciebie w domu.

— To nie to samo. Tutaj nie kłuję nikogo w oczy. Sam szuka mego towarzystwa.

Beatrycze wzruszyła ramionami.

— Dlaczegoż nie miałabyś kłuć ludzi w oczy? Na twoim miejscu nie namyślałabym się ani jednej chwili i spokojnie jeździłabym z nim konno. Edwards wiedział, co robi, gdy ci to proponował. Przecież mu ufasz?

— O, tak. Bardzo mi się podoba.

— Więc o co chodzi? Gadać i tak będą, nie warto zwracać na to uwagi!

Mary poszła za radą przyjaciółki. Edwards wysłał naprzód konie za miasto, dokąd Mary przywiozła go swoim autem. Już zbadał wszystkie ścieżki i brukowane drogi. Asfaltową szosę i domy dawno pozostawili za sobą.

Wjechali szybko na szczyt pagórka i zatrzymali się na skraju lasu. skąd było widać daleką kopułę Kapitolu.

— Pięknie, prawda? — rzekł Edwards. — Gmach Kongresu! Swego rodzaju centrum świata. My, Amerykanie, mamy wiele wad, lecz jest też czym się poszczycić. Zawsze, ilekroć patrzę na Kapitol, doznaję radosnego wzruszenia.

Opowiadając jej o swej pracy w Kongresie, powiedział, że prezydent wezwał go wczoraj do Białego Domu.

— Naprawdę? — ucieszyła się Mary. — Opowie mi pan, o czym mówiliście?

— Oczywiście! Prawdę mówiąc, dlatego właśnie zabrałem panią tutaj! Prezydent chce zachować dla państwa ogromne tereny ziemi i lasów, którym grozi niebezpieczeństwo przejścia w prywatne ręce. Bardzo mnie interesuje ta sprawa.

— Tak, pamiętam. Pańska mowa...

— Ransom, przewodniczący naszej komisji, był zeszłego tygodnia na śniadaniu w Białym Domu i prezydent poruszył tę sprawę. Rząd posiada na zachodzie rozległe tereny z rzekami, które znakomicie można wykorzystać do wytwarzania energii elektrycznej. Niedawno odkryto tam olbrzymie pokłady minerałów: złota, srebra, żelaza, miedzi... Jeden z największych syndykatów nowojorskich dąży do zawładnięcia tą ziemią, odkupując ją od rządu po sztucznie zaniżonej cenie. W Waszyngtonie ci ludzie mają zwolenników, którzy po cichu pracują nad tym, by projekt ten mógł być zatwierdzony przez Kongres. Ransom, prezes naszej komisji, wie coś o tych terenach, tak samo jak i ja. przeprowadziliśmy śledztwo. Okazało się, że te tereny są warte miliony!

— Czy prezydent wie o tym.

— Tak, Ransom przedłożył mu sprawozdanie.

— I oczywiście nie dopuści do przeprowadzenia tego projektu?

— Nie. Trudno mu to zrobić. Nie pozwalają przyczyny natury politycznej. W stanie Nowy Jork niedługo będą wybory. Prezydent nie chce psuć stosunków z niektórymi działaczami politycznymi, którzy są członkami syndykatu pragnącego skraść państwową własność.

— Czyżby naprawdę nic nie mógł zrobić? To nie możliwe!

Edwards uśmiechnął się.

— Mówiłem pani, że prezydent wezwał mnie do siebie!

— Więc?

— Byłem u niego nie w kancelarii, a w Białym Domu.

— Dlaczego?

— Dlatego, że on chce obalić ten projekt, chociaż z politycznych względów nie może tego zrobić otwarcie! Ransom przyrzekł zrobić wszystko, co w jego mocy, ale cóż, on jest stary. Jednym słowem, zdecydowali mnie powierzyć walkę w Kongresie!

— Och, jak cudownie! — wykrzyknęła Mary. — Pan się zgodził?

— Oczywiście. Taka okazja wyróżnienia trafia się raz w życiu! Lecz walka będzie niełatwa. Ci ludzie są potęgami finansowymi i politycznymi.

— Kto stoi na czele syndykatu?

— James K. Kartys i jego koledzy z Wall Street.

— Kartys! Ojciec Sama Kartysa? Sam Kartys był mężem Georgii!

— Tak jest. Sam Kartys z żoną przebywają obecnie w Waszyngtonie w celu prowadzenia kampanii na rzecz projektu. Wynajęli dom na Sharidan Cercle. Mają wydać kilka balów i obiadów, na które będą proszeni „wplywowi ludzie”. Czy pani zna Kartysów, missis Freeman?

— Owszem, znam — odrzekła Mary. — Przedtem mieszkałam w Nowym Jorku.

— Nie przypuszczają nawet, z jakim się spotkają sprzeciwem! Ransom jest starszym człowiekiem lecz ma wielu przyjaciół w stronnictwie i ma duże doświadczenie polityczne. Zrobi wszystko, by projekt został obalony, by prezydent nie musiał wyrażać swego weta. Otwartą walkę przeciwko Jamesowi Kartysowi ja poprowadzę! Wystąpię na posiedzeniach Kongresu. Podobno stary Kartys to niebezpieczny wróg. Czy widziała go pani kiedyś?

— Tak, to jest mały, spokojny człowiek, z zimnymi, szarymi oczami i kwadratowym podbródkiem.

— Mały? Byłem przekonany, sądząc z portretu, że jest wysoki. A czy zna pani również żonę Sama Kartysa?

— Swego czasu znałyśmy się. Dlaczego pan pyta?

— Ot, tak sobie. Jestem zaproszony do nich na obiad.

— Jedźmy dalej! — powiedziała nagle Mary i spięła konia ostrogą.

Chciała zyskać trochę czasu, by zebrać myśli. Georgia w Waszyngtonie! Mary nie widziała jej przeszło pięć lat, od chwili tej nieszczęsnej rozmowy w paryskim hotelu. Miała na-

dzieję, że nie ujrzy jej więcej. Myśl o tym, że Steve Edwards będzie na obiedzie u Georgii, sprawiała jej przykrość.

Gdy koń zaczął iść stępą, dziewczyna niedbale zapytała:

— Przyjął pan zaproszenie Kartysów?

— Tak, chcę tam pójść. Oczywiście, Sam Kartys zaprosił mnie tylko dlatego, że wchodzę w skład komisji Ransoma. No, otwarta walka jeszcze nie rozpoczęła się. Minie trochę czasu, zanim polecą pióra! Nie zaszkodzi poznać wrogów z bliska!

— Pani Kartys to bardzo miła gospodyni — spokojnie powiedziała Mary.

Zmieniłi temat; zaczęli mówić o Beatrycze, o Johnie, któremu Mary zamierzała kupić kucyka, o przyszłej konferencji międzynarodowej. Edwards był w dobrym humorze, mówił dużo, ze swadą, opowiedział kilka zabawnych epizodów ze swej przeszłości.

Powracając autem do miasta, Mary milczała, uważnie prowadząc maszynę. Edwards nie wiedział, o czym myśli, lecz wyczuł, że nie chce rozmawiać i dostosował się do jej nastroju.

2

W kilka dni potem znów przyszedł. Jako pretekst do włożenia wizyty posłużyła zabawka, kupiona dla Johna. Prawdziwą przyczyną jednak była chęć pomówienia z Mary i zapytania ją o zdanie w sprawie nowego ubrania otrzymanego rano od krawca.

Podobne pytanie ze strony innego człowieka wydałoby się śmieszne, ale Edwards zapytał tak prosto i naiwnie, że Mary odpowiedziała zupełnie poważnie:

— Według mnie, leży bardzo dobrze. Ucieszył się jak dziecko.

— Bob powiada, że najwyższa pora przestać już nosić gotowe ubrania! Zamówiłem również frak — z racji tego obiadu u Kartysów. Mam frak, który kupiłem w Treenadadzie, lecz Bob twierdzi, że nie jest odpowiedni na Waszyngton. Rzeczywiście, jest trochę za wąski w rękawach.

Mary uśmiechnęła się.

— Oczywiście, wszystko to są drobiazgi. Lecz dziwna rzecz, do jakiego stopnia ludzie sądzą człowieka według ubrania! Ten garnitur jest zupełnie przyzwoity, prawda?

— Najzupełniej. Tylko wie pan co, panie Edwards... Przyszło mi coś do głowy... Gdyby pan zechciał włożyć inny kołnierzyk... Trochę wyższy... Coś w rodzaju tych, jakie nosi pan Hastings.

Edwards szybko spojrział do lustra.

— Wyższy? Ma pani rację!

— Podobają mi się ciemne kolory — dodała Mary. — Sugerowałabym...

— Co?

— Zamiast jaskrawozielonego, brązowy krawat.

— Naprawdę? Zawsze myślałem, że należy czymś ożywić garnitur. Brązowy? Wobec tego kupię jutro taki na próbę.

— Moim zdaniem, tajemnica elegancji polega na tym, by nic w ubraniu nie rzucało się w oczy i wszystko ze sobą harmonizowało.

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy! — wykrzyknął Edwards, jakby zrobił ważne odkrycie. — Możliwe, że pani ma rację, missis Freeman!

Przy następnym spotkaniu Mary została mile zaskoczona. Zniknął nie tylko zielony krawat i niski kołnierzyk, ale nawet kapelusz z szerokim rondem został zamieniony na bardziej modny. Edwards w nowym ubraniu bardzo zyskiwał. Dziewczyna była zadowolona i pochwalała jej to, że tak chętnie zastosował się do jej rad.

W przeddzień obiadu u Kartysów Edwards zaprosił Mary do kina. Żegnając się z nim przed drzwiami swego domu, powiedziała:

— Jutro wieczorem spotka pan ludzi, którzy swego czasu byli moimi przyjaciółmi. Może będzie lepiej, jeżeli pana uprzedzę, że pani Kartys była zamieszana niegdyś w zdarzenia dotyczące mojej przeszłości. — Na chwilę umilkła i ujęła klamkę drzwi. — Są to rzeczy, których nie lubię wspominać, panie Edwards. Wobec tego będę panu wdzięczna, jeżeli pan... nie będzie z nią rozmawiał o mnie.

Edwards nie mógł dostrzec twarzy dziewczyny, lecz czuł, że w jej oczach maluje się znów wyraz, jakby patrzyła w ciemną przepaść...

— Oczywiście... — wyszeptał. — Jeśli pani tego sobie życzy.

— Dziękuję — odpowiedziała Mary. — Dobranoc.

Gdy Edwards pięć minut przed ósmą wszedł do obszernego hallu domu Kartysów, wspinały lokaj podał mu tacę, na której leżało kilka maleńkich kopert. Przeczytawszy na jednej z nich swoje nazwisko. Edwards wziął kopertę i schował do kieszeni. W salonie czekało go serdeczne przyjęcie ze strony gospodarza, z którym poseł poznał się przed kilkoma tygodniami, w gmachu Kongresu. Kartys był tęgim, jasnym blondynem, liczącym około czterdziestu lat. Missis Kartys miała ciemne włosy i cudowną cerę. Edwards z ciekawością oczekiwał spotkania z kobietą, która odegrała tak tajemniczą rolę w przeszłości Mary Freeman.

Georgia powitała go bardzo mile. Z gości Edwards znał tylko Natalię Ben i Newetta, jednego z kolegów z Kongresu. Georgia przedstawiła go i posadziła obok siebie.

— Bardzo mi miło, że pan przyszedł, panie Edwards. Mój mąż tyle mi opowiadał o pana niezwyklej karierze, że umierałam z pragnienia, by pana poznać! Podobno zdążył pan już stać się najważniejszym człowiekiem w waszej komisji!

Pochlebstwo — pomyślał Edwards. — Pomyliła się jednak myśląc, że złapie mnie na tę przynętę!

— Poprowadzi mnie pan do stołu? — zaproponowała Georgia.

— Jestem bardzo zobowiązany.

— Czyżby pan nie otrzymał koperty?

— Przepraszam, nie otworzyłem jej.

Georgia uśmiechnęła się. Była bardzo ładna, a w oślepiająco oświetlonym, ciepłym salonie, przepojonym zapachem perfum, przypominała cieplarniany kwiat.

— Będziemy siedzieli obok siebie w czasie obiadu; opowie mi pan o swoim życiu!

Podano koktajle. W czasie obiadu nowy poseł siedział po prawej ręce gospodyni. Mimo że wśród zaproszonych były wybitniejsze osobistości, Georgia skierowała cały wysiłek, by go oczarować. Lecz Edwards miał się na baczności i odpowiadał ze spokojnym, dobrodusznym szacunkiem.

Gdy rozmowa stała się ogólna, zwrócił się do Natalii, swojej sąsiadki po prawej stronie. Dziewczyna miała przerażony i zdziwiony wyraz twarzy jak zwykle, gdy się znalazła w większym towarzystwie. Nie dlatego, by była nieśmiała, lecz dlatego, że nie mogła zrozumieć, co się koło niej działo. Natalia była młoda i ciekawa. Wciąż zdawało jej się, że najciekawsze i

najważniejsze rzeczy przechodzą gdzieś obok. Gdy Edwards odezwał się do niej, dziewczyna uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

— Myślałam, że pan nigdy nie zwróci na mnie uwagi! — wykrzyknęła.

— Jak mogła pani tak myśleć! — odparł szczerze. — Jak się pani powodzi? Już dawno nie jeździliśmy razem konno.

— To nie z mojej winy, prawda?

— Nie, zdaje mi się, z mojej. Byłem bardzo zajęty.

Natalia odparła z udaną swobodą:

— Naprawdę? Naturalnie, nie powinnam się skarżyć, ale pan jednakże jeździ konno nadal?

— Bardzo rzadko.

— Z panią Freeman?

Poseł nachmurzył się i nic nie odpowiedział, obracając w rękę szklanę.

— Widziano was razem za miastem — ciągnęła dalej dziewczyna.

— Ach, tak?

— Tak... Nie chcę być niedyskretną, lecz pan mówił, że jest bardzo zajęty... Myślałam...

O Boże! Zawsze powiem nie to, co należy!

Natalia tak się zmieszała, że Edwardsowi zrobiło się jej żal. Była miłą panią, skromną i rozsądną. Lecz miała niefortunne momenty — szczególnie, gdy udawała naiwną; wówczas wydawała się po prostu głupia. Edwards przypomniał sobie słowa powiedziane przez panią Ben o Mary. Natalia, oczywiście, podzielała zdanie matki.

— Bardzo żałuję, że zaczęłam o tym mówić — powiedziała zażenowana.

Uśmiechnął się i zmienił temat rozmowy. W chwilę później, gdy Edwards odwrócił się, by odpowiedzieć na pytanie pani Kartys, na twarz Natalii wrócił wyraz zdumienia.

Rozdział VI

WROGI OBÓZ

Idąc do Kartysów, Edwards był przygotowany na miłe przyjęcie wiedząc, że zaproszono go dlatego, by w zamian otrzymać od niego przysługę. Początkowo po prostu chciał odmówić, lecz potem zmienił zdanie. Jeżeli Sam Kartys nosi się rzeczywiście z zamiarem wykorzystania go dla swoich celów, to będzie lepiej, gdy jak najprędzej zrozumie punkt widzenia Edwardsa.

Przy kawie i cygarach, gdy panie przeszły do salonu, Kartys tak poprowadził rozmowę, by młody deputowany stał się obiektem zainteresowania. Edwards, zręcznie omijając tematy polityczne, opowiedział kilka anegdot myśliwskich. Wszyscy słuchali go z zainteresowaniem — bankierzy, polityk, sekretarz ambasady, adwokat i przemysławiec, gdyż polowanie była ogólną namiętnością. Gdy wstali, by pójść do pań, gospodarz zatrzymał Edwardsa:

— Posiedzimy jeszcze chwilę. Może cygarko, panie Edwards? Może whisky? To z piwnicy Jamesa Kartysa w Nowym Jorku. Zapas przygotowany przez mego dziada w pod koniec zeszłego stulecia.

— Znakomita whisky, panie Kartys.

— Może pan zechce uprzejmie usiąść tutaj, w fotelu, panie Edwards. Opowiedział pan doskonałą historię... Kolorado... Nadzwyczajny kraj. Jeden z najbogatszych stanów. Nasza firma ma tam olbrzymie interesy. Tereny, kopalnie, nie mówiąc już o kolejach...

— Wiem o tym — spokojnie powiedział Edwards, obcinając koniec cygara.

— Powinniśmy zostać przyjaciółmi, mister Edwards. Mamy dużo wspólnego. Pan też lubi życie na otwartej przestrzeni. Latem proszę koniecznie przyjechać do mojej podmiejskiej willi w Broonswiku.

— Dziękuję panu. Myślę jednak, że będę musiał pojechać do domu. Trzeba będzie wzmocnić swoją pozycję polityczną!

— No, na to znajdzie się czas! Mógłbym panu pomóc! Mój ojciec ma przyjaciół w każdym stanie. Na przykład Albrit z Wschodniego Trustu. Pan go zna?

— Tak, lecz on jest zwolennikiem gubernatora, a zatem moim przeciwnikiem. W ubiegłym roku miał przeze mnie wiele przykrości! Nasze stosunki są więcej niż chłodne.

Edwards uśmiechnął się i zanurzył się głębiej w fotelu, wygodnie opierając się o oparcie. Rozumiał doskonale, do czego zdąża gospodarz, był tylko nieco zdziwiony, że tak szybko przystąpił do rzeczy.

— Panu jest zapewne wiadomo, że Trust Wschodni kierowany jest z Nowego Jorku? — zapytał Kartys.

— Wiem o tym — krótko odparł Edwards.

Gdyby Kartys lepiej znał gościa, suchy ton deputowanego powinienby go ostrzec. Lecz Sam był zbyt zajęty własnymi kombinacjami, by myśleć o reakcjach gościa. Przed nim siedział sympatyczny, dość prosty człowiek, który bez szkody dla siebie mógłby wyświadczyć mu wielką przysługę. W zamian za nią Kartys był gotów zaproponować nowemu deputowanemu korzyści, którymi, oczywiście, ten nie mógł pogardzić...

W zamyśleniu obrócił cygaro w rękę i dodał:

— Trust Wschodni należy do Jamesa Kartysa, mego ojca. Właściwie do niego należy pakiet kontrolny, co zresztą na jedno wychodzi. Jeżeli panu jest potrzebna przyjaźń i poparcie Albrita, to wystarczy, by mój ojciec powiedział tylko jedno słówko...

— Nie jest mi wcale potrzebne poparcie Albrita! — zaśmiał się Edwards. — W Kolorado jest dość miejsca dla nas dwóch.

— Pan cieszy się zaufaniem swego stronnictwa, lecz w polityce należy przewidzieć wszystko; sytuacja może się zmienić. Dobrze jest mieć wpływowych przyjaciół, Edwards! Przed panem otwiera się wspaniała kariera, jeżeli pan potrafi umocnić swoją obecną pozycję. Sława pana doszła już do Nowego Jorku! Gdy pana poznałem, przekonałem się, że nie jest przesadzona.

— Co panu mówiono o mnie? — zapytał spokojnie Edwards.

— Że z czasem zajmie pan jedno z pierwszych miejsc w Kongresie! — Kartys zaśmiał się. — Powiem panu szczerze, że pragnąłbym z panem zawrzeć przyjacielski sojusz! Mam rozległe stosunki i mogę panu pomóc w wybiciu się. Taki człowiek jak pan nie powinien pozostać w cieniu, pod zwierzchnictwem starego durnia, który Bóg wie dlaczego, stoi na czele komisji!

— Pan ma na myśli Ransoma?

— Tak. Ransom był dobry przed dziesięciu laty, lecz teraz jest już zbyt niedołężny. Wybierają go widocznie dlatego, że to już weszło w zwyczaj.

— I dlatego jeszcze, że zawsze był uczciwym i porządnym człowiekiem — dodał Edwards.

— Nikt temu nie przeczy. Ale obecnie zajmuje pańskie miejsce!

— Moje miejsce?

— Właśnie. Pan powinien być prezesem tej komisji!

— Pan fantazjuje, panie Kartys!

— Niech pan posłucha. W Kongresie pracuje około 60 komisji. Większość z nich nie ma znaczenia, lecz wasza jest bardzo ważna i na jej czele powinien stać człowiek o nowoczesnych poglądach, z współczesnymi metodami pracy, a nie jakiś zabytek średniowiecza!

— Mam wrażenie, że Ransom doskonale daje sobie radę ze swymi sprawami.

Kartys niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Niech pan da spokój, panie Edwards! Cenię pana skromność i delikatność, lecz pan wie tak samo dobrze jak ja, że Ransom jest już do niczego! Pan nam może być potrzebny i jako członek komisji, lecz byłoby daleko korzystniejsze, gdyby pan zajmował stanowisko prezesa. Jeżeli mówię o tym, że pan powinien zająć miejsce Ransoma, mówię to całkiem poważnie. To zupełnie wykonalne przy poparciu niektórych wpływowych przyjaciół.

Edwardsa drażniło to, że Kartys był z góry pewien powodzenia. Nadeszła chwila, by mu pokazać, że się pomylił w swych kalkulacjach.

— W zamian za poparcie żądam ode mnie pewnych przysług w komisji? — zapytał.

— No, oczywiście!

— Bądźmy zupełnie szczerzy. Chcecie, by komisja wypowiedziała się za projektem przedstawionym Kongresowi przez nowojorskiego deputowanego Newetta dotyczącym sprzedaży terenów rządowych pańskiemu syndykowi.

Sam z ciekawością spojrzął na gościa.

— Nie wspomniałem o tym projekcie, ale skoro pan to poruszył, muszę przyznać, że jestem zainteresowany jego przyjęciem.

— Chce pan, bym użył swego wpływu w komisji w pańskim interesie?

— Tak, mógłby mi pan pomóc. Wartość tych terenów jest oczywiście wątpliwa, ale...

Edwards spokojnie przerwał: — Mówiąc szczerze, powiem panu, że jestem przeciwnikiem sprzedaży. Żałuję, że nie mogę panu dopomóc. Kartys wyprostował się w fotelu.

— Nie wierzę, że pan to mówi serio.

— Powiedziałem panu, to jest moje szczere przekonanie. Znam ogromną wartość tych terenów. Nie mogę głosować za ich sprzedaż. Przeciwnie, zrobię wszystko, by do niej nie doszło!

Kartys rzucił cygaro do kominka i zapytał ze złośliwym uśmiechem:

— Czy to pańska ostateczna odpowiedź?

— Tak.

— Wielka szkoda, panie Edwards. Miałem pana za mądrzejszego.

— Toteż powiedziałem panu na wstępie, że przypisuje mi pan zalety, których nie posiadam — z niezmaconym spokojem odparł gość.

— Będzie pan kiedyś żałował swego postanowienia! Będzie wielką szkodą, gdy pan się znajdzie po przegranej stronie. Sprzedaż bowiem zostanie zatwierdzona!

— Możliwe. Niemniej zrobię wszystko, by do tego nie doszło. Uważam, że obowiązkiem komisji jest troska o interesy rządu, a nie o wygody osób prywatnych.

Kartys skrzywił się.

— Nie warto się sprzeczać z powodu niedużej rozbieżności w poglądach. Jeszcze whisky? Nie? Chce pan przejść do salonu?

Elegancko przepuścił gościa pierwszego. Edwards poczuł, że przybył mu nowy, niebezpieczny wróg.

Podczas rozmowy męża z Edwardsem Georgia Kartys siedziała w salonie otoczona paniami. W czasie obiadu słyszała jednym uchem rozmowę Edwardsa z Natalią o Mary Freeman. Wymijające odpowiedzi Edwardsa rozpały jej ciekawość.

Była taka chwila w Paryżu, gdy Georgii szczerze było żal biednej Mary, lecz nie przeszkodziło jej to po powrocie do Nowego Jorku opowiedzieć historii biednej dziewczyny bliskim przyjaciółom. Od tego czasu zdążyła zapomnieć o Mary i jej nieszczęściu.

Część gości zajęła stoliki do brydża. Natalia z wdziękiem zagrała kilka kawałków na fortepianie i podeszła do grupy pań siedzących przy kominku.

— Dziękuję, kochanie — powiedziała uprzejmie Georgia. — Jak pani dobrze gra! Matka pani mówiła mi, że grasz również na harfie. To mnie nie dziwi. Ma pani takie piękne ręce.

Natalia uśmiechnęła się z wdzięcznością. Lubiała, gdy ją chwalono. Gospodyni zaproponowała jej papierosa, lecz dziewczyna odmówiła:

— Mama prosiła, bym nie paliła.

— Ach, prawda, zapomniałam, że przecież pani jest doskonale wychowana. Sama chciałabym przestać palić, ale jakoś nie mogę. Powinnaś się cieszyć, że nie masz tego złego nałogu!

— Wcale się nie cieszę, missis Kartys! Chciałabym być bardziej nowoczesna, ale nic z tego nie wychodzi. Po papierosie dostaję zawrotów głowy.

— Nie rozpaczaj, kochanie. Na świecie zbyt wiele „szalonych” dziewcząt. Zdaje mi się jednak, że one już spowszedniały mężczyznom i moda na nie niedługo przejdzie. Tak przyjemnie spotkać pannę do nich niepodobną!

— Tak pani sądzi, missis Kartys? Jak się cieszę! Zawsze myślałam, że jestem zbyt dobrze wychowana, by być interesująca. Wcale nie rozumiem młodych ludzi, czasami mówią takie głupstwa!

— Pani, zdaje się, podobają się mężczyźni trochę starsi, prawda? Na przykład pan Edwards?

— O, tak! Bardzo lubię rozmawiać z panem Edwardsem.

Georgia zapaliła nowego papierosa.

— Czy mogę mówić do pani po prostu, Natalio, miss Ben?

— Oczywiście, missis Kartys!

— Słyszałam przypadkowo, jak pani, Natalio, pytała pana Edwardsa o missis Freeman. Jestem ciekawa, czy to jest ta sama Mary Freeman, którą kiedyś znałam w Nowym Jorku? Znasz ją dobrze?

— O, tak, bardzo dobrze. Biedna Mary!

— Dlaczego nazywasz ją biedną?

— Bo mi jej bardzo żal. Swego czasu byłam z nią w przyjaźni... Oczywiście, teraz jest to niemożliwe...

— O co chodzi, Natalio, opowiedz nam.

Dziewczyna obrzuciła zmieszonym spojrzeniem gospodynię i inne panie. Ogólna rozmowa nagle się urwała. Wszystkie patrzyły na nią w żądnym sensacji oczekiwaniu...

— Chciałam powiedzieć... Ona unika znajomości... Opowiadają o niej takie okropne rzeczy...

Georgia drgnęła:

— Okropne rzeczy? Co właściwie?

Natalia umilkła, lecz pani Newett podchwyciła:

— Ma dziecko, prawda?

— Tak...

— To Mary! — wykrzyknęła Georgia. — Ma siostrę, Polly...

— Podobno Polly jest zrozpaczona.

Pani Kartys zaciągnęła się papierosem.

— Jaki świat jest mały. Często myślałam, co się stało z Mary po tej historii w Europie. Okazuje się, że jest tutaj!

— Pani zna jej historię? — ucieszyła się pani Newett. — Proszę nam opowiedzieć, Georgio! Przeszłość tej dziwnej dziewczyny musi być bardzo pikantna!

Miss Ben, mimowolna winowajczyni, skromnie wtoczyła się w róg kanapy, a Georgia Kartys znów powtórzyła historię Mary Freeman — opowiedziała dowcipnie, z przejęciem, nie skąpiąc efektów dramatycznych. Panie słuchały z zapartym tchem.

— A on? — wykrzyknęła pani Newett, gdy Georgia zamilkła.

— Zapomniała pani powiedzieć, kto był jej kochankiem?

Gospodyni z chytrym uśmieszkiem wzruszyła ramionami.

— Jakie to ma znaczenie? Gdybym mogła nazwać współwinnego tej historii, straciłaby ona połowę na wartości! Może to był francuski hrabia lub romantyczny młody malarz, który malował widoki morskie na wsi bretońskiej, lub, po prostu, Amerykanin z Nowego Jorku, którego Mary kochała namiętnie i, niestety, nierozsądnie. Nikt nie wie! Na tym historia tylko zyskuje. Gdyby nie tajemnica otaczająca Mary Freeman, czyżby wydawała się taka ciekawa?

Kobiety siedziały odwrócone plecami do drzwi i nie słyszały, jak weszli Kartys z Edwardsem. Deputowany, usłyszawszy nazwisko Mary, drgnął i zatrzymał się. Georgia, nic nie podejrzewając, zwróciła się do miss Ben:

— Powiada pani, że ją osądzają? O niej mówią okropne rzeczy! To zawsze tak, zresztą zupełnie zrozumiale! Opinia musi bronić swej moralności!

Odgłos kroków zmusił Georgię do odwrócenia się; Edwards stał za jej krzesłem. Hamowane wzburzenie malowało się na jego twarzy, lecz Georgia nie mogła zrozumieć, czy stara się coś powiedzieć, czy walczy, by milczeć. Gość odwrócił się od niej i rzekł do gospodarza:

— Do widzenia, panie Kartys. Dziękuję za obiad. Niestety, muszę iść.

Georgia wstała ze słowami protestu, lecz Edwards uklonił się jej, nic nie powiedział i wyszedł z pokoju.

Rozdział VII

LOS POLLY

Edwards wyszedł pod przykrym wrażeniem rozmowy z Kartysem i posłyszanych słów Georgii. Wiedział, że historia ta była ogólnie znana. Lecz słyszeć ją od pani Ben, która miała jakąś sympatię dla nieszczęśliwej Mary, nie było tym samym, co usłyszeć ją z ust wesołej damy światowej, zabawiającej nią swoich gości! Lekkomyślny śmiech Georgii doprowadził Edwardsa do wściekłości. Była chwila, że był gotów stanąć w obronie Mary. Teraz był zadowolony, że się powstrzymał. Instynkt mu podszepnął, że swoją obroną mógł pogorszyć sytuację nieszczęśliwej kobiety.

Nocne powietrze uspokoiło jego wzburzenie. Szedł szybko, myśląc o minionym wieczorze. Wkrótce bezmyślne okrucieństwo Georgii odeszło na drugi plan i poseł całkowicie oddał się rozmyślaniu nad planem Sama Kartysa. Newett, oczywiście, był narzędziem w jego rękach, Fletcher również. Newett przedłożył projekt, a Fletcher bronił go, posłuszny sygnałom idącym z Wall Street. W komisji Ransoma i poza nią należało poważnie się liczyć z przeciwnikami. Rozmowa z Kartysem jasno dowiodła konieczności walki z nimi i dała Edwardsowi nową wiarę w swe siły. Musi okazać się godny zaufania Ransoma i prezydenta...

Gdy młody deputowany przyszedł do domu, był znów w dobrym humorze, zadowolony z rezultatów swej pierwszej potyczki z wrogiem.

W ciągu następnych dni Edwards i Mary często odbywali spacery konne. Podczas pierwszej przejażdżki Mary spytała, jak minął obiad u Kartysów, i z widoczną ciekawością wypytywała o Georgię. Edwards opowiedział jej szczerze swoją rozmowę z gospodarzem, ale przemilczał incydent, który zmusił go do opuszczenia domu Kartysów. Jednak mimo woli wspomniał, że go już drugi raz nie zaproszą z powodów politycznych.

— Jestem zadowolony, że byłem na tym obiedzie — dodał. — Kartys doskonale wiedział, jakie jest moje zdanie w tej sprawie, lecz przypuszczał, że wystarczy mu gwizdnąć, bym przeszedł na jego stronę. Dziwni są ci nowojorczy! Wydaje im się, że cały kraj klęczy przed nimi na kolanach i czeka na ich polecenia. Przedtem może tak było. Zachód był psim ogonem i merdał z zachwytem za każdym razem, gdy Nowy Jork raczył zwrócić na niego uwagę. Lecz obecnie Zachód stał się potężny i bogaty i doskonale zdaje sobie sprawę z tego, czego chce i

jak ma to osiągnąć. James K. Kartys i jego syn, Sam Kartys, są bardzo mądrzy — dla Nowego Jorku! — lecz dotychczas nie zrozumieli tego, że sytuacja się zmieniła.

Mary roześmiała się i zapytała:

— Czy oni rozpoczęli już walkę przeciwko panu?

— O, tak. W gazetach Kartysa ukazały się już napaści na Ransoma i „szczegóły” z mojej przeszłości politycznej, z wynurzeń Albrita.

— O pańskiej przeszłości? Przecież to nie może mieć znaczenia i nie może panu zaszkodzić?

— Oczywiście, że nie! Ale codziennie otrzymuję stopy listów od moich wyborców. W Kolorado nie rozumieją, o co chodzi! Jeden z moich przyjaciół, pisze mi, że będzie strzelał w okna Albrita, we Wschodnim Truście! Prosiłem go telegraficznie, by nie robił głupstw.

— Dobrze, a gdyby Sama Kartysa ktoś nastraszył? — uśmiechnęła się Mary.

Edwards wybuchnął śmiechem.

— Sam o tym myślałem; trochę strzelaniny nie zaszkodziłoby! Oczyszczyłoby nieco powietrze. U nas, na Zachodzie, gdy się kogoś obraża, trzeba trzymać rewolwer w pogotowiu! Tutaj natomiast zaprasza się na obiad i częstuje starą whisky i dobrymi cygarami! Ale ja nauczyłem się grać w grę Kartysa — gdyby pani widziała nas razem! Czułości i uśmiechy, jakbyśmy byli rodzonymi braćmi! Zresztą omal nie zrobiłem skandalu w tym domu... Mary zwlekała z odpowiedzią.

— Tak, mówiono mi — powiedziała po chwili.

— Mówiono pani?

— Drogi panie Edwards — ściszyła głos Mary. — Nie trzeba, by pan występował w roli mego obrońcy!

— Od kogo się pani dowiedziała?

— Od mojej przyjaciółki, Salignac. Jej powiedziała Natalia Ben. Okazuje się, że Natalia wspomniała moje nazwisko nie wiedząc, że znam Georgię. Zauważyła, jak się pan rozgniewał. To bardzo szlachetne z pana strony, ale proszę nie robić tego więcej!

— Nie mogę spokojnie słuchać, jak ludzie strzępią języki nad... nad nieszczęściem mego przyjaciela — oświadczył twardo Edwards.

Była to pierwsza rozmowa o przeszłości Mary.

— Proszę pana, panie Edwards — poważnie nalegała dziewczyna — nie mogę pozwolić na to, by pan się za mną ujmował.

— Dlaczego? Nie byłbym godny przyjaźni pani, gdybym nie darzył jej przywiązaniem, na które pani zasługuje.

Mary była zdenerwowana.

— Moje nieszczęście jest tego rodzaju, że nie można go roztrząsać, panie Edwards. Moi przyjaciele zrobią najlepiej, gdy zechcą o nim zapomnieć!

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Po chwili Steve rzekł stanowczo:

— Dla mnie nie ma żadnego znaczenia, co było w przeszłości człowieka, lecz to, jaki ten człowiek jest obecnie. Nie znam dobrze kobiet, ale zawsze wierzyłem swemu wyczuciu i prawie nigdy się nie zawiodłem. Jestem gotów dać sobie ściąć głowę, że pani jest najczystsza, najpiękniejszą i najszlachetniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem!

Mary odwróciła się i milczała.

— Piękna, czysta, szlachetna — powtórzył Edwards. — Nie pytam o pani tajemnicę, nie potrzebuję o niej wiedzieć. Przyjaźń pani dla mnie wystarcza. Jestem szczęśliwy, że ją mam. Obawiam się, że będzie pani zmuszona uważać mnie za swego rycerza, czy pani zechce, czy nie!

— Panie Edwards! Nie będziemy o tym mówili. Rozumiem pana, ale nie mogę mu nic powiedzieć. Ja... ja nie mam usprawiedliwienia. Dlatego nie może mnie nikt bronić. Proszę nie próbować! — Mary położyła rękę na jego rękę. — Ale ja cenię przyjaźń pana! Pan wie o tym, prawda?

Edwards przycisnął jej rękę swoją.

— Dziękuję! — powiedział drżącym głosem. — Cieszę się! Chciałbym bardzo coś zrobić dla pani!

Mary szybko wysunęła palce z jego ręki i spojrzała na niego jasnym, promiennym spojrzeniem.

— Dobrze! — zawołała wesoło. — Proszę tego dowieść zaraz! Proszę pozwolić mi wygrać wyścig do szczytu wzgórza!

Tego wieczoru Mary zwolniła guwernantkę i sama położyła Johna spać. Na dobranoc objęła go tak silnie, że chłopak krzyknął:

— Mamo, zadusisz mnie!

— John, czy ty mnie kochasz?

— O, tak!

Zawisł na szyi „matki” i przytulił twarzyczkę do jej policzka. Mary wyszła z pokoju dziecinnego uspokojona i szczęśliwa. Była jej potrzebna pieśczoła dziecka, by zapomnieć o jadowitych plotkach wskrzeszonych przez Georgię Kartys.

Przebrała się u siebie w pokoju i usiadła w fotelu, przy kominku. Dziś po raz pierwszy doznała pokusy wyjawienia obcemu człowiekowi tajemnicy Polly... Pragnęła opowiedzieć Edwardsowi o swojej ofierze, dowieść, że nie pomylił się w swych przypuszczeniach co do niej. Pokusa była silna, lecz Mary stłumiła ją. Trudno było jej naraz pokonać wieloletnie milczenie. Swego rodzaju duma przeszkodziła dziewczynie mówić...

Prócz niej i Polly nikt nie znał prawdy. Nawet najlepsza przyjaciółka, Beatrycze de Salignac. Jeżeli nawet podejrzewała, że Mary musi mieć powód, by milczeć, nigdy nie wypowiedziała swych domysłów, o nic nie pytała i Mary była jej za to wdzięczna.

Steve Edwards też przyjął ufnie jej przyjaźń. Życzliwość tych dwojga dodawała jej otuchy i umiała życie. Beatrycze była zawsze tolerancyjną, wolnomyślną kobietą. Steve przeciwnie, surowo odnosił się do ludzi i to czyniło jego przyjaźń jeszcze cenniejszą. Mary poczuła nagle, że nic na świecie nie dałoby jej większego szczęścia, jak to, by mogła mu dowieść, że się nie omylił, i wyznać mu prawdę. Postanowiła przy następnym spotkaniu powiedzieć mu wszystko. Polly dawno znikła z horyzontu. Postępowanie jej w stosunku do Mary było takie, że nie zobowiązywało jej do milczenia. Niech inni uważają ją za kobietę upadłą; swoją tajemnicą podzieli się tylko ze Steve'em.

Mary starannie niż zwykle rozczesaa swoje długie włosy. Były piękne — kasztanowe, z ciemnozłotym połyskiem, gęste i miękkie. Po raz pierwszy od wielu lat dziewczyna długo i uważnie patrzyła na siebie w lustrze. Zdecydowała, że mało się zmieniła od dni swej pierwszej młodości i że jest nadal piękna... Wprawdzie miała 29 rok, lecz przecież ktoś powiedział, że kobieta jest najbardziej urocza w 30 roku życia.

Rano nadszedł list, który obalił cały gmach jej projektów, kazał jej zapomnieć o Edwardzie. List był od Polly. Nappełnił duszę starszej siostry trwogą, wstydem i litością. Polly pisała dużym, niedbałym charakterem pisma, na arkuszu taniego papieru, ze znakiem firmowym trzeciorzędowego hotelu w Los Angeles.

Droga Mary!

Zdziwisz się zapewne widząc, że piszę do Ciebie po tak długim milczeniu.

Zdaję sobie sprawę, że źle postąpiłam z Tobą i masz zupełne prawo odwrócić się ode mnie z pogardą. Ale wiem, że tego nie zrobisz, gdy przeczytasz list i zrozumiesz, jak mi jest gorzko i ciężko. Całe życie prześladowały mnie nieszczęścia! Przedtem dziecko, a później małżeństwo z Geo! Początkowo wszystko się nieźle układało, ale gdybyś wiedziała, jaki się okazał podły dla mnie i co on ze mnie zrobił!

Znalazłam się w okropnej sytuacji, ale naprawdę to nie moja wina! Pieniądze Geo prędko się skończyły. Okazało się, że nie był taki bogaty, jak myślałam. Gdyśmy przyjechali przed trzema laty do Los Angeles, powiedział mi, że może wstąpić w charakterze wspólnika do dużego przedsiębiorstwa kinematograficznego, powetować wszystko, cośmy dotąd stracili, i zarobić miliony. Oddałam mu wszystkie moje pieniądze. Jaka ja byłam głupia!

Nie znam się na interesach i przypuszczałam, że po prostu nie miał szczęścia. Okazało się gorzej! Utrzymywał stosunki z aktorką z Hollywood. Nawet na to przymknęłabym oczy, gdyby był uczciwy. Przekonałam się jednak wkrótce, że jest zwyczajnym oszustem i złodziejem. W ubiegłym roku jeden z moich znajomych chciał uzdrowić moje finanse, lecz gdy się bliżej z nimi zapoznał, przyszedł i oświadczył mi, że jest już za późno, że się już nie dadzą uratować. Geo rozpił się i opuścił. Między nami nastąpiła burzliwa scena, po której odeszłam od niego. Nie wiem, gdzie się obecnie znajduje, i nie chcę wiedzieć. Wkrótce otrzymam rozwód. Mam nadzieję, że go już nigdy nie zobaczę! Żyłam za grosze, które mi pozostały, lecz wkrótce wpadłam w długi. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym nie miała dobrych przyjaciół. Nie jestem w stanie nadal prowadzić takiej egzystencji. Mary Jestem zupełnie chora! Nie wiem, co mi jest, ale czuję się na wpół martwa i jestem zmuszona przyjmować środki pobudzające, które w rezultacie tylko pogarszają mój stan zdrowia. Tak wychudłam, że byś mnie nie poznała.

Nie myślałam, że znów będę zmuszona zwrócić się do Ciebie z prośbą o pomoc! Tak wiele już zrobiłaś dla mnie. Jestem dłużna za pokój i życie w hotelu. Zlituj się nade mną, Mary! Potrzebuję koniecznie 1000 dolarów natychmiast. Wyślij je telegraficznie po otrzymaniu tego listu. Jeżeli tego nie zrobisz, nie wiem, co się ze mną stanie!

Twoja nieszczęśliwa Polly

Mary dwa razy przeczytała list, który głęboko nią wstrząsnął. Wiedziała, że Polly podjęła swoją część pieniędzy z banku w Nowym Jorku, żeby je umieścić w jakimś przedsiębiorstwie na Zachodzie. Nie podejrzewała jednak, że siostra była zrujnowana i chora. Polly dawno przestała pisać.

Chaotyczny list był wyraźnie napisany pod wpływem nędzy i nie było najmniejszej wątpliwości co do prawdziwego położenia Polly. Między wierszami nie było trudno wyczytać, że była sama po części winna, że jej małżeństwo okazało się nieszczęśliwe.

Mary dobrze знаła Geo Dracka, wytwornego, młodego człowieka, zawsze ubranego według ostatniej mody, ze spokojnym, miłym sposobem bycia. Był stałym wielbicielem Polly w Nowym Jorku i Mary z trudem mogła sobie wyobrazić, żeby się mógł okazać tak podłym oszustem, jakim Polly go odmalowała. Małżeństwo było dlatego niefortunne, że oboje małżonkowie nie byli dostatecznie silni, by podtrzymać się w ciężkich chwilach — i oboje zginęli.

List wywarł na Mary przygnębiające wrażenie, nie dlatego, że tliły się w niej resztki miłości do Polly, lecz dlatego, że ukazał jej prawdziwy charakter siostry. Nierówne pismo, niedbałe zdania były odbiciem jej duchowego niedbalstwa. Wyraźna chęć usprawiedliwienia siebie świadczyła, że Polly mało się zmieniła w ciągu tych lat. Jak dawniej uważała, że za wszystkie jej niepowodzenia są winni inni.

Mary poczuła mimowolną litość dla lekkomyślnej siostry, która złamała nie tylko swoje, lecz i jej życie. Oczywiście, trzeba będzie posłać pieniądze, choć nietrudno było przewidzieć, że po pierwszej prośbie nastąpią inne...

Udała się do banku, w którym miała swój rachunek bieżący i wydała zlecenie przesłania 1000 dolarów pod adresem Polly. Nieco uspokojona wyszła na ulicę i udała się do domu. Wspominała przeszłość, gdy Polly była młodziutką nie zepsutą dziewczyną i obie siostry łączyła serdeczna przyjaźń. Mary dogadzała siostrze tak samo, jak ją psuli wszyscy, nie przypuszczając, że z miłej dziewczyny wyrośnie rozkapryszona pannica, która sprawi tyle przykrości sobie i innym. Biedna Polly! Mary myślała więcej o jej nieszczęściach niż o jej wadach...

Cieszyła się, że Polly nie wspomniała o chłopcu. Dopóki uznawała prawa Mary do Johna, nie było obawy, że się poróżnią. Mary dawno postanowiła, że nie dopuści do tego. Zdawało się mało prawdopodobne, by matka, zajęta własnymi niepowodzeniami, zechciała upominać się o swoje prawa do dziecka. Mary chętnie będzie jej posyłała pieniądze, byleby Polly pozostawała z dala od syna. Może przy pomocy materialnej Mary uda się jej urządzić na Zachodzie. Za nic nie można dopuścić, by Polly przyjechała do Waszyngtonu... Biedna Polly!

Rozdział VIII

WALKA SIĘ ROZPOCZYNA

Steve Edwards pracował długo w nocy, wstał późno i siedząc przy pierwszym śniadaniu, myślał o Mary Freeman.

W młodości, żyjąc w prostych, surowych warunkach, między prostodusznymi ludźmi, przywykł dzielić kobiety na dwie kategorie — przyzwoite i nieprzyzwoite. Linia podziału między nimi była wyraźna i jasna. W miarę jednak jak Edwards wstępował coraz wyżej po stopniach hierarchii społecznej, spotykał nieoczekiwane połączenia grzechu z cnotą. Przestał wierzyć w pierwsze wrażenia. Uczciwe kobiety paliły, piły i lubiły nieprzyzwoite anegdotki. Zepsute kobiety, przeciwnie, często posiadały sposób bycia skromnych pensjonarek...

Ellis Charly pierwsza dowiodła mu, że kobieta może być nie tą, jaką się wydaje. Zadała mu ciężki cios, zabijając w nim na dłuższy czas wiarę we wszystkie kobiety. Steve jak oszalały opuścił jezioro Louizy, kilka tygodni spędził samotnie na głuchym odludziu, starając się powrócić do dawnej równowagi duchowej. Wśród spokojnej, wspaniałej przyrody zgasł powoli ogień, który burzył mu krew rozpaloną przez lekkomyślną dziewczynę. Ellis Charly stała się mglistym, niewyraźnym wspomnieniem.

Lata przyniosły mu bogactwo i znajomość życia. Poznał ludzi i nauczył się orientować w ich charakterach. Tylko kobiety pozostały, jak przedtem, dla niego zagadką.

Zwykle młode i ładne kobiety wzbudzały w nim ostrożność i instynkt samoobrony. Dziwne, że z Mary było inaczej. Od początku odniosła się do niego z zaufaniem. Teraz rozumiał, dlaczego tak było. Życie okrutnie obeszło się z nią, ale jej dusza, jak cenny kruszec, spalona w ogniu cierpienia, stała się szlachetniejsza i czystsza. Nic w niej nie było dwulicowego,

nic fałszywego. Opinia odwróciła się od niej dlatego, że nie starała się ukryć swego grzechu, lecz spokojnie i dumnie niosła jego następstwa.

Mimo woli nasuwało porównanie Mary z Ellis Charly.

Pierwsza — myślał Edwards, robiąc sobie gorzkie wyrzuty — postąpiła jak szalona i uciekła z Rajskiej Doliny, przestraszywszy się swego postępu. Druga natomiast z odwagą zniosła skutki, nie licząc się ani z opinią świata, ani z upokorzeniem. Ellis zapewne teraz wie- dzie beztroskie życie i obraca się w dobrym towarzystwie, podczas gdy szlachetna i uczciwa Mary jest przez wszystkich pogardzana i porzucona.

Nie pragnął się dowiedzieć szczegółów dotyczących jej przeszłości. Zapewne też miała swoją Rajską Dolinę. Wielkość jej ofiary świadczy o głębokości przeżytej namiętności.

Ellis pozostała nie ukarana. Edwards też, jeżeli nie liczyć starej, dawno zagojonej rany. Mary zaś jest bezbronna wobec napaści świata i odmawia przyjęcia pomocy.

Podniósł się z fotela i podszedł do okna. Nie pozostawi Mary samej, obroni ją. A jeśli zgodzi się, to stanie się jej wiernym towarzyszem. Marzył, że może kiedyś ona zostanie jego żoną...

Zdecydowanie zamknął okno, zapalił papierosa i patrzył przez szybę na dzieci w parku. Chłopak w granatowym ubranku i berecie marynarskim przypominał mu Johna. Ale to był spokojny chłopak i grzecznie trzymał za rękę swoją bonę, a John był żywym, małym łobuzia- kiem.

Edwards uśmiechnął się, wziął z półki paczkę, którą otrzymał z poczty. Jutro są imieniny chłopca. Przygotował mu prezent: sprowadził z Zachodu grube skórzane rękawice, ozdobione srebrnymi guzikami, buciki z ostrogami i kapelusz kowbojski, by John mógł jeździć w nim na kucyku, którego otrzyma jutro od Mary. Steve włożył mały kapelusz na czubek głowy i zaśmiał się, spoglądając na siebie w lustrze. W przyszłości będą jeździli konno we troje, jeżeli Mary się zgodzi!

Przewidywał trudności, ale był gotów powoli i cierpliwie dążyć do celu, zdobywając jej miłość. Wiedział, że ona ceni sobie jego przyjaźń. Lecz między nimi stał inny człowiek, który zburzył jej wiarę w mężczyzn.

Ta mglista postać była tajemniczym wrogiem Edwardsa. Kto to był? Często starał sobie go wyobrazić. Jeżeli Mary kochała go, nie mógł być zupełnie zły...

W zamyśleniu złożył rzeczy z powrotem do pudełka. Jeszcze nie przyszedł czas, by się oświadczyć Mary. Posiada jej zaufanie i przyjaźń. Wcześniej czy później zdobędzie jej miłość!

W komisji podziału i sprzedaży terenów państwowych trwała ukryta walka pomiędzy zwolennikami Ransoma i Kartysa. Eksperci zaproszeni przez obie strony dla oceny terenów nad rzeką Ward wzajemnie się zwalczyli. Eksperci Kartysa dowodzili, że puste przestrzenie nie przedstawiają żadnej wartości i że syndykat, który je chce nabyć, wyświadcza państwu dobrodziejstwo. Natomiast eksperci Ransoma twierdzili, że tereny te posiadają ogromne naturalne bogactwa: kopaliny, las i wodę. Komisja postanowiła przedłożyć projekt sprzedaży terenów do zatwierdzenia Kongresowi w nieco zmienionej formie. Edwards był zrozpaczony. Ransom uspokajał go, przyrzekając mu, że pomówi z przewodniczącym izby i poprosi o odłożenie rozpatrzenia projektu. W międzyczasie może zdolać przygotować się i doprowadzić do obalenia go.

W ciągu kilku tygodni Ransom i Edwards poświęcili się zupełnie, zaniedbując inne sprawy, kampanii przeciwko sprzedaży terenów państwowych nad rzeką Ward. Na prezydenta liczyć nie było można, lecz liderzy republikańscy byli dyskretnie powiadomieni o jego poglądach i pragnieniach. Ransom, wskutek słabego zdrowia, nie mógł wziąć na siebie wszystkich kłopotów. Edwards całkowicie poświęcił się tej sprawie: rozmawiał z deputowanymi, agitował przeciwko projektowi w samym Kongresie, odwiedzał kolegów w ich mieszkaniach. Prawie wszędzie przyjmowano go zimno. Oznaczało to, że obóz przeciwny nie próżnował. Lecz młody deputowany postanowił obalić za wszelką cenę plany syndykatu.

W ostatnich dniach dowiedział się, że Kartys i jego poplecznicy nie przebierają w środkach dążąc do zwycięstwa i zapewniają sobie jak największą liczbę głosów w izbie deputowanych. Starali się wszelkimi sposobami oczernić Edwardsa w oczach jego zwolenników politycznych. Pewien demokrat z Południa, z którym Edwards był w przyjacielskich stosunkach, opowiadał o nim niestworzone historie. Znów przypomniano sobie bujną wymyśloną przez Jima Doosona w Kolorado podczas wyborów, jakoby Edwards należał do szajki koniokradów na granicy Teksasu. Opowiadano również, jakoby Edwards kupił od biednej wdowy za grosze bogate tereny naftowe, wiedząc o ich bezcennej wartości, i w ten sposób stał się bogaczem. Było to wierutnym kłamstwem, bo Edwards nabył swoją posiadłość od bogatych ludzi z Galwezga. Młody deputowany śmiał się, gdy mu powtarzano te plotki, wiedząc doskonale, kto i w jakim celu je rozpущa, i z jeszcze większą energią brał się do zjednywania głosów przeciwko projektowi Kartysa.

Lecz pojawiły się pomówienia zupełnie innego charakteru. Edwards dowiedział się o nich z ust samego Ransoma. Siedzieli w gabinecie prezesa i Edwards opowiadał o plotkach rozpuszczanych przez jego przeciwników.

Ransom uśmiechnął się.

— Gdyby pan zajmował się polityką tyle czasu co ja, panie Edwards, to wiedziałby pan, że wrogowie dlatego rozprzestrzeniają te plotki, że się pana boją! Mnie oskarżano o wszystko, od drobnych oszustw aż do podpalenia i morderstwa włącznie! Pan się wybije, Edwards! Pan wykazał swe zdolności w walce przeciw projektowi i Kartys poznał pana siłę. Im gorzej będą mówić o panu wrogowie, tym większą powinien pan mieć przyjemność!

— No, to doskonale w takim razie!

— Niestety, opowiadają o panu jeszcze inne rzeczy — dodał Ransom.

— Nie przypuszczam, by mogły mi zaszkodzić — uśmiechnął się Edwards.

— Może powinienem panu powiedzieć, co usłyszałem od jednego z członków izby, pańskiego przyjaciela. Nie powiem panu jego nazwiska, lecz jest to człowiek przyzwoity, uczciwy i jego oburzenie było szczere. Pan zna pewną panią, nazywającą się Mary Freeman?

Edwards drgnął i wyprostował się.

— Tak, znam missis Freeman — spokojnie odparł. — Mam dla niej szacunek i szczere uznanie.

Staruszek rzucił na niego szybkie spojrzenie.

— Proszę się nie gniewać, panie Edwards! Jeżeli ta pani jest pana przyjaciółką, to rzeczywiście jest o co się rozgniewać.

— Proszę mi powiedzieć wszystko, panie Ransom.

— Jest to niska potwarz, oczywiście. Prawdopodobnie nietrudno będzie panu znaleźć jej źródło. Cały Waszyngton mówi o pańskim stosunku z panią Freeman. Podobno ma to być niemoralna, bezwstydna kobieta, nie przyjęta do towarzystwa, która ma dziecko, chociaż nigdy nie była zamężna. Słowem, mówią o was najgorsze rzeczy, jakie tylko można powiedzieć o mężczyźnie i kobiecie!

Ransom zamilkł, widząc, że Edwards wstał z twarzą zmienioną, z zaciśniętymi z wściekłości zębami.

— Co za podłość!

Oczy mu płonęły. Zwrócił się do Ransoma:

— Kto opowiadał panu tę historię?

— Tego panu nie powiem — zimno odparł starzec. — Nie znam pani Freeman. Początkowo myślałem, że to po prostu fantazja. Lecz jeżeli ona jest naprawdę kobietą godną szacunku, to nigdy w życiu nie spotkałem się z bardziej brudną kalumnią! Postanowiłem bezwzględnie powiedzieć to panu, bo powinien pan o tym wiedzieć.

Edwards nie powiedział ani słowa. Długo stał przy oknie ze spuszczoną głową i wreszcie powiedział z wysiłkiem:

— To kłamstwo! Podłe kłamstwo! Pani Freeman jest najczystsza kobietą, jaką kiedykolwiek znałem w życiu!

Ransom wstał i korzystając z przywileju swego wieku, przyjaźnie położył mu rękę na ramieniu.

— Przykro mi bardzo, że musiałem powiedzieć panu o tym, panie Edwards. Widzę, jak głęboko zabolęła pana potwarz, rzucona pod adresem pana znajomej. To okrutne i głupie, jak wszystko, co okrutne. Jeżeli ludzie uwierzą w tę plotkę, to może ona panu zaszkodzić, oczywiście — chwilowo. Proszę nie zapominać, że z kłamstwem można zawsze walczyć. Po pańskim przemówieniu w Kongresie wszyscy dowiedzą się, kim są Kartys i jego ludzie i jak chcieli ukraść majątek państwowy!

— Jest jeszcze jeden sposób, by zmusić do milczenia tego człowieka. Pójść do niego i się z nim rozprawić!

Ransom założył ręce w tył i nastroszył brwi.

— Innymi słowy, zmienić małą plotkę w głośny skandal! — powiedział z niezadowoleniem. — W zupełności podzielam pańskie uczucia, lecz podobnym czynem pogorszy pan tylko istotę sprawy i da plotkarzom powód do nowego szargania nazwiska tej pani. Nie, tego robić nie można! Trzeba trzymać nerwy na wodzy. Wróg tylko na to czyha, by pana wyprowadzić z równowagi i zmusić do zrobienia szeregu głupstw. Powinien pan odnieść nad nimi zwycięstwo!

Edwards nic nie powiedział. Spojrzawszy na zegarek, szybko skierował się ku drzwiom.

— Tak! Musimy ich zwyciężyć — rzekł półgłosem, odchodząc. — Ma pan rację! Lecz potem...

Nie dokończywszy zdania, wyszedł szybko z gabinetu. Ransom uspokoił się. Edwards będzie teraz bardziej się starał niż przedtem. Osobista nienawiść do Kartysa doda mu bodźca do jeszcze energiczniejszej walki.

Rozdział IX

SKANDAL

W odpowiedzi na swój list Mary otrzymała od Polly krótkie, pospiesznie nakreślone podziękowanie. Polly uskarżała się na stan swego zdrowia i donosiła, że wybiera się do wschodnich stanów, żeby zmienić klimat i otoczenie. List siostry zaniepokoił Mary. Obawiała się, że Polly przyjedzie do Waszyngtonu i że jej wizyta może zaszkodzić Johnowi. Odpisała serdecznie, nie zapraszała jednak siostry do siebie. Była zdecydowana pomagać jej lecz wolała robić to na odległość.

Starła się zapomnieć o wszystkim, co miało związek z Polly, a co jednak tkwiło gdzieś w głębi duszy. Oddała się w zupełności nowym uczuciom i nowym sprawom, które przyszły do niej wraz ze Steve'em Edwardsem. Opowiedział jej o pierwszych potyczkach z firmą Kartysa, o rozpatrzeniu sprawy w komisji, o porażce, jakiej doznał. Mary śledziła z głębokim zainteresowaniem i sympatią rozwój walki, w której Edwards odgrywał tak ważną rolę. Widziała go z troskanego i dodawała mu otuchy. Młody deputowany wpadał do niej na kilka chwil, by opowiedzieć o ostatnich wypadkach.

Mary poniechała zamiaru wyjawienia mu swojej tajemnicy. List Polly był znakiem jakby nie z tego świata, by przypomnieć jej o danym przyrzeczeniu zachowania tajemnicy, którą w chwili słabości chciała wydać.

Spotkania Edwardsa z Mary miały miejsce przedtem, zanim młody deputowany dowiedział się od Ransoma o plotkach krążących wokół niego i „matki” Johna. Jak zazwyczaj bywa, główni bohaterowie dramatu dowiadawali się ostatni o tym, o czym mówiło już całe miasto. Mary nic nie podejrzewała, dopóki nie wpadła do niej wzburzona Beatrycze de Salignac i, dusząc się formalnie z gniewu, opowiedziała historię tylko co usłyszaną na herbacie u znajomych. Gdyby pomyślała o skutkach swego postępuku, dałaby zapewne ochłonąć swemu oburzeniu, zanim przyszła do przyjaciółki. Była jednak zbyt zdenerwowana, by myśleć o czymś innym...

Mary siedziała przy otwartym oknie, przez które potokami wlewało się zimowe słońce, i robiła na drutach sweterek dla Johna.

— Mary! — zawołała Beatrycze, padając na fotel. — Co za okropna historia! Wszystko się we mnie burzy ze złości! Nie mogę tego znieść!

— No, co się stało?

— Wstrętna plotka! Wszyscy o tym mówią... Tylko co słyszałam ją u pani Ekett. Ohydna historia o tobie i Stevie Edwardsie! Sama nie pamiętam, co powiedziałam tej kobiecie! Zdaje mi się nazwałam ją kłamczuchą... Później wybiegłam z domu.

— O mnie i o Stevie Edwardsie? — zapytała spokojnie Mary.

— Tak — kipiała z gniewu Beatrycze. — O, Mary! Nie chcę cię doprowadzić do rozpacz. Gdyby to była niewinna paplanina, byłoby mi wszystko jedno. Oczekiwałam tego i ty również. Lecz to jest zupełnie coś innego. Okrutna, niska potwarz! Gdybyś słyszała, z jakim przekonaniem ją opowiadają! Nie mogłam tego znieść...

— Cóż mówią o mnie teraz? — zapytała Mary.

— Że ty i Steve Edwards... Że Steve Edwards i ty... O, najgorsze rzeczy, najbardziej niskie, jakie można wymyślić o kobiecie w twoim położeniu.

Mary wzdrygnęła się i druty, upadły na podłogę. Beatrycze zdenerwowana biegła po pokoju.

— Musisz się bronić! Jeżeli nie chcesz tego robić, daj mnie szansę obronienia ciebie!

— Nie trzeba, Bi! — błagała Mary. — Gdybym tylko mogła, powiedziałabym ci...

— Pytałam nie przez prostą ciekawość, Mary! Nie mogę cię bronić. Przecież ja sama nic nie wiem! Ale przypatruję się twemu życiu i nie mogę uwierzyć, byś miała hańbiącą tajemnicę! Nie mogę dopuścić, by o tobie tak mówiono. Jeśli ukrywasz rzeczy, które mogłyby oczyścić twoje imię, powiedz, Mary!

Dziewczyna patrzyła w okno, z mocno zaciśniętymi rękami na kolanach.

— Nie, Bi — rzekła wreszcie. — Proszę cię, zostaw mnie. Nic nie mogę powiedzieć.

— Nie chcesz?

— Im mniej będą o tym mówili, tym lepiej. To stara historia... Wszystko jedno, nikt nie uwierzy, jeżeli wystąpię teraz z wyjaśnieniem, po tylu latach.

— Nie, to nie stara historia, Mary! To nowe kłamstwo. Musisz coś postanowić.

Mary zbliżyła się do kominka.

— Myślisz, że Steve Edwards już słyszał o tym?

— Nie wiem. Plotka zapewne została puszczona przez jego wrogów politycznych. Była to pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy. Przy tym tak się zdenerwowałam, że o niczym więcej nie mogłam myśleć!

— Co właściwie mówią o Stevie?

— Że bywa u ciebie o każdej porze dnia i nocy... Że jesteście zawsze razem... Czy to nie wszystko jedno? On jest mężczyzną i może sam siebie obronić. Ale najbardziej oburzające jest to, że twoje nazwisko wplątano w tę brudną historię!

— Przyzwyczyłam się do plotek, Bi. Dla mnie to nic nowego. Lecz dla dobra Steve'a powinnam coś zrobić, masz rację. Jego trzeba oczyścić. Wkrótce ma wystąpić w parlamencie w ważnej sprawie, od której zależy jego przyszłość...

Mary w zamyśleniu patrzyła w okno. Była spokojna, lecz Beatrycze wyczytała w jej oczach głęboki smutek.

— Zbyt długo pozostawałam tutaj — mruknęła niewyraźnie dziewczyna. — Muszę wyjechać.

— Mary! — Beatrycze w porywie uczuć objęła przyjaciółkę. — Opamiętaj się, najdroższa! Co ty mówisz?

— To jedyne wyjście. Nie mam prawa nigdzie pozostawać długo. Jestem zmuszona znów wyjechać...

— Nie, Mary, ja ciebie nie puszczę!

Dziewczyna z wdzięczności uścisnęła jej dłoń.

— Muszę o tym pomyśleć w samotności, Bi. Jutro cię zawiadomię o moim postanowieniu.

— Dobrze, przyjdę jutro rano. A jeżeli wyjedziesz, pojedę z tobą!

— Bi, ty jesteś prawdziwą przyjaciółką, lecz są rzeczy, w których nawet przyjaciele nie mogą nic pomóc...

Mary stała nieruchomo, dopóki drzwi nie zamknęły się za Beatrycze, potem usiadła w fotelu, z trudem oddychając. Od dawna była przyzwyczajona do plotek, nauczyła się przechodzić nad nimi do porządku dziennego. Lecz bolało ją to, że ludzie skazili, zbrudzili jej czystą przyjaźń do Steve'a. Jak się teraz z nim spotka? Brudna potwarz zawisła między nimi... Najlepsze wyjście z tej sytuacji, to wyjechać z Waszyngtonu, mimo smutku na myśl o zerwaniu przyjaźni z Edwardsem.

Postanowiła napisać do niego. Trudno było jej jednak wyrazić to, co chciała powiedzieć... Dwukrotnie podarła zapisane arkusze papieru. Do pokoju wbiegł John, wesoły i różowy po spacerze. Mary zdecydowała napisać list wieczorem, gdy chłopczyk pójdzie spać i w mieszkaniu zapanuje cisza.

List był gotów. Mary uważnie go przeczytała. Był długi, lecz dziewczyna starannie go przemyślała i jasno wyraziła wszystko, co chciała powiedzieć swemu przyjacielowi. Zakleiła kopertę i zaadresowała ją do gmachu Kongresu. Steve otrzyma list, gdy ona będzie już w pociągu. Dobrze, że nie zdąży się z nią zobaczyć. Dziś nie przyjdzie — powiedział, że cały wieczór będzie pracował z Ransomem.

Mary oparła się o poręcz fotela, zamyślona patrząc przed siebie. Jak smutno i prędko skończył się krótki sen! Dziewczyna nie wahała się w swojej decyzji. Pojedzie do Atlantic City na kilka tygodni i tam pomyśli o swojej przyszłości.

Biedny John! Taki był szczęśliwy w Waszyngtonie! Będzie tęsknił za Edwardsem. Tak dobrze spędzali czas ze sobą...

Mary spojrzała na zegar. Wpół do jedenastej. Powoli wstała i włożyła płaszcz, by pójść wrzucić list do narożnej skrzynki pocztowej. W domu było cicho. John i służba spali.

Gdy wyszła do ogrodu, żółta taksówka zatrzymała się przed jej domem, skrzypiąc hamulcami. Wyskoczył z niej mężczyzna.

— To pani, missis Freeman! Kazałem szoferowi naruszyć wszystkie przepisy jazdy, żeby panią zastać, zanim się pani położy spać! Czy można z panią pomówić?

Serce dziewczyny biło jak szalone. Po głosie Edwardsa poznała, że stało się coś ważnego.

— Chciałam wrzucić... list do skrzynki — szepnęła.

— Proszę mi dać, wrzucę go sam! A potem pozwoli pani, że wrócę? Na chwilkę?

— Już bardzo późno...

Nie dała mu listu. Edwards nie powinien go przeczytać dzisiaj. Nie chciała z nim mówić, lecz nie mogła wymyślić żadnego wybiegu.

— List może poczekać do jutra — powiedziała spokojnie i zawróciła, idąc po schodach.

W przedpokoju zauważyła, że Edwards jest blady i zdenerwowany. Pomógł jej zdjąć płaszcz i poszedł za nią do salonu. Zwykle gawędzili w miłym gabinecie Mary, lecz dziś Mary pragnęła jak najprędzej skończyć rozmowę. Duma przyszła jej z pomocą, dodała męstwa i pomagała myśleć szybko i jasno. Wskazała Edwardsowi fotel obok kominka, a sama usiadła na brzegu krzesła, trzymając się surowo i sztywno.

Edwards zauważył w niej zmianę.

— Dowiedziałem się dziś... od Ransoma... o plotkach, jakie krążą o mnie... i o pani — zaczął.

Mary podniosła rękę, jakby chciała się obronić przed ciosem. Po raz pierwszy Edwards zauważył jej bladość.

— Pani też o tym słyszała! — wykrzyknął. — Tak przypuszczałem.

— Beatrycze dziś mi powiedziała. Proszę pana, panie Edwards, nie mówmy o tym.

— Pani musi o tym mówić, missis Freeman! Po to tu przyjechałem. Z winnymi ja się rozprawię! Proszę nie myśleć, że pani jest bezbronna przeciwko tej ohydzie. Nikczemną podłością jest mieszać pani imię z moją walką polityczną! Ten, kto to zrobił..

Edwards umilkł, starając się opanować swój gniew. Mary była mu wdzięczna, że nie patrzył na nią. Było to może dziwne, lecz wzburzenie Edwardsa wzmocniło jej panowanie nad sobą i spokój.

— Tę historię wymyślili pańscy wrogowie? — zapytała, wyraźnie wymawiając każde słowo.

— Tak, ktoś z kompanii Kartysa. Kto właściwie, jeszcze nie wiem, lecz wkrótce się dowiem... I się z nim rozprawię! Chciałem, by pani wiedziała o tym.

— Przykro mi, że oni sięgają do takich sposobów walki — powiedziała Mary. — Przecież to może panu zaszkodzić, prawda?

Edwards jakby nie słyszał.

— Podła, wstrętna historia — powtórzył. — To ja jestem temu winien, to z mojej winy te plotki!

— Pan nie może siebie w niczym winić — zaprzeczyła Mary.

Edwards przeszedł się po pokoju.

— Nie, chwała Bogu, sumienie mam czyste. Lecz przykrość, jakiej pani doznała, nie zmniejszyła się z tego powodu. Boże!

— Proszę, niech pan o tym nie myśli! — uśmiechnęła się Mary. — Ja już przyzwyczałam się do tego, panie Edwards. To nie jest dla mnie nowość!

Edwards oparł się o kominiek i zaczął mówić z trudem, krótkimi zdaniem, jak oburzone dziecko:

— Pani i tak już za wiele wycierpiała. Pani nie powinna więcej cierpieć. Przeze mnie... To niesprawiedliwe, straszne! Nasza przyjaźń to najpiękniejsza, najszczęśliwsza rzecz, jaką miałem w życiu. Przyszedłem tutaj, by pani to powiedzieć!

List, który Mary trzymała jeszcze w ręku, dodawał jej odwagi.

— Tak, nasza przyjaźń była bardzo miła — powiedziała spokojnie.

— Była, missis Freeman?

— Pan sam rozumie, że ona nie może trwać nadal!

Edwards szybko spojrział na nią i powiedział: — Rozumiem pani postępowanie, missis Freeman. Pani ma zupełne prawo w ten sposób traktować całą sprawę. Mam jednak nadzieję, że pani nie odepchnie mnie... Mam nadzieję... że pani tego nie zrobi...

— Nie widzę innego wyjścia! — wykrzyknęła Mary. — Nasza sytuacja... jest nie do pomyślenia...

Edwards zrobił krok do przodu i powiedział z trudem i niezręcznie:

— Jest wyjście, missis Freeman. Nie mówiłem tego dotychczas... Bałem się, że pani nie zechce mnie wysłuchać. Postanowiłem czekać, lecz ci ludzie zburzyli moje plany. Chodzi o to, że... Kocham panią, missis Freeman! Czy zgodzi się pani zostać moją żoną?

Gdy zaczął mówić, Mary wiedziała, że właśnie to powie. Chciała opanować swoje uczucia, przygotować odpowiedź, zanim Edwards zada fatalne pytanie.

Jej myśli przemknęły jak wichura. Stanowisko w świecie... przyjaźń Edwardsa, który ją uratuje i obroni... Czy ją kocha? Nie, lituje się tylko nad nią i współczucie bierze za miłość... Zapomina o sobie, o swojej karierze...

Mary opuściła głowę i cicho rzekła:

— O naszym małżeństwie nie może być mowy, panie Edwards.

Przez kilka chwil oboje milczeli.

— Dlaczego? — zapytał. — Dlatego, że ludzie rozpuszczają o nas plotki? To nie powinno wpłynąć na nasze postanowienia. Od dawna już nosiłem się z zamiarem, by wyjawić pani moje uczucia, lecz brakowało mi odwagi. Obawiałem się zepsuć nasz stosunek. Kocham panią całą duszą! Cokolwiek pani postanowi, pozostanie pani dla mnie jedyną kobietą na świecie. Proszę, niech pani pomyśli, missis Freeman! Uczynię wszystko, by pani była ze mną szczęśliwa. Jeżeli pani nie zechce pozostać w Waszyngtonie, zawiozę panią w swoje strony, w góry...

Głos Edwardsa dźwięczał szczerze, namiętnie. Mary czuła, że powinna odłożyć decyzję, zyskać na czasie, zajrzeć w głąb samej siebie.

— A pana przyszłość? — spytała.

Edwards zaśmiał się.

— Gdy pokonam kompanię Kartysa, moja kariera będzie zabezpieczona.

— Już panu zaszkodziła przyjaźń ze mną. Nadal będzie szkodzić. Nie, musimy się rozstać.

Mary wstała i dodała błagalnie:

— Nie będziemy więcej o tym mówili! Czyżby pan nie rozumiał? Jest wiele przyczyn, dla których nie mogę wyjść za pana.

— Tylko jedna może być ważna, to, że pani mnie nie kocha!

— Nie kocham pana — zimno powiedziała dziewczyna, nie patrząc na Edwardsa. — Nie, nie kocham pana.

Edwards cofnął się i opuścił głowę na piersi. Zamilkli oboje:

— Zaczekam — powoli rzekł Edwards. — Jesteśmy przyjaciółmi. Podobno prawdziwa miłość rodzi się z przyjaźni. Jestem gotów zrobić dla pani wszystko, wszystko na świecie. Już najwyższa pora, by tak pani, jak i John mieli kogoś, kto by mógł was obronić od... podobnej ohydy.

Zbliżył się do Mary, a jego głos drżał od głębokiego wzruszenia.

— Proszę nie odbierać mi tej nadziei, missis Freeman! Jestem przekonany, że potrafię zdobyć pani miłość! Nie teraz... z czasem... Będę czekał. Lecz niech mi pani pozwoli czekać!

Mary wiedziała, że teraz mówiła przez niego miłość, a nie współczucie. Wyczuła to z tonu jego głosu, z wyrazu twarzy. Lecz jad plotek zatruł jej duszę. Dziewczyna nie mogła przewyciężyć obrażonej dumy.

Nie patrzyła na Edwardsa, by nie mógł dostrzec wyrazu jej oczu. Powoli zbliżyła się do drzwi w głębi pokoju i z trudem powiedziała:

— Proszę pana, nie mówmy o tym więcej! Proszę pójść. Jestem... bardzo, bardzo zmęczona.

Edwards czuł, że odchodzi od niego na zawsze.

— Czy pozwoli mi pani powrócić jutro? — wykrzyknął. — Nie możemy się przecież rozstać w ten sposób!

Mary wyciągnęła do niego rękę ze zmiętą kopertą.

— Ten list... był dla pana. Proszę go wziąć i przeczytać, gdy pan wyjdzie ode mnie. Myślę, że wówczas mnie pan zrozumie...

Edwards zabrał list z jej ręki i powoli wyszedł do przedpokoju. Gdy się za nim zatrzasnęły drzwi, Mary w rozpaczycy ścisnęła głowę. Nie płakała, lecz w jej sercu było tak strasznie pusto i gorzko.

Rozdział X

POWRÓT POLLY

Mary zasnęła o świcie, a o siódmej obudził ją dzwonek budzika. Wczoraj była zbyt zmęczona, by przygotować się do odjazdu. Lecz rano, po zimnej kąpieli, dziewczyna poczuła się rześniej i energicznie zabrała się do pakowania waliz.

John był zachwycony, dowiedziawszy się o podróży. Zasypywał Mary pytaniami, zanosił guwernantce ulubione zabawki, by ich nie zapomniała zabrać ze sobą.

Beatrycze telefonowała. Mary powiedziała jej, że wyjeżdża do Atlantic City, lecz przyrzekła często do niej pisać i wrócić za kilka tygodni. Uspokojona przyjaciółka życzyła jej szczęśliwej podróży i miłego wypoczynku. Sezon w Atlantic City był w pełni. Pani Salignac przypuszczała, że pobyt nad morzem przyniesie Mary ukojenie, rozerwie ją i pomoże zapomnieć o niemiłych sprawach.

O dziewiątej przyszedł posłaniec z listem od Edwardsa.

Droga Missis Freeman!

Najmocniej proszę zmienić swe postanowienie i nie wyjeżdżać z Waszyngtonu. Proszę przynajmniej dać mi możliwość zobaczenia Pani raz jeszcze. Wrażliwość Pani, zdaje mi się, przejawiała znaczenie niektórych faktów. Czy można będzie zobaczyć Panią choć na pół godziny? Po Pani liście nie mam odwagi przyjść bez pozwolenia. Posłaniec przyniesie mi odpowiedź Pani.

Głęboko oddany S.E.

Mary odpisała:

Drogi Panie Edwards!

Dziękuję za pamięć i za to, że Pan sam nie przyszedł. Muszę wyjechać, by zebrać myśli w samotności, lecz powrócę do Waszyngtonu. Może wkrótce napiszę do Pana. Będę wdzięczna, jeśli do tego czasu nie będzie Pan próbował mnie odszukać.

Głęboko żałuję wszystkiego. Przesyłam serdeczne życzenia powodzenia w walce w Kongresie. Jestem pewna, że Pan zwycięży!

Szczerze oddana M. F.

Gdy posłaniec odszedł, Mary odetchnęła z ulgą. Tego listu oczekiwała od rana. Teraz była pewna, że on zastosuje się do jej prośby i nie będzie się starał zobaczyć z nią przed odjazdem. O dziesiątej rano kufry były zamknięte i wysłane na dworzec. W kilka chwil później, gdy Mary siedziała przy biurku, doprowadzając do porządku ostatnie sprawy, rozległ się nieoczekiwany dzwonek. Dziewczyna drgnęła — czyżby Edwards mimo wszystko przyszedł? Lecz w przedpokoju dał się słyszeć nie jego znany bas, lecz głos kobiety, mówiącej coś szybko. Pewnie Beatrycze przysłała się pożegnać osobiście. Weszła służąca.

— O panią zapytuje jakaś pani...

— Nie mogę nikogo przyjąć, Hanno!

— Powiedziałam jej to, ale ta pani mówi, że jest siostrą pani i że musi koniecznie zobaczyć się z panią.

— Moja siostra?! — wykrzyknęła oszołomiona Mary. — Polly! Niemożliwe...

— Tak. Pani Drack...

Nie było wątpliwości. Nieoczekiwana, nieproszona Polly powróciła do niej! Jak przeszkodzić w jej spotkaniu z Johnem? Mary nie mogła wyprosić siostry, uprzednio nie rozmówiwszy się z nią, nie wysłuchawszy przynajmniej tego, co Polly chciała powiedzieć.

Odesłała służącą i weszła do salonu, gdzie zauważyła przy drzwiach dużą walizę. Polly zamierzała u niej zamieszkać! Chuda kobieta w czerwonym kapeluszu, która stała przy oknie, odwróciła się.

— Mary! — zawołała radośnie i z lękiem. — Mary!

Dziewczyna pozostała przy drzwiach. Myślała o Johnie, o prawach Polly do niego...

— To dla mnie duża niespodzianka, Polly — powiedziała powoli.

— Mary! — głos Polly urwał się.

Zrobiła krok i niezdecydowanie zatrzymała się, wyciągając przed siebie ręce.

— Nie gniewam się — cicho powiedziała Mary. — Lecz musisz zrozumieć, że to dla mnie ogromna niespodzianka... Nie oczekiwałam ciebie... po tylu latach.

— Ja wiem. Musiałam jednak przyjechać, Mary. Nie mam się gdzie podziąć!

Polly rzuciła się na kolana przed siostrą i zaszlochała.

— Mary! Przebacz mi...

Dziewczyna była na to przygotowana. Polly od dzieciństwa znała czarodziejską moc łez. Lecz myśl o Johnie zawisła między nią a siostrą jak obnażony miecz... Polly zanosila się od

płaczu. Znany dramatyczny trick. Dziś jednak wyczuwało się u niej szczerłość. Szczerłość, a nie potoki łez złamały opór Mary. Pomogła siostrze wstać i pozwoliła się pocałować.

— Pewnie ci powiedziano, że wyjeżdżam. Moje kufry są już wysłane.

— Tak. Służąca mówiła mi... Lecz ja nie wiedziałam, co robić! Musiałam... musiałam przyjechać do ciebie — nie mogąc złapać oddechu, mówiła Polly. — Nie wiedziałam, co zrobić z sobą. Tam nie mogłam pozostać. Wszystkie pieniądze wyszły i pozostało mi tylko na bilet kolejowy.

— Mogłaś mi o tym napisać.

— Pisałam, Mary. Ale twoje listy były takie zimne! O, ja wiele cierpiałam! Jeżeli ty mnie wypędzisz...

— Nie powiedziałam, że cię wypędzę, Polly.

Polly jakoś po ptasiemu zatrzęsła głową w czerwonym kapeluszu.

— O, tak się tego bałam! Mary, ja jestem bardzo słaba... Gdybyś tylko wiedziała...

Mary w milczeniu patrzyła na siostrę. Opuszczona głowa w wypłowiałym aksamitnym kapeluszu, niespokojne, chude ręce, brudne rękawiczki, ciemne kręgi pod oczami... Nieszczęśliwa kobieta potrzebowała rzeczywiście pomocy...

— Usiądź, Polly — miękko rzekła Mary. — Pomówimy.

Polly usiadła na brzegu krzesła, oczekując, co będzie dalej. Mary wyjrzała na korytarz i przekonawszy się, że nikt nie może ich usłyszeć, powiedziała szybko i stanowczo:

— Przebaczam ci, bo mi cię żal. Lecz pozwolę ci pozostać u mnie tylko pod jednym warunkiem.

— Wszystko, co tylko sobie życzysz, Mary!

— Nie będziemy mówiły o przeszłości. Ona jest skończona. Lecz z przeszłości coś pozostało.

Mary zrobiła pauzę i wyraźnie dodała:

— Mam na myśli mego syna, Johna Freemana.

— Moje dziecko — szepnęła Polly. — O, Mary!

— Nie twoje dziecko, a moje — zimno przerwała jej Mary.

— O, tak! Naturalnie, Mary.

— Chcę, byś nie zapomniała o tym, że jest mój. Ty nie masz do niego żadnych praw. On mnie kocha. Uważa mnie za swoją matkę. I rzeczywiście jestem jego matką. Nie oddam go.

— Nie mogłabym odebrać go od ciebie, nawet wówczas, gdybym tego pragnęła. Ty sama to rozumiesz Mary, nigdy.

— Ty nie możesz go chcieć! Nie możesz o nim myśleć inaczej, jak o moim synu. Ani jednym słówkiem nie możesz nigdy przed nikim zrobić najmniejszej aluzji dotyczącej prawdy.

Mary nagle pojęła, że raz na zawsze wyrzekła się możliwości powiedzenia prawdy Edwardsowi.

Polly jakby oczekiwała, co jeszcze powie siostra. Wreszcie, widząc, że Mary milczy, szepnęła:

— Dobrze, zgadzam się. Przyrzekam!

— Doskonale. Będę ci pomagała, dopóki nie przyjdiesz do siebie, by móc zatroszczyć się o swój los. Dziś wyjeżdżam z Waszyngtonu nad morze. Jeżeli przyjmujesz moje warunki, możesz ze mną jechać.

— O, dziękuję, Mary! Dziękuję. Zgadzam się na wszystko. Potrzebuję twej pomocy! Spójrz, jak ja wyglądam, zobacz moje ręce — są chude jak zapalki! Jestem zupełnie chora. Pragnę tylko spokoju. Zrobię wszystko, co mi każesz.

— Dobrze — powtórzyła Mary. — Pojedziesz ze mną do Atlantic City, z Johnem i gubernantką. Zaraz podjedzie po nas taksówka. Gdzie są twoje rzeczy?

— Nie mam więcej rzeczy, oprócz tych w walizie. Resztę byłam zmuszona zostawić w hotelu, za długi!

— Przecież posłałam ci pieniądze — zaczęła Mary i urwała. — No, wszystko jedno. Później to wykupimy. Jesteś zdecydowana pojechać?

— Tak.

Na schodach rozległy się szybkie kroki. Dziecinny głosik zakrzyczał: „Mamo!”. Obydwie kobiety drgnęły. Polly w oczekiwaniu otworzyła szeroko oczy. Starsza siostra boleśnie ścisnęła jej chude ramię i szepnęła:

— Pamiętaj o umowie!

Polly, nie odrywając oczu od drzwi, kiwnęła głową.

— Czy prędko pojedziemy, mamó? — krzyknął John, wpadając do salonu.

Zobaczywszy gościa, zatrzymał się.

— John — spokojnie powiedziała Mary — to twoja ciocia, Polly. Przyjechała do nas w gościnę. Idź, przywitaj się.

Chłopiec podszedł zażenowany.

— Po... pocałuj mnie, John! — rzekła Polly, śmiejąc się nerwowo i całując dziecko. —
Cieszę się, że cię widzę!

Chłopiec przyjrzał się uważnie nowej ciotce.

— Masz bardzo ładny, czerwony kapelusz — oświadczył.

Polly roześmiała się.

— Podoba ci się?

— Tak... Podoba.

John dojrzał ślady łez na jej twarzy, ale nic nie powiedział.

— Mam nadzieję, że będziesz mnie kochał? — zapytała Polly.

— O, tak! Tylko teraz nie mam czasu. My wyjeżdżamy.

— Ciocia Polly jedzie z nami — rzekła Mary.

— O! — John był bardzo uprzejmy i nie można było poznać, czy się ucieszył tą wiadomością, czy nie.

Odwrócił się od Polly i podbiegł do okna.

— Taksówki jeszcze nie ma, mam? Jeśli zaraz nie pojedziemy, to się spóźnimy!

Ciężka chwila minęła! Mary sama nie wiedziała, czego się bała — przesławnego „głosu krwi”, nagłego zbliżenia duchowego, spowodowanego naturalnym związkiem tych dwóch istot? Ulga była tak wielka, że odczuła nawet współczucie dla Polly. Matka stała nieruchomo i ze smutkiem patrzyła na dziecko. John dawno zapomniał o niej. Dla niego była tylko „ciocią w czerwonym kapeluszu”.

— Idę na górę przebrać się — powiedziała Mary. — Chodź ze mną, Polly.

2

Mary Freeman posiadała duży majątek. Żyła zawsze skromnie i potrafiła dzięki mądrym ulokowaniu kapitału w poważnych przedsiębiorstwach zwiększyć swoje dochody. Nieoczekiwane zjawienie się Polly nie przyczyniło jej kłopotów finansowych. Po drodze zamówiła telefonicznie apartament w hotelu Tremor.

Śniadanie jadły w pociągu przy jednym stoliku, a John z guwernantką przy drugim. Dopiero teraz, w jaskrawym świetle zimowego słońca wpadającego potokami do wagonu Mary dokładnie przyjrzała się siostrze. Polly była jeszcze ładna; przypominała wdzięczny, lekko przywiedły kwiat. Mary rozpoznawała dobrze znajome ruchy — wytworne, nerwowe porusze-

nia rąk, zamyślane, kokietyjne spojrzenie w bok, nagle, nieoczekiwane zwroty głowy. Wszystko to przypominało dawną Polly, lecz ruchy te obecnie nie miały już tego uroku jak kilka lat temu; robiły wrażenie sztucznych i ordynarnych. Na twarzy pojawił się nerwowy tik — lewa powieka drgała co chwilę i to niemile drażniło Mary. Przy tym Polly była zbyt jaskrawo umalowana — plamy różu wyglądały dziwnie na wpadniętych, chudych policzkach. Koło ust znaczyła się sieć drobnych zmarszczek. Uśmiech stracił swój dawny czar, stał się mechanicznym, zmęczonym ruchem mięśni. Gdy się śmiała, oczy pozostawały nieruchome i bez wyrazu.

Mary wiedziała, że Polly rzeczywiście potrzebuje pomocy. Nerwy jej były roztrzęsione do ostatnich granic. Przed wyjazdem z domu zażyła lekarstwo, które ją uspokoiło i orzeźwiło. Przy śniadaniu Polly znów połknęła kilka kropel z flaszeczki, którą nosiła stale w torebce.

Siostry rozmawiały o rzeczach obojętnych, wstrzemięźliwie, jak dalekie znajome. Polly w ogólnych zarysach opowiedziała o swym życiu na Zachodzie. Mary rzucała nic nie znaczące pytania, bojąc się potrącić bardziej głębokie tematy. Czuła, że całe życie Polly było szeregiem bezmyślnych omyłek. O sobie i Johnie tendencyjnie nic nie mówiła i Polly o nic nie pytała.

W hotelu Tremor przygotowano dla nich cztery południowe pokoje z widokiem na morze. Między sypialniami Mary i Polly był salonik. W czwartym pokoju zamieszkał John z guwernantką. Wszyscy byli zbyt zmęczeni, by zejść do restauracji na obiad. Podano im na górę, potem Polly od razu położyła się spać.

Zdarzenia nastąpiły tak szybko po sobie, że Mary nie zdążyła zastanowić się nad swoim nowym położeniem. Była zadowolona, że mogła zostać sama. Zdawała sobie sprawę, że zbyt okrutnie postąpiła ze Steve'em. Przecież to nie była jego wina, że jego przyjaźń przyniosła jej nową hańbę. Gdy tak nieoczekiwanie się oświadczył, dziewczyna zupełnie się zagubiła i uciepiała się pierwszego lepszego pretekstu, jaki przyszedł jej do głowy, by zakończyć męczącą rozmowę. Obrażona ambicja oślepiła ją. Co prawda, Mary nigdy przedtem nie myślała o Edwardsie inaczej, jak o dobrym przyjacielu, lecz teraz już wiedziała, że go kocha...

Wszystko jedno, i tak nigdy nie może wyjść za niego. Nie można dopuścić, by przez nią miał zwichnąć swoją karierę, zeniąc się z potępioną przez wszystkich kobietą. Wczoraj była chwila, gdy pragnęła bardzo powiedzieć mu prawdę o Polly i Johnie. Pod jej sztucznym chłodem Steve nie odgadł, jak bliska była wyznania mu prawdy.

Gdyby ją był wziął w objęcia, mówiąc, że ją kocha, Mary nie wytrzymałaby i wyplakała prawdę na jego piersiach. Ale on nie dotknął jej nawet... Jego wielka delikatność i nieśmiałość, dzięki którym była możliwa ich przyjaźń, wstrzymywały Edwardsa.

Mary czuła się nieszczęśliwa, lecz zdawała sobie sprawę, że innego wyjścia nie ma, szczególnie teraz. Nie można było odpowiedzieć Edwardsowi inaczej jak odmową. Przyjechała Polly. Gdyby mu powiedziała prawdę, tym samym zwróciłaby Johna jego prawdziwej matce. To nie może się stać! Przyszłość chłopca należy do niej, jak i jego przeszłość. Nic nie może ich rozłączyć!

Stan siostry niepokoił Mary. Polly była słaba i nieszczęśliwa. W jaki sposób jej pomóc? Przede wszystkim jest jej potrzebny wypoczynek, przyjacielskie traktowanie i, możliwe, że porada lekarza. Mary nieco wzdragała się przed nową odpowiedzialnością. Postanowiła jednak być dla Polly dobra i cierpliwa, mimo że obecność siostry przypominała jej boleśnie jej własne stracone szczęście...

Głęboko westchnąwszy, dziewczyna się rozebrała i położyła do łóżka.

Poranek był jasny, wietrzny, lecz nie zimny. Morze stało błękitne pod oknem. Wybrzeże miało ożywiony i świąteczny wygląd. Polly jeszcze spała, lecz John wcześniej się obudził i miał pełno najrozmaitszych planów i pomysłów. Mary wyprawiała go z Francuzką na spacer, a sama zabrała się do wypakowywania kufrów. Skończywszy pracę, usiadła przy oknie i zamyśliła się.

Nie czuła już goryczy. Z dala od Edwardsa lżej było jej myśleć o nim. Myśl, że Steve ją kocha, napełniała duszę Mary cichym szczęściem. Przeżyte przykrości zeszyły na drugi plan. Rozbudzona ambicja drzemała. Nie myśląc o przyszłości, dziewczyna radośnie przysłuchiwała się biciu własnego serca. Nawet gdyby było sądzone jej i Steve'owi nie połączyć się nigdy, to i tak tej wewnętrznej radości nikt jej nie odbierze...

Spojrzała na zegarek i cicho otworzyła drzwi do sypialni Polly. W pokoju mimo otwartego okna było duszno. Czuć było zapach papierosów i mdląco-słodkawy zapach nieznanego lekarstwa.

Polly poruszyła się, gdy Mary odsunęła story zasłaniające okna i potoki słońca zalały pokój.

— Wkrótce będzie południe — rzekła Mary. — Nie masz zamiaru wstawać?

Polly otworzyła oczy i przeciągnęła się.

— Tak, zaraz... O, Boże, jaka jestem zmęczona! Nigdy nie mogę się wyspać.

Mary spojrzała na stos niedopałków od papierosów, lecz nic nie powiedziała.

— Ładna pogoda? — zapytała Polly. — Nigdy nie byłam jeszcze w Atlantic City.

— Prześliczna pogoda — odrzekła Mary z udaną wesołością. — Zjedzmy jak najprędzej śniadanie i pójdziemy na spacer. Trzeba będzie porobić dla ciebie jakieś sprawunki.

Polly sprężyście usiadła na łóżku.

— Jakaś ty dobra, Mary! Wszystkie moje suknie są aż czarne od kurzu z podróży i dosłownie nie mam co włożyć!

— Dziś włożysz jedną z moich sukien. Tutaj są bardzo przyzwoite magazyny. Potrzebny ci jest kostium, suknia wieczorowa, jeden lub dwa kapelusze...

Polly zapaliła papierosa i stopami namacała pantofle na dywanie,

— Jaka ja będę szczęśliwa, gdy się przyzwoicie ubiorę. Jesteś nadzwyczaj dobra, Mary!

— Przygotować ci wannę? Co będziesz jadła na śniadanie?

— Tylko kawę. Nic nigdy nie jem rano... Jaki piękny szlafrok!

— Podoba ci się? Daruję ci go.

Mary otworzyła kran w łazience i wróciła do sypialni.

— Zaraz przyniosę ci bieliznę. Będzie dla ciebie nieco za obszerna, ale ujdzie, zanim kupimy nową.

— O, dziękuję!

Zaledwie Mary skończyła się ubierać, wbiegł do pokoju John. Paplał bez ustanku o karuzelach i kucykach na plaży, o cudownych zabawkach w sklepie. Mademoiselle kupiła mu łuk i strzały.

— Tutaj jest cudownie, mamó! — krzyczał zachwycony. — Byliśmy w zwierzyńcu... Tam są takie lwy i tygrysy! A psy morskie grają w piłkę! Chcę, żebyś poszła ze mną i zobaczyła!

— Oczywiście, kochanie, pójdę z tobą, tylko nie teraz. Musisz odpocząć, a ja muszę pójść do sklepów z ciocią Polly.

— Z ciocią Polly? — z rozczerwaniem przeciągnął i zamyślił się. — Po co ona do nas przyjechała? Lepiej było bez niej!

Serce Mary zabiło od nagłej radości.

— Ciszej, John — szepnęła. — Musisz być miły dla biednej cioci Polly. Ona jest słaba.

— O! No, dobrze. Ale dlaczego nie została w domu, jeżeli jest chora?

Naiwność dziecka wyraziła skrytą myśl Mary, do której ona sama nie chciała się przyznać.

— Nie mogła, John. Są powody. Nie trzeba o nie pytać.

Mary pocałowała dziecko i wysłała do guwernantki. Polly wreszcie ukazała się po kąpie-
li, świeża i odmłodzona. Oczy jej błyszczały ożywione myślą o zakupach. Bogate otoczenie, do
jakiego znów się dostała, poprawiło jej stan. Siostry wyszły na ulicę. Polly zachwycała się
wszystkim, z zapalem oglądając okna wystawowe. W dużym, modnym magazynie pokazano
im kostiumy, kapelusze, suknie wieczorowe i płaszcze...

Polly rozkwitła. Przymierzanie sprawiało jej dużą przyjemność. Zdawało się, że zapo-
mniała o swoich nieszczęściach. Podobały się jej komplety i miłe uwagi sprzedawczyni. Z we-
sołym śmiechem zwróciła uwagę Mary, że najbardziej jej do twarzy w rzeczach najdroższych!
Mary uchyliła się od dawania jej rad. Polly podobały się jaskrawe, ekscentryczne suknie, któ-
rych ona nigdy by nie włożyła.

— Oczywiście, to nie jest w twoim guście — rzekła Polly widząc, że Mary milczy. —
Ty byłaś zawsze skromna!

— Po prostu jestem starą panną — dobrodusznie odrzekła Mary.

— O, nie, tego bym nie powiedziała. Lecz jesteś trochę staromodna, prawda? — zaśmia-
ła się Polly. — Mam inny typ. Blondynki muszą ubierać się w żywe barwy...

— Kochanie, wybieraj to, co ci się podoba.

Polly wybrała trzy kapelusze, kostium, spódnicę sportową, kilka bluzek, dwie suknie
wieczorowe, płaszczyk, mnóstwo drobiazgów — rękawiczki, pończochy, bieliznę, torebki... Ra-
chunek przeszedł oczekiwanie Mary, lecz powiedziała tylko:

— Proszę to przysłać do hotelu Tremor, dla pani Drack.

Polly nie miała słów na wyrażenie swej wdzięczności. Ceniła szczodrość siostry i jedno-
cześnie cieszyła się z nowych rzeczy jak dziecko. Udało jej się bez specjalnego zachodu zająć
miejsce w nowym życiu Mary. Czując pewny grunt pod nogami, Polly zaczęła natychmiast
budować plany na przyszłość. Oczywiście, Mary będzie jej dawała drobne sumy na wydatki i
będzie można wesoło się bawić w Atlantic City... Dolary były tą ożywczą rosą, w której Polly
rozkwitała jak kwiat. Wreszcie kapitał Mary był częścią tych pieniędzy, które kiedyś należały
do obydwu sióstr... Mary poszczęściło się — nie wyszła za mąż za tego łotra Geo, który nie
umiał odróżnić pewnego interesu od złego...

Oczywiście, Mary postąpiła bardzo wspaniałomyślnie, przebacząc Polly przeszłość i
pozwalając jej korzystać z jej pieniędzy, ale z drugiej strony, byłoby dziwne, gdyby rodzona

siostra nie zatroszczyła się o los młodszej siostry. Dobra Mary! Trochę staromodna, co do tego nie ma wątpliwości, ale serce ma czułe i litościwe! Kochana Mary!

3

Słońce i zdrowe powietrze morskie robiły cuda. Co prawda stan Polly się pogorszył, gdy Mary zabrała jej flaszeczkę z „lekarstwem”. Mary domyślała się od dawna, że jej siostra używa narkotyków i zrobiła jej z tego powodu ostrą wymówkę. Oczy Polly rozgorzały złością, gdy wola Mary okazała się silniejsza. Mary wyrzuciła flaszeczkę do morza. „Lekarstwa” nie można było otrzymać bez recepty lekarskiej. Przez trzy dni Mary nie puszczała siostry ani na krok od siebie i nie dawała jej pieniędzy. Polly czuła się nieszczęśliwa; kaprysiła i piła dużo kawy, lecz po tygodniu przybyło jej na wadze i zaczęła dobrze sypiać. Mary cieszyła się, że zastosowała stanowcze środki.

Siostry całymi dniami siedziały na brzegu morza, na płóciennych leżakach, otulone szalami. Milczały lub wymieniały między sobą lakoniczne zdania. Polly wyraźnie się uspokoiła. Bardzo często zasypiała na powietrzu. Mary patrzyła na jej na wpół dziecinną, umęczoną twarz, i obraza i gorycz powoli ustępowały miejsca współczuciu i miłości. Polly pozostała rozpieszczonym kapryśnym dzieckiem, skazanym na nieszczęścia, zawinione przez własny egoizm i lekkomyślność. Dlatego Mary przebaczyła jej przeżyte przez nią cierpienia...

Możliwe, że surowiej potraktowałyby Polly, gdyby jej obecność groziła czymkolwiek Johnowi. Lecz chłopak czuł niewytłumaczalną antypatię do „cioci Polly”. Pewnego razu, gdy biegał po pokojach i namiętnie wykrzykiwał wojenne zawołania Indian, nadwerężone nerwy Polly nie wytrzymały.

— Mademoiselle, proszę go uspokoić i kazać chłopcu milczeć! — krzyknęła gniewnie.

John obraził się. Nikt nigdy nie rozmawiał z nim w ten sposób! Jeżeli mama chciała, by się uspokoił, zwyczajnie prosiła go o to! Poczzerwieniał na brutalne odezwanie się Polly i odtąd odnosił się do niej z rezerwą.

Polly starała się naprawić błąd, kupowała mu zabawki, cukierki. Miewała napady czułości, których przyczyny John oczywiście nie mógł znać. Ciocia Polly była zbyt zmienna; nigdy nie wiedział, czego można od niej oczekiwać — pieszczot czy wymówek, i dlatego wolał trzymać się z daleka.

Polly zdecydowała się wreszcie powiedzieć swoje zdanie o wychowaniu chłopca.

— Mary, ty go rozpieściłaś — oświadczyła. — To kapryśny i niewychowany chłopak. Zobacz tylko, jak postępuje ze mną — wczoraj odmówił pocałowania mnie na dobranoc! Mnie, swoją własną...

— Cicho, Polly! — surowo przerwała jej Mary.

— Pozwalasz mu roztrząść każdą kwestię, jakby to była istota myśląca! Sześćoletnie dziecko!

— On jest istotą myślącą. Nauczyłam go myśleć samodzielnie.

— Innymi słowy, kochać ciebie i nikogo więcej! Pozwalasz mu traktować mnie jak obcą. I to mnie!

Mary milczała przez kilka sekund i odrzekła:

— Tak, jesteś dla niego obca, Polly. A teraz proszę cię, zmieńmy temat.

Polly wzruszyła ramionami. Zrozumiała jednak, że na przyszłość trzeba być ostrożniejszą, jeżeli chodzi o Johna.

Nie po raz pierwszy Mary zauważyła, że Polly jej zazdrości. Jej pierścionki, perły, bransoletki, wszystko to wywoływało krytyczne uwagi młodszej siostry. Polly dawno musiała wyprzedać swoją biżuterię. Skromne, lecz drogie ubrania Mary i jej „gust staruszki” wywoływały drwiny siostry. Gdy Polly wpadała w taki nastrój, Mary pozostawiała ją samą i udawała się na daleki spacer z chłopcem. Polly spacerowała często sama po wybrzeżu.

Gdy się spotykały przy obiedzie, Polly była znów uprzejma i miła. Dziecko! — myślała Mary. Dziecko, którego nie poprawią żadne cierpienia...

Pewnego razu Mary spotkała ją na ulicy w towarzystwie obcego mężczyzny. Nieznajomy był młody, dobrze ubrany i z prawdziwym zachwytem patrzył na roześmianą Polly. Wieczorem Mary o nic nie pytała, lecz Polly sama oświadczyła, że spotkała znajomego z Los Angeles. Mary udała, że jej wierzy. Lecz to, co widziała, dało jej powód do zastanowienia.

Minęły trzy tygodnie. Mary wciąż mieszkała w Atlantic City. Nie miała planów na przyszłość. Zdawało się, że pozostawiła to samemu losowi do rozstrzygnięcia. Napisała do Beatrycze na papierze hotelowym, lecz prosiła przyjaciółkę, by nikomu nie dawała jej adresu. W odpowiedzi przyszedł list pełen radości życia. Beatrycze zapewniała, że w Waszyngtonie wszystko w porządku, gorąca obrona Mary przez nią poskutkowała i o plotkach zaczynają zapominać. Steve'a Edwardsa widywała rzadko, lecz słyszała od jego sekretarza, Hestingsa, że deputowany jest po uszy pogrążony w pracy. Wrogowie nie przestawali wymyślać o nim najnieprawdopodobniejszych historii. Zbliżał się dzień jego ostatecznego wystąpienia w parlamencie.

Wesoły, przyjacielski list Beatrycze sprawił Mary wielką radość. Do Waszyngtonu jednak powracać jeszcze nie chciała.

John zaczął się już męczyć życiem hotelowym. Morze straciło urok nowości, zwierzyńiec był już dobrze znany, spokojne kucyki na plaży nie były nic warte w porównaniu z własnym, zwawym konikiem. Pewnego razu, kładąc się spać, przyznał się Mary, że chciałby powrócić do swego kuczka i do „pana Edwardsa”

Mary ucałowała go serdecznie. Podzielała jego uczucia. Z tą różnicą, że mogłaby się obejść bez kuczka...

Rozdział XI

SPOTKANIE DAWNYCH KOCHANKÓW

Ransom zdecydował wreszcie, że zebrano dosyć głosów dla obalenia szkodliwego projektu w Kongresie. Poprosił o postawienie sprawy sprzedaży terenów na porządku dziennym do rozpatrzenia przez parlament. Naznaczono dzień. Edwards przygotował swoją mowę i z niecierpliwością oczekiwał decydującego starcia.

Nie tracił nadziei zdobycia Mary, lecz rozumnie powstrzymywał się, do czasu, od poszukiwania jej. Nie odwiedzał Beatrycze, chociaż był przekonany, że ona zna miejsce pobytu Mary. Nie uważał za stosowne roztrząsać tej sprawy z panią Salignac. Mówiąc otwarcie, bał się trochę jej ostrego języczka i wrodzonej przenikliwości. Lecz przyrzeczony list od Mary nie przychodził i wreszcie stracił cierpliwość, by oczekiwać dalej. Rano zadzwonił do Beatrycze i prosił o zezwolenie na odwiedzenie jej. Zaprosiła go na popołudniową herbatę.

Beatrycze doskonale zrozumiała, o co właściwie mu chodziło i jaki miał do niej interes. Bawiły ją usiłowania deputowanego, by podejść do interesującego tematu.

Mówiono o pogodzie, o przyjeździe dyplomaty francuskiego, o pracy w Kongresie. Beatrycze bardzo się żywo wszystkim interesowała, lecz ani razu nie wspomniała nazwiska Mary. Wreszcie Edwards nie wytrzymał.

— Czy wiadomo pani, gdzie obecnie przebywa Mary Freeman? — zapytał.

Śmiech Beatrycze wytrącił go trochę z równowagi.

— Nareszcie! Patrzyłam na zegarek, ile potrzeba panu czasu, by przystąpić do tematu, dla którego pan właściwie do mnie przyszedł. Równo osiem minut. Byłam przekonana, że odwiedził mnie pan nie po to, by specjalnie się ze mną zobaczyć.

— Bardzo pragnąłem zobaczyć panią — zmieszał się Edwards.

— Zawsze jest mi miło spędzić z panią kilka chwil. Prócz tego jest pani bliską osobą missis Freeman...

— Przypuszczał pan, że mu powiem, gdzie jest obecnie Mary? — przerwała mu Beatrycze.

— Bardzo bym chciał wiedzieć. Wyjechała tak nagle...

— Wiadomo mi nie więcej niż panu, panie Edwards. Mary przyrzekła napisać, lecz dotychczas nie otrzymałam listu. Powiedziała, że powróci do Waszyngtonu. Miała moc przykrości. Panu, oczywiście, wiadomo jakich?

— Tak.

— Obawiam się, że wyjechała z mojej winy. Byłam jednak tak zdenerwowana, że nie mogłam zapanować nad sobą i wszystko jej opowiedziałam.

— I tak, wcześniej czy później, dowiedziałyby się od kogoś.

— Przypuszczam. Zawsze lepiej usłyszeć to z ust przyjaciółki niż od obcych ludzi.

Beatrycze zrobiła pauzę i dodała: — Panie Edwards, Mary chce na zawsze opuścić Waszyngton. Chce znów gdzieś wyjechać, gdzie nikt nie zna jej przeszłości. Nie można do tego dopuścić!

— Oczywiście, nie można. Ale w jaki sposób ją zatrzymać?

Wzięła z kominka srebrne pudełko, zaproponowała Edwardsowi papierosa i sama zapaliła. Na kilka chwil oboje zamilkli.

— Mary nie powinna wyjechać — powiedziała znów Beatrycze. — Kocha swój dom w Waszyngtonie; była w nim po swojemu szczęśliwa, dopóki nie rozeszła się ta dzika plotka.

Edwards się nachmurzył, lecz nie powiedział ani słowa. Beatrycze mówiła dalej:

— Prawdopodobnie domyśla się pan, kto puścił tę plotkę. Zawsze trudno jest wpaść na źródło plotek. Po cichu jednak zdobyłam pewne wiadomości... i zdaje mi się, że jestem bliska wykrycia!

Edwards wyprostował się.

— Chce pani powiedzieć, że mogłaby... dowieść tego? — zapytał zdenerwowany.

— Cierpliwości, panie Edwards! Jeszcze tego nie powiedziałam. Mam jednak nadzieję...

— Gdybym tylko wiedział, kto to zrobił — niewyraźnie burknął gość. — Gdybym tylko był pewny!

— Nic pan na razie nie może zrobić. Niech mi pan pozwoli przeprowadzić śledztwo do końca.

— Czy pani mi powie, jak się dowie?

— Oczywiście.

Beatrycze wypuściła kłęb dymu i uśmiechnęła się.

— Nie wyglądam na kobietę krwiożerczą, prawda? A jednak jestem gotowa własnymi rękami zadusić łotra, który puścił plotkę o Mary! W starych dobrych czasach gentelman wyzywał człowieka, którego podejrzewał o podłość, na pojedynek i przesywał go szpadą. Zdarzało się wprawdzie często, że dopadał kogoś innego niż prawdziwy winowajca, lecz to nie miało znaczenia; chodziło o to, by honor był czysty! Ten sposób ma swoje dobre strony, lecz w naszym wypadku nie nadaje się. Nie możemy się pomylić.

Edwards zachmurzył się.

— Myślałem o tym również. Lecz widzi pani, że jestem bezsilny. Nie mogę wplątać jej nazwiska; to tylko pogorszy sprawę.

— Tak. Teraz nie można nic przedsięwziąć. Mogłoby to tylko zaszkodzić Mary. Biedna!
— Beatrycze zagasila papierosa i mówiła dalej: — Panie Edwards, czy zastanawiał się pan kiedyś nad tymi historiami, jakie opowiadają o Mary?

— Nie rozumiem pani...

— Mam na myśli jej nieszczęście... O jej macierzyństwie, o pochodzeniu Johna?

Edwards chwilę zwlekał z odpowiedzią. Siedział z opuszczoną głową i gdy zaczął mówić, jego głos brzmiał tak miękko, jak gdyby mówił do samej Mary:

— Owszem, myślałem o tym. Lecz to nie ma żadnego wpływu na mój stosunek do... missis Freeman.

Beatrycze spojrzała na niego mile i rzekła:

— Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że Mary padła ofiarą okropnej pomyłki? Ofiarą własnej dumy lub fałszywego poczucia obowiązku? Może okoliczności postawiły ją w takich warunkach, że nie widziała innego wyjścia, jak wziąć na siebie skutki cudzych błędów?

— Pani chce powiedzieć... Pani coś wie?

— Nie, nie. Po prostu myślę głośno, panie Edwards. Nic nie wiem, lecz mam pewne podejrzenia... Jest tutaj jakaś tajemnica, którą warto by odgadnąć dla dobra Mary. Znam ją od

dzieciństwa. Była zawsze dumna jak diablątko i ambitna. Według mnie, właśnie taka kobieta może pragnąć kary za swój grzech i ponosić jego skutki, choćby ją to miało kosztować życie.

Beatrycze wstała i przeszła po pokoju.

— Możliwe, że Mary popełniła błąd i chce go okupić poniżeniem, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć, panie Edwards! To nie jest zgodne z jej charakterem. Nie chce mi się po prostu pomieścić w głowie, że Mary. mogła dopuścić do podobnego wypadku.

Edwards podniósł się z krzesła. Nie spuszczał oczu z Beatrycze. Lecz jego głos zadźwięczał zupełnie spokojnie, gdy powiedział:

— Pani wątpliwości mają wiele sensu. Są w zupełności zrozumiałe dla tego, który kocha panią Freeman.

Beatrycze szybko się odwróciła:

— Pan ją kocha?

— Tak — odparł prosto Edwards. — Kocham ją.

— Wobec tego jesteśmy podwójnymi przyjaciółmi, panie Edwards!

Usiadła i uśmiechnęła się do gościa.

— Nie uważa pan, że z mojej strony było niedelikatnie pytać o to? Proszę mi wierzyć że nie zrobiłam tego z ciekawości. Cieszę się; że mnie pan dobrze zrozumiał.

— Cenię sobie przyjaźń pani — powiedział Edwards. — Wszystko bym zrobił, by missis Freeman była szczęśliwa.

Zapaliła nowego papierosa i obojętnie zapytała:

— Czy pan próbował się jej oświadczyć?

Ciekawość Beatrycze byłaby rozgniewała Edwardsa, gdyby nie wiedział, jak bardzo brała sobie do serca los Mary.

— Prosiłem ją, by pozostała moją żoną — odparł z goryczą. — Odmówiła mi.

Ogień dopalającej się zapalki boleśnie sparzył palce Beatrycze; zapomniała zapalić papierosa.

— Kiedy to miało miejsce?

— Przed dwoma tygodniami.

— To znaczy przed samym jej wyjazdem. Czy już wiedziała o plotkach?

— Tak...

Beatrycze badawczo spojrzała na Edwardsa. Odwrócił się, chmurząc brwi. Ta kobieta była rzeczywiście niedelikatna. Jakie miała prawo patrzeć na niego w ten sposób? Dziwny odgłos zmusił go do odwrócenia się. Beatrycze się śmiała!

— O, panie Edwards! Nie wiem naprawdę, czy mam się gniewać na pana, czy pana żałować! To jest niesłychane!

— Właściwie, co? — wybuchnął Edwards.

— Podobne głupstwo! Może jeszcze oświadczył się jej pan tego samego dnia, w którym Mary dowiedziała się o plotkach?

— Właśnie w ten dzień. Więc cóż z tego?

— Proszę się nie gniewać! Nie powinien się pan gniewać na mnie, nie dopuszczę do tego. Jestem pana szczerym przyjacielem. Nie mogłam jednak powstrzymać się od śmiechu! Śmiałam się nie z pana, a z wszystkich mężczyzn!

— Nie rozumiem.

— Nie rozumie pan tego? — wrzuciła ramionami. — Wszyscy mężczyźni są jednakowi. Nie rozumieją psychiki kobiecej. Wybrał pan najgorszy moment, chwilę głębokiego upokorzenia Mary, by zaproponować jej jakby nagrodę za poniesione przez pana straty! Czy pan nie może zrozumieć, że taka kobieta jak Mary nie mogła przyjąć pańskiej propozycji w podobnych warunkach?

Edwards siedział ponury, głęboko zamyślony.

— Poszedłem za porywem serca — zaczął niezręcznie.

— Szkoda, że pan nie posłuchał serca kilka dni przedtem! Możliwe, że odpowiedź byłaby inna!

Młoda kobieta pochyliła się naprzód i dotknęła ręki gościa.

— Powiedziałam: możliwe, panie Edwards!

Młody deputowany uśmiechnął się niezdecydowanie. Czuł się speszony.

— Co pan zamierza zrobić? — zapytała Beatrycze. — Czy życzy pan sobie, bym mu pomogła?

— Proszę, jeżeli pani może.

— Czy przyrzeka pan stosować się do moich rad?

— Przyrzekam.

— Pierwsza moja rada; nie rozpaczać. Druga rada: cierpliwości, panie Edwards! Trzecia — nic nie przedsiębrać do czasu, aż pozwolę.

Ta rozmowa dała Edwardsowi dużo do myślenia. Nowa nadzieja ożywiła go. Przedtem czuł się z Beatrycze niezręcznie — jej szybkie zmiany nastrojów dezorientowały go; nie zawsze znajdował właściwą odpowiedź na jej rozumne i zjadliwe uwagi. Lecz wiedział o jej przyjaźni z Mary, a dziś się przekonał, że odnosi się do niego ze szczerą sympatią. Domysły Beatrycze, dotyczące przeszłości Mary, głęboko go poruszyły. Im więcej myślał, tym bardziej wydawało mu się prawdopodobne, że szlachetna dziewczyna stała się ofiarą cudzego grzechu...

Po kilku dniach Edwards otrzymał pocztą niebieską, uperfumowaną kopertę. Na arkuszu papieru było napisane charakterem Beatrycze de Salignac:

Hotel Tremor, Atlantic City.

Podpisu nie było.

Edwards połączył się telefonicznie z mieszkaniem Beatrycze, lecz młoda wdowa oświadczyła, że żadnego listu nie posyłała, nazwała go durniem i powiesiła słuchawkę. Zrozumiał, że Mary wreszcie napisała do niej, lecz zabroniła przyjaciółce udzielania adresu komukolwiek. Beatrycze natomiast, mimo zakazu, wydała sekret Edwardsowi.

Posiedzenie w Kongresie dla rozpatrzenia sprawy sprzedaży terenów nad rzeką Ward zostało naznaczone na środę przyszłego tygodnia. Edwardsowi zostało kilka dni wolnych. Pospiesznie spakował się do niedużej walizki i wyjechał do Atlantic City, niesiony na skrzydłach nadziei. Beatrycze nie byłaby mu przysłała adresu, nie uważając, że jego podróż będzie miała szanse powodzenia.

Nie wysłał depechy o swym przyjeździe, nie zamówił pokoju. Z dworca do hotelu przyjechał tramwajem. Nie miał określonych planów. Chciał się przebrać, zjeść obiad i o ile to będzie możliwe, jeszcze tego samego wieczoru zobaczyć się z Mary. Resztę pozostawił przeznaczeniu...

Czy Mary go przyjmie? Dobrze, jeżeli spotka ją przypadkowo... Zszedł na dół po kąpieli; przekonał się, że Mary nie ma w restauracji, i zjadł obiad sam. Było już późno. John zapewne kładł się spać, a Mary po obiedzie poszła już do swego pokoju.

Obok znajdowała się budka telefoniczna, lecz Edwards się wahał. Wypalił papierosa, pospacerował po korytarzu, zajrzał do baru, chociaż miał mało nadziei zobaczenia tam Mary. Było dużo osób. Orkiestra stroiła instrumenty. Edwards spojrzał na syreny namalowane na ścianach i na żywe, siedzące przy stolikach. Jak niepodobne były do Mary te zalotne, uróżowane kobiety! Edwards wyszedł i stanowczym krokiem skierował się do telefonu.

Odezwał się głos kobiety.

— Czy to pani, missis Freeman? — zapytał. — Mówi Steve Edwards. Czy można panią zobaczyć?

— A! — odpowiedział głos. — To pan Edwards, z Waszyngtonu? Pani Freeman nie ma w domu. Tu mademoiselle Dupuy.

— Dobry wieczór! Czy missis Freeman prędko powróci?

— Pewnie niedługo. Poszła się przejść.

— Jak się ma John?

— Doskonale, dziękuję. Kładę go spać.

— Proszę go ode mnie pozdrowić. Proszę powiedzieć, że mam nadzieję zobaczyć go jutro. Proszę powiedzieć missis Freeman, że dzwoniłem.

— Naturalnie. Czy nie zechciałby pan przyjść do salonu i zaczekać? Jestem pewna, że missis Freeman ucieszy się, gdy pana ujrzy.

Edwards wahał się sekundę. Francuzka go zaprosiła, pamiętając o gościnności, jaką Mary okazywała mu w Waszyngtonie. Nie wiedziała o ostatnich wypadkach... Niezupełnie było uczciwe skorzystać z zaproszenia, mimo to Edwards zdecydował się:

— Doskonale, zaraz przyjdę!

— Pokój 740.

— Dziękuję!

Powiesił słuchawkę i wszedł do przepełnionej windy. Na siódmym piętrze wyszedł razem z nieznaną panią. Pani ta szła wzdłuż korytarza, Edwards za nią. Przy drzwiach numeru 740 zatrzymała się i ujęła klamkę drzwi. W korytarzu panował półmrok.

— Przepraszam — rzekł Edwards. — Szukam apartamentu missis Freeman.

— To tutaj — odparła dama. — Jestem missis Drack, siostra pani Freeman.

Po raz pierwszy Edwards dowiedział się, że Mary ma siostrę! Głos wydał mu się znajomy. Przedstawił się:

— Nazywam się Steve Edwards. Przyjechałem dziś z Waszyngtonu.

Polly nie patrzyła na niego, zajęta kluczem. Drzwi się otworzyły.

— Proszę wejść, panie Edwards. Słyszałam już o panu od Johna. Mary zaraz wróci...

Polly nagle urwała i przycisnęła ręce do piersi. Edwards poszedł za nią, do mile urządzonego pokoju. Tutaj mieszkała Mary z Johnem. Na krześle leżał malutki aeroplan, w wazonach były kwiaty...

Polly zapaliła światło, lecz szerokie skrzydła kapelusza rzucały cień na jej twarz. Chuda ręka, trzymająca futro na piersiach, drżała. Gość zwrócił uwagę na dziwne, spięte i nienaturalne zachowanie się siostry. Mary. Kogo przypominała mu ta kobieta?

— Nie wiedziałem, że missis Freeman ma siostrę — zaczął, nie spuszczać oczu z Polly.

Odwróciła się, skrzydła kapelusza kryły jej twarz.

— To dziwne, że Mary nie mówiła panu o mnie — burknęła niewyraźnie.

Edwards drgnął. Ta wysmukła, szczupła sylwetka... przechylona szyja... jasne loki włosów... głos — jakby ucho łowiło inny, bardziej dźwięczny, słyszany w górach, nad brzegiem jeziora... Mimo woli zrobił krok naprzód.

— Ellis!

Nie było odpowiedzi. Kobieta stała odwrócona plecami. Ręka jej kurczowo trzymała się brzegu stołu.

— Ellis! Co tu robisz?

Polly odwróciła się powoli. Spojrzenia ich spotkały się.

— Ja... nie nazywam się Ellis. Jestem siostrą Mary!

Edwards zapomniał o tym, oszołomiony spotkaniem. Rozejrzał się w roztargnieniu, jakby miał nadzieję znaleźć w otoczeniu zaprzeczenie jej słów.

— Niemożliwe! — szepnął.

Polly zaśmiała się nerwowo.

— Tak, jestem siostrą Mary! A pan to Steve Edwards! Kto by mógł pomyśleć!

Polly wróciła pewność siebie. Czuła, że Steve ją badawczo obserwuje. Jego wzrok palił ją jak ogień. Należało przerwać przykre milczenie.

— Jakie to dziwne, nieprawdaż? — powiedziała. — Pan mi nie wierzy? Proszę się zapytać guwernantki lub Mary!

Steve skierował się ku drzwiom. Chciał wyjść, zanim nadejdzie Mary. Wskrzeszona przeszłość niweczyła wszystkie nadzieje. Lecz przy drzwiach odwrócił się i spytał:

— Czy ona nie wie?

Polly szybko spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

— Skąd może wiedzieć? Przecież ja sama dowiedziałam się dopiero, że... to pan.

Edwards kiwnął głową.

— Aha, rozumiem. Oczywiście...

— Nie trzeba nikomu nic mówić, żeśmy się już kiedyś spotkali — z zimną krwią dodała Polly. — To zupełnie niepotrzebne.

— Oczywiście... — burknął Steve i spuścił oczy.

Polly zdjęła kapelusz przed lustrem i poprawiła włosy.

— Proszę usiąść, panie Edwards. Spacerowałyśmy z Mary. Wróciłam pierwsza, bo Mary miała jeszcze zamiar coś kupić. Zaraz przyjdzie.

Edwards patrzył na Polly, zdumiony jej swobodą. Postarzała się... Schudła...

— Dziękuję — powiedział, lecz nadal stał.

To spotkanie głęboko nim wstrząsnęło. W jednej chwili runęły wszystkie plany, wszystkie nadzieje. Chciał odejść, zanim nie było za późno, lecz nie mógł ruszyć się z miejsca.

— Pani się nazywała Ellis Cherly... — usłyszał własny głos.

Polly się odwróciła.

— Wymyśliłam to imię. Czy teraz nie wszystko jedno?

Nie odpowiedział. Drgnął i odwrócił się, gdyż za jego plecami otworzyły się drzwi.

Rozdział XII

WE TROJE

Mary szybko weszła, lecz ujrawszy gościa, stanęła i zbladła.

— Pan Edwards!

— Ja... ja pozwoliłem sobie zadzwonić do pani — powiedział z trudem. — Guwernantka poprosiła mnie, bym zaszedł i zaczekał.

— O! Oczywiście... — niezdecydowanie mruknęła Mary.

Nagle uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Polly patrzyła na nich z ciekawością.

— Pan poznał się z moją siostrą? — zapytała Mary.

— Tak jest — odparł Edwards, spuszczaając głowę.

— Spotkaliśmy się przy drzwiach — szybko wmieszała się Polly. — Zabawiałam pana Edwardsa, oczekując twego przyjścia.

To było zręcznie zrobione, tak zręcznie, że Edwards okazał się współnikiem w oszustwie, zanim zdążył zdać sobie z tego sprawę. Mary położyła sprawunki na stole i odwróciła się do niego.

— To wielka niespodzianka widzieć pana tutaj — rzekła. — Proszę siadać.

— Dziękuję — powiedział nie swoim głosem lecz oboje nie ruszyli się, patrząc na siebie.

Edwards nie znajdował słów, miał wrażenie, że nie mają o czym mówić...

— Kiedy pan przybył do Atlantic City? — zapytała uprzejmie Mary.

— Dziś przed obiadem. Mam kilka wolnych dni. Zdecydowałem... zdecydowałem się odpocząć. Jak się ma John?

— Bardzo dobrze, dziękuję. Obiecałam go pocałować, zanim zaśnie. Przepraszam, zostawię was na chwilę...

Mary wyszła, zamykając za sobą drzwi. Edwards odwrócił się do Polly, która zdążyła już zorientować się w sytuacji i ocenić ich uczucia.

— Żałuję, jeżeli wam przeszkadzam — szepnęła. — Ale pan rozumie, że to nie moja wina... Nie jestem winna, żeśmy się spotkali.

— Proszę pani... pani...

— Drack — podpowiedziała Polly. — Tak, wyszłam za męża. Dla pana, oczywiście, to jest obojętne. Ale ja jestem siostrą Mary, a pan jej przyjacielem. Dlatego proponuję, żebyśmy byli w dobrych stosunkach. Proszę się nie gniewać na mnie za przeszłość.

Spojrzała na drzwi i mówiła dalej błagalnym tonem, zbliżywszy się do Edwardsa:

— Pan powinien zapomnieć... Oboje musimy zapomnieć o naszym szaleństwie. Gorzko zapłaciłam za to, Steve! Ja... ja...

— Ciszej! — szepnął przerażony.

— Przebaczasz mi? Powiedz, że przebaczasz!

— Dawno pani przebaczyłem, lecz sobie nie mogę przebaczyć — burknął Edwards.

Polly zakryła twarz rękami.

— O, nie wiesz wszystkiego, co było... Nie możesz zrozumieć! Ja... ja... Nie mogę ci powiedzieć... Ale musimy być przyjaciółmi, Steve, musimy! Gdybyś tylko wiedział...

Edwards nie wiedział, co chciała powiedzieć, lecz czuł wzburzenie w jej głosie i szczerść w jej słowach. Dziwne, że był tak obojętny dla niej. Kobieta ta nie miała już dla niego uroku. Polly Drack, Ellis Charly — czy nie wszystko jedno? Znaczenie miał tylko stary grzech, który wciąż wymagał odkupienia i stał na drodze nowemu szczęściu. Stary grzech, o którym zapomniał...

Spróbował się przemóc, ujął jej dłoń i powiedział miękko:

— Nie pani, a ja powinienem prosić panią o przebaczenie.

Polly odparła rwącym się szeptem:

— Przebaczyłam, Steve, przebaczyłam! — i szybko odeszła.

— Musimy zacząć od początku — westchnął Edwards. — Jakbyśmy się nigdy nie znali i nie spotkali.

— Tak — cicho powiedziała Polly. — Jakbyśmy się nigdy nie spotkali.

Wzięła kapelusz i futro i poszła w stronę drzwi.

— Pójdę już teraz, lecz muszę jeszcze raz pomówić z panem... wkrótce. Może Mary powie panu, jaka jestem nieszczęśliwa. Potrzebuję twojej dobroci i pomocy.

Na progu Polly odwróciła się i głośno powiedziała:

— Do widzenia, panie Edwards! Przepraszam, że zostawiam pana samego!

Edwardsowi było nieprzyjemnie, gdy widział, z jaką łatwością grała komedię. Zrozumiał, że od niego wymagano takiej samej blagi.

— Do widzenia — mruknął niewyraźnie.

Gdy się drzwi zamknęły, zbliżył się do okna, rozsunął portiery i spojrział w ciemność. Jemu jeszcze bardziej niż Mary była potrzebna ta chwila samotności, by zebrać myśli. Ukazanie się Polly wywróciło do góry nogami wszystkie jego zamiary. Teraz nie mógł mówić z Mary o tym, co go tutaj przywiodło. Stare uczucie dawno umarło, zostało zapomniane, przepadło wśród nowych nadziei... A jednak... To była Ellis, ta sama Ellis, z którą... Czy to możliwe? Co pozostało w tej przedwcześnie postarzałej, zmęczonej kobiecie z tego przepięknego dziewczęcia, które z nim poprowadziło szaloną grę nad brzegiem bajkowego jeziora? Teraz Steve był zimny i obojętny. Lecz widmo starej miłości psuło nową...

Na wybrzeżu migotały jaskrawo elektryczne reklamy, jakby kpiąc sobie z jego pragnień i rozterek.

Odwrócił się szybko, gdy weszła Mary.

— O, pan sam — powiedziała. — Myślałam, że Polly, moja siostra...

— Poszła — powiedział cicho.

— Przykro mi, że jakoś nie jestem gościnną. Kto panu powiedział, że mieszkam tutaj? — zapytała spokojnie Mary.

— Portier w hotelu — mruknął Steve. Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Mam zupełne prawo gniewać się na Beatrycze! Skoro jednak już jest pan tutaj... Nie wiem naprawdę, co z panem zrobić? Nie mogę przecież odesłać pana z niczym...

— Mam nadzieję, że pani mi przebaczy moją śmiałość. Ja jestem winny, a nie pani Salignac. Chciałem się wytłumaczyć przed panią, missis Freeman.

Mary podniosła rękę na znak protestu.

— Nie, nie. Cieszę się, że pana widzę, i proszę się nie tłumaczyć. Rozumie pan jednakże, że nie spodziewałam się pańskiej wizyty. Przecież dlatego tutaj przyjechałam, by być jak najdalej od pana.

Uśmiech, z jakim wymawiała te słowa, dodał mu śmiałości.

— Obawiałem się, że pani mnie nie przyjmie — przyznał się. — Dlatego uczepiłem się pretekstu, gdy mademoiselle zaprosiła mnie tutaj!

— To było bardzo nieładnie z pana strony. Gdyby nie John uważałabym za swój obowiązek odesłać pana z powrotem!

Twarz gościa rozjaśniła się.

— Czy John wie, że jestem tutaj?

— Tak, powiedziałam mu. Chciał tutaj przybiec, lecz zagroziłam mu, że pan sobie pójdzie, jeżeli nie położy się natychmiast spać.

— Czy teraz już śpi.

Mary kiwnęła głową.

— A więc mogę zostać?

Dziewczyna roześmiała się.

— Boję się, że pan i tak by został, gdybym nawet prosiła pana, by odszedł.

— Może ma pani rację — uśmiechnął się Edwards. — Bardzo pragnąłem zobaczyć panią.

— Nigdy nie spotkałam bardziej stanowczego człowieka niż pan, panie Edwards! Co panu przyszło do głowy, by przyjechać? Może zająć nieporozumienie — powtórka z tego, od czego uciekłam!

— O tym właśnie chciałem porozmawiać. Zbyt się pani przejmuję plotką i przypisuje jej za duże znaczenie. Kłamstwo polityczne...

Mary stanowczo pokręciła głową.

— Nie, nie dam panu mówić o tym. Z chwilą, gdy pan już jest tutaj, nie można tego naprawić. Powiedziałam, że cieszę się, że pana widzę. Musi mi pan jednak przyrzec, że pan nie będzie...

— Co, missis Freeman?

— ... mówić o tym, co było w Waszyngtonie. Przyjechałam tutaj, by zapomnieć. Będziemy, jak dotąd, przyjaciółmi, lecz... — Mary spojrzała w oczy Edwardsa. — Proszę mi nie zadawać pytania, jakie postawił mi pan przed moim odjazdem!

Oczy dziewczyny błyszczały, wyrażając serdeczność, lecz jednocześnie zdecydowanie.

— Przyrzeka pan? — zapytała.

Nie odpowiedział od razu.

— Dobrze — rzekł wreszcie.

Po dłuższym milczeniu oboje podnieśli głowy, patrząc pytająco na siebie. Nie wiedząc, co powiedzieć, oboje się uśmiechnęli.

— Czy pozwoli mi pani zapalić? — zapytał Edwards.

— Oczywiście, proszę.

Trudna chwila minęła. Lody zostały przełamane. Edwards skręcił papierosa i głęboko się zaciągnął.

— Proszę mi opowiedzieć o pańskiej walce w Kongresie — poprosiła z uśmiechem Mary.

2

Edwards rano wyszedł na wybrzeże. Noc spędził prawie bezsennie, mimo to nie znalazł odpowiedzi na męczące go pytanie.

Przyjechał do Atlantic City pełen radosnej nadziei. Odmowa w Waszyngtonie spotęgowała pragnienie nazwania jej swoją żoną. A teraz? Zawarł sojusz milczenia z inną kobietą! Było to nieodzowne, gdyż tajemnica należała nie tylko do niego. Polly miała prawo żądać od niego milczenia. Lecz właśnie dlatego Edwards znalazł się w fałszywym, męczącym położeniu. Nie mogło już być więcej mowy o tej szczerości i wzajemnym zrozumieniu, które czyniły ich przyjaźń z Mary taką rzadką i cenną. Wczoraj prosiła go, by nie mówił z nią o małżeństwie. On i tak nie odważyłby się sam ponowić oświadczeń. Świadomość, że Polly znajduje się w sąsiednim pokoju, wystarczała, by milczeć...

Edwards długo patrzył na morze. Niepewność rozdzierała mu duszę. Wreszcie bohaterstwo postanowił wyjechać, nie widząc się więcej z Mary, powrócić do Waszyngtonu pierwszym pociągiem. Niełatwe to było zwycięstwo nad sobą, lecz innego wyjścia nie było...

Wrócił do hotelu, spakował walizkę i napisał kilka słów do Mary, zawiadamiając ją, że otrzymał depezę wzywającą go natychmiast do Waszyngtonu i dlatego nie może się z nią spotkać, jak było umówione. List wydał mu się suchy i zimny. Mary była wczoraj taka miła! Nie mógł jej przecież wyjaśnić istotnej przyczyny odjazdu. Z bólem serca zakleił kopertę. W tym momencie zadzwonił telefon.

W słuchawce rozległ się głos Polly Drack.

— Jestem na dole, panie Edwards. Chcę z panem koniecznie pomówić na osobności. Myślę, że nie odmówi pan mej prośbie?

Edwards nie chciał się widzieć z Polly.

— Wyjeżdżam zaraz do Waszyngtonu — powiedział. — Wezwano mnie w pilnej sprawie.

— Jaka szkoda! Lecz pan nie powinien wyjeżdżać, nie widząc się ze mną. To jest bardzo ważne, zapewniam pana!

Edwards nie wierzył, by mogło być coś ważnego między nim a panią Drack, po tylu latach. Nie uważał za stosowne zapytać się o przyczynę jej nalegania. Lecz przyszło mu do głowy, że jednak ona ma pewne prawa do niego.

— Proszę nie wyjeżdżać, nie widząc się ze mną! — powtórzyła Polly. — Pan musi mnie wysłuchać! Gdzie się spotkamy?

Niemożliwością było odmówić.

— Dobrze, zejdę do restauracji za dziesięć minut.

— Dziękuję panu. Będę czekała.

Steve bał się spotkać Mary. Na szczęście winda była pusta. Polly oczekiwała go w czerwonym korytarzu. Restauracja hotelu Tremor znajdowała się pod dnem morskim. O tak wczesnej porze nikogo tam nie było. Polly wyraziła mu swą wdzięczność, że przyszedł. Usiedli przy stoliku w pustym lokalu, pod freskiem wyobrażającym rusalki i nimfy.

W nowym kapeluszu Polly wyglądała młodziej niż wczoraj. W słabym świetle nie było widać zmarszczek koło ust i worków pod oczami. Edwards czuł się nieswojo. Miał zasadę nigdy nie wierzyć ludziom, którzy go raz oszukali... Polly szczebiotała z ożywieniem, lecz Steve wyczuł fałsz w jej głosie i ruchach. Wzbudzała w nim wstręt, może dlatego, że jej pojawienie się w tak przykry sposób skomplikowało mu życie. Lecz w imię przeszłości postanowił być cierpliwy i pobłażliwy.

— Nie mogę długo zostać — powiedziała szybko Polly. — Mary oczekuje mnie. Powiedziałam jej, że idę się przejść i wkrótce wracam.

Znów kłamstwo — pomyślał Edwards ze wstrętem.

— Zapewne pan uważa moje postępowanie za dziwne — mówiła dalej Polly. — Ale nie mogłam puścić pana zaraz po naszym cudownym spotkaniu. Musiałam z panem pomówić spokojnie, na osobności... Wyjaśnić mu, dlaczego wówczas tak wyszło, żeśmy się rozstali!

— Myślałem, że wczoraj postanowiliśmy nie mówić o tym więcej i zapomnieć.

— To niemożliwe! — zawołała gorąco Polly. — Myślałam o tym całą noc. Muszę panu powiedzieć! Pan musi sobie zdawać sprawę, że... nie tylko ja jestem winna!

— Przyjmuję całą winę na siebie — cicho powiedział Edwards.

— Nie! Nikt nie jest winny. Los tak chciał...Przełękłam się swego czynu, Steve, i uciekłam nie od ciebie, a od samej siebie! Zdaje mi się, że wówczas zwariowałam. Byłam od samego początku nieprzytomna...

Edwards nie mógł zrozumieć, po co właściwie Polly zaczęła tę rozmowę? Czy rzeczywiście miała ważny powód, czy też chciała po prostu jeszcze raz przeżyć idyllę młodości?

— Po co o tym mówić? — zapytał. — To chyba jest dla pani trudne.

— Tak, to boli, lecz muszę ci to opowiedzieć. Musisz mnie wysłuchać... Mam do tego prawo! — z zapartym tchem mówiła Polly.

Jej wzrok błądził po ścianach, po pustych stolikach, jakby poszukując natchnienia.

— Wyjechałam do Banfu. Chciałam powrócić do ciebie, gdy się uspokoję, zrozumieć swoje uczucie... Przysięgam ci, Steve, że to prawda! Nie chciałam opuścić cię na zawsze. Wszystko to było tak straszne, tak cudowne...

— Proszę panią!

— Nie, nie, ja muszę mówić dalej... Zbyt długo milczałam! Gdy wróciłam do Banfu, byłam jak zwariowana. Nikt nie wiedział, co mi jest. Lecz ja wiedziałam, że jestem z tobą złączona na zawsze! Wróciłabym od razu do ciebie, lecz to mi się nie udało. Chciałam powiedzieć Mary o wszystkim, ale nie mogłam... Nie śmiałam...

— Mary była wówczas w Banfie? — zapytał Edwards zdenerwowanym głosem.

Polly kiwnęła głową.

— Tak. Nie chciała mnie puścić. Nie udało mi się wyrwać... Wyjechałyśmy. Ale potem wróciłam do Banfu. Hotel nad jeziorem Louizy zamknięty. Zniknąłeś!

Edwards badawczo spojrzał na nią, lecz Polly nie mrugnęła nawet okiem i wytrzymała jego spojrzenie.

— Chciałam, żebyś o tym wiedział — dodała z rozpaczą. — Ja... ja... nie chciałam cię porzucić!

— Jestem naprawdę zdziwiony — cicho powiedział Edwards.

— Wiedziałam, że mnie oskarżasz. Przykro mi było o tym myśleć. Cały czas się męczyłam...

— Sprawiała mi pani wówczas wiele cierpień, ale powiedziałem już pani, że jej dawno przebaczyłem. Sądzę, że mój grzech był większy niż pani.

— Nie, nie! — zawołała Polly. — Proszę tego nie mówić! Nigdy cię nie oskarżałam, nigdy!

Zakryła twarz rękami.

— Dużo cierpiałam, Steve. Byłam chora, bardzo chora. Nie mogę... nie mam prawa powiedzieć ci o tym. Lecz powinieneś wiedzieć, że... przecierpiałam wiele fizycznych i moralnych męk przez ciebie!

Polly zamilkła, obawiając się, że powiedziała za wiele. Chciała wzruszyć, roztkliwić Steve'a, lecz pamiętała o groźbie Mary wypędzenia jej, jeżeli komukolwiek zdradzi tajemnicę Johna. Na szczęście Edwards nie zrozumiał.

— Bardzo mi pani żal — powiedział z uczuciem.

— Jesteś mężczyzną i tobie łatwiej zapomnieć. W twoim życiu byłam tylko epizodem. No, ja inaczej to przeżyłam. Nie zapomniałam. Nigdy nie zapomnę! Mnie prześladowe wspomnienie z Rajskiej Doliny...

Polly umilkła, ściskając nerwowo skronie rękami. Edwards nie odpowiadał. Nie miał nic do powiedzenia. Zdumiewała go ta kobieta. Nie mógł na chwilę uwierzyć, by całe jej wyznanie było czymś innym, jak tylko wybiegiem obrażonej dumy kobiecej, chcącej dowieść głębszych uczuć, naprawić jego sąd o niej. Śmieszne było myśleć coś innego.

— Obecnie jestem w okropnym położeniu — westchnęła Polly. — Oczywiście, teraz rozumiem, dlaczego zdecydowałeś się wyjechać tak nagle. Gdy zobaczyłam cię z Mary, od razu domyśliłam się...

— Proszę pani! Nie należy...

— Nie, ja muszę o tym mówić. Ja wam przeszkadzam! Oczywiście, inaczej nie możesz postąpić. Rozumiem twoje uczucia i... szanuję je. Ale Mary jeszcze więcej niż pana. Wiem, jak ona się odnosi do takich spraw...

Polly zrobiła pauzę, obserwując, jakie wrażenie zrobiły jej słowa. Tworzyła dramat i dennerwowała się, jak autor w czasie premiery. Cel został osiągnięty. Edwards wyraźnie zainteresował się!

— Proszę mi to wyjaśnić — powiedział spokojnie.

— Chciałam powiedzieć, że w niej jest wrodzony wstręt oparty na gorzkim doświadczeniu. Nic więcej nie mogłaby poczuć do pana prócz nienawiści, gdyby się dowiedziała prawdy o panu i o mnie.

Edwards spojrzał w oczy Polly. Gorzkie doświadczenie Mary! Pragnął ją zapytać, lecz się powstrzymał. Nie można było wypytywać jej o tajemnicę ukochanej kobiety.

— Rozumiem — powiedział cicho i opuścił głowę.

Jednak cel rozmowy pozostał dla niego niezrozumiały. Polly mimo woli oddała mu przysługę, potwierdzając to, co mu podpowiadało jego własne wyczucie. O małżeństwie z Mary nie może być teraz mowy... Miał rację, postanawiając wyjechać.

— To okropne, że stoję na waszej drodze — pisnęła żałośnie Polly.

— Lecz cóż ja mogę zrobić? Całe życie miałam pecha. Zawsze sobie i innym przynosiłam nieszczęście! Lepiej, gdy się pan o tym dowie wcześniej niż później.

— Tak...

Polly zniżyła głos:

— Proszę się na mnie nie gniewać. Nie jestem taką, za jaką mnie pan uważa. Ja... ja... naprawdę kochałam cię, Steve!

Edwards milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Chciał stąd wyjść, skończyć już tę denerwującą, męczącą rozmowę...

— Całe moje późniejsze życie to jedno pasmo nieszczęść — szybko mówiła Polly. — Wyszłam za męża za człowieka, który nie był mnie wart. Męczył mnie, roztrwonił cały mój majątek, zostawił mnie w nędzy. Oto dlaczego musiałam wrócić do Mary!

Polly znów ukryła twarz w dłoniach.

— Po co ja się urodziłam na tym świecie? Boże! Jak ja jestem nieszczęśliwa!

Edwards obawiał się, że zacznie płakać. Jej obecna poza przypominała mu inną chwilę — gdy jej łzy, jej skargi okazały się silniejsze od jego woli... Milczał, zacisnąwszy zęby i nie poruszył się nawet.

— Ach, Steve, naprawdę ci mnie nie żal? — wykrzyknęła, podnosząc głowę.

— Przeciwnie, współczuję pani z całej duszy — odparł głucho.

Badawczo spojrzała na niego, wstała i zaczęła pudrować nos przed lustrem.

— Muszę już iść. Mary mnie oczekuje.

Edwards podał jej rękę.

— Żegnam!

Polly gwałtownie chwyciła jego rękę.

— Nie, nie żegnam, a do widzenia. Przecież pozostaniemy przyjaciółmi?

— Może lepiej by było, żebyśmy się nigdy więcej nie spotkali.

Puściła jego rękę i niepewnie rozejrzała się na wszystkie strony.

— Może... Ale pan nie wie wszystkiego, Steve. Jak bym chciała, żebyś mnie zrozumiał!

Polly podniosła wzrok na Edwardsa i powoli opuściła powieki.

— O, Steve! Żegnaj! Żegnaj! — powiedziała szybko szeptem i wybiegła na schody.

3

Mary ubierała się starannie przed porannym spacerem. By zrobić przyjemność Johnowi, umówiła się ze Steve'em na wspólną przejażdżkę wzdłuż wybrzeża. John niecierpliwie oczekiwał spotkania ze swym dorosłym przyjacielem, a Mary podzielała jego radość.

Steve swoim przyjazdem naruszył jej plany, ale spełnił tajemne pragnienia. Powiedziała mu, że się gniewa na Beatrycze za jej zdradę, lecz w duszy miała przez cały czas nadzieję, że on ją odszuka. Oczywiście, o miłości nie może być mowy, ale cieszy się z jego przyjaźni. W nowych warunkach było łatwiej zapomnieć o plotkach. Do Waszyngtonu daleko. Wprawdzie ktoś ze znajomych mógł przypadkowo zobaczyć ich razem, mimo to Mary zdecydowała się zaryzykować.

Już i tak zmieniła swoje postanowienie, przyjmując u siebie Edwardsa wczoraj wieczorem. Powinna była poprosić go o opuszczenie jej mieszkania. Lecz nie mogła tego zrobić. Postąpiła z nim okrutnie w Waszyngtonie i chciała to naprawić. Co prawda przyczyną jej odmowy była troska o niego.

Zauważyła wczoraj, że jest zatrwożony i zmieszany. O swojej pracy w Kongresie opowiadał bez zwykłego entuzjazmu. Coś go dręczyło. Kilka razy zauważyła jego ponury, przygnębiony wzrok. Edwards był tak silny, tak stanowczy i wytrwały, gdy coś pragnął osiągnąć! Mary zaczęła się go obawiać. Przedtem była pewna siebie, lecz teraz zrozumiała, że jest słaba jak dziecko. Czy wytrwa przeciwko miłości Edwardsa?

Cieszyła się na myśl, że dziś go zobaczy. Poranek był słoneczny i jasny, morze falowało ciemnym szafirem, łącząc się z błękitem nieboskłonu. Dziewczyna, wkładając kapelusz, uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze.

Ktoś zastukał do drzwi. Guwernantka przyniosła jej korespondencję i wyszła. Dziewczyna drgnęła, poznając charakter pisma Edwardsa. Przeczytawszy treść, wypuściła kartkę z ręki i ciężko usiadła w fotelu.

Polly weszła do pokoju tak cicho, że Mary nie usłyszała. Widząc rozerwany list na podłodze, uśmiechnęła się i niedbałym krokiem zbliżyła się do siostry.

— Wróciłam, Mary! Co ci jest? Wydajesz mi się z czegoś niezadowolona?

— Ja? Nie, nic.

Dziewczyna nachyliła się i podniosła list.

— Jesteś jakaś smutna — mówiła dalej Polly. — Czyżby dlatego, że pan Edwards wyjechał?

Mary pytająco spojrzała na siostrę. Polly wyjaśniła:

— Spotkałam go na dole. Powiedział mi, że został wezwany do Waszyngtonu. Dziś rano otrzymał depezę. Jak szkoda, prawda? Taki miły człowiek i, zdaje mi się, nie jesteś mu obojętna!

— Nie mówmy o tym, Polly! — gniewnie przerwała Mary.

W niedbale wypowiedzianych słowach siostry czuła ukryte drwiny. Polly roześmiała się.

— Ja i tak przypuszczałam, że jak się zakochasz, to już na amen! Mary milczała.

— Wiesz, Mary, że to nie jest zbyt ładnie z twojej strony, żeś mi nic nie powiedziała o swej tajemnicy! Gdyby nie John, nic nie wiedziałabym o egzystencji Steve'a Edwardsa! Jaka ty jesteś skryta! Domyślam się, że jest bogaty i zapewne zajmuje jakieś poważne stanowisko. Przy tym — mówiła nadal Polly — zauważyłam, że w dodatku jest bardzo przystojny! Czy on cię bardzo kocha, Mary?

Mary nie wytrzymała. Ostatnimi czasy w ogóle Polly działała jej na nerwy.

— Będę ci bardzo wdzięczna, Polly, jeżeli przestaniesz się mieszać w moje sprawy! — powiedziała rozdrażnionym tonem wychodząc z pokoju i zatraskując za sobą drzwi.

Polly wzruszyła ramionami, w zamyśleniu uśmiechnęła się i poszła do swego pokoju.

Rozdział XIII

W GMACHU KONGRESU

W środę przy śniadaniu Beatrycze przeczytała list od Mary.

Droga Bi!

Mam do Ciebie żal za to, żeś nie dochowała tajemnicy i powierzyłaś ją Edwardsowi. Gdyby ktoś inny pozwolił sobie na podobny postępek, nigdy bym mu tego nie przebaczyła. Na Ciebie jednak trudno mi się długo gniewać. Tym bardziej, że żadne nieszczęście się nie stało. Następnego dnia po przyjeździe pan Edwards powrócił do Waszyngtonu, zawiadamiając mnie, że wezwali go telegraficznie. Wydało mi się dziwne, że napisał do mnie list zamiast zatelefonować i udzielić bardziej szczegółowych wyjaśnień. Przypuszczam, że właśnie tak powinien postąpić, jeżeli zrobił taką podróż specjalnie, by się ze mną widzieć! John był bardzo rozczarowany, że go nie zobaczył. Powinniśmy byli spędzić razem niedzielę. Nie mogę zrozumieć, co się stało. Zdziwiło mnie nie to, że wyjechał, lecz to, jak wyjechał. To nie jest podobne do niego...

Czy nie stało się coś złego w Waszyngtonie? Miał zmęczony, zatroskany wygląd. Postaraj się dowiedzieć, jeżeli możesz, jak stoją jego sprawy.

Zdaje mi się, że tutaj nie mogło się stać nic, co by wpłynęło na jego postanowienie pozostania do poniedziałku. Byłam bardzo miła dla niego. Bi, plotki już nie robią na mnie tego wrażenia, co dawniej. Z dala od Waszyngtonu wszystko to wydaje się mniej ważne.

Nowych planów na razie nie mam. Pozostanę tu jeszcze jakiś czas. Polly jest ze mną. Zapomniałam Ci napisać, że nagle wróciła z Zachodu.

Nieszczęśliwa Polly jest zupełnie zrujnowana. Nie ma się gdzie podziąć i wzięłam ją chwilowo do siebie. Mam wrażenie, że byś jej nie poznała, Bi. Bardzo się zmieniła.

Rozpatrzenie w Kongresie sprawy dotyczącej sprzedaży terenów państwowych nad rzeką Ward naznaczone jest na środę. Z całej duszy życzę powodzenia panu Edwardsowi. Jeżeli zobaczysz go, to możesz mu to powiedzieć ode mnie. Napisz do mnie możliwie niedługo. Bardzo mi Ciebie brak.

Twoja kochająca Mary

List był pisany ostrożnie i dlatego Beatrycze uśmiechnęła się, bo jako mądra kobieta wiele przeczytała między wierszami. Dawno już podejrzewała Mary, że kocha Edwardsa i z całej duszy życzyła jej szczęścia. Dumna była ze swej przenikliwości. Posyłając adres Mary Edwardsowi, była przekonana, że nie robi pomyłki. Dlaczego więc Edwards nie spełnił swych zamiarów?

Beatrycze nie widziała go od jego powrotu do Waszyngtonu. Napisała jednak do niego, prosząc o kartę wstępu na salę Kongresu w dzień jego przemówienia. Była przekonana, że skorzysta z okazji, przyniesie ją osobiście i opowie o swym spotkaniu z Mary. Zamiast tego Edwards przysłał kartę wstępu i kilka uprzejmych słów. Po nie tak dawnej, serdecznej rozmowie Beatrycze była nieco zdumiona takim postępowaniem i zdecydowała, że zapewne Mary definitywnie mu odmówiła. Lecz następnego dnia przyszedł list Mary, który utwierdził ją w przekonaniu, że przyjaciółka kocha Edwardsa. Prędzej czy później zostanie jego żoną — pomyślała.

Dlaczego właściwie Edwards wyjechał? Oczywiście, możliwe, że wypadła mu jakaś niecierpiąca zwłoki sprawa w Waszyngtonie. W innym wypadku Beatrycze uważałaby to za zupełnie naturalne. Ale przecież Edwards pomknął do Atlantic City, by zdobyć serce kobiety! Z jej punktu widzenia nie istniały na świecie tak ważne sprawy i powody, których nie można było odłożyć za taką cenę! To trochę rozczarowało ją do Edwardsa...

Beatrycze po raz drugi przeczytała list Mary. Doczytawszy do wzmianki o Polly, zamyśliła się; widocznie Mary nie bardzo jest zadowolona z powrotu siostry...

Siostry Freeman i Bi razem wyrosły w Nowym Jorku. Beatrycze kilka razy zapytywała o los Polly, lecz Mary odpowiadała niechętnie i lakonicznie. Pamiętając dawną miłość Mary do rozpieszczonej młodszej siostry, Beatrycze zdecydowała, że między nimi musiało zajść jakieś nieporozumienie. Nigdy jej się nie podobała milutka, rozkapryszona Polly Freeman. Po śmierci rodziców z pannami mieszkała w charakterze towarzyszki starsza pani. Beatrycze nie bardzo dobrze pamiętała przyczyny awantury; Polly asystował jakiś żonaty człowiek. Starsza pani zaprotestowała energicznie przeciwko temu, Mary wzięła młodszą siostrę w obronę i opiekunka opuściła ich dom, nie chcąc brać odpowiedzialności za lekkomyślną dziewczynę. Później Beatrycze wyjechała do Francji. Wiedziała, że siostry Freeman spędziły lato na Zachodzie i potem korespondencja urwała się. Kilka lat później spotkała Mary w Paryżu... z dzieckiem.

Czy przyjazd Polly zmienił w czymkolwiek życie Mary? Zupełnie możliwe, że biedną dziewczynę czekają dalsze przykrości. Polly zawsze wносиła ze sobą burzę niepokoju i zde-

nerwowania. Gdzie się zjawiała, tam zaraz miały miejsce nieprawdopodobne historie. Dzikie flirty zamieniały się w potoki łez; kaprysom i scenom nie było końca. Biedna Mary z jej anormalnie rozwiniętym poczuciem obowiązku przyjęła do siebie Polly. Żeby się nie stała ofiarą swego dawnego przywiązania do siostry!

Beatrycze rozumiała, że ostatecznie to nie są jej sprawy i nie odważyłaby się na udzielanie rad. Jej miłość do przyjaciółki i tak zmusiła ją do zbyt usilnego mieszania się w jej sprawy. Jeżeli Mary będzie potrzebowała jej pomocy, zapewne zwróci się do niej. Tymczasem zobaczy Edwardsa i dowie się, co było powodem jego ucieczki z pola walki przed takim miłym wrogiem. Sądząc z listu Mary, można było wysnuć wniosek, że Edwards uciekł z powodu jej serdecznego przyjęcia. Nie, to zbyt głupie. Tutaj musi być jakaś inna przyczyna...

Beatrycze przyszła do gmachu Kongresu na sam początek posiedzenia i usiadła wygodnie na miejscu dla publiczności. Z niecierpliwością oczekiwała przemowy swego przyjaciela, Edwardsa, w którego sprawach od niedawna brała taki gorący udział.

Katedra z białego marmuru dodawała przewodniczącemu powagi i stwarzała podniosłą atmosferę. Czysto zewnętrzne złudzenie, gdyż speaker już dawno utracił swoją moc w parlamencie. Prawdziwa władza pozostawała w rękach liderów partii. Członkowie Kongresu wchodzili grupami, śmiali się i klepali się po ramionach, siadając niedbale na miejscach. Łysi, z dobrodusznymi uśmiechami, w źle skrojonych garniturach; wysmukli, o typach łacińskich, ludzie podobni do nauczycieli szkolnych; grubasy o czerwonych twarzach, anemiczni, chudzi urzędnicy ze ściągniętymi ustami i o mętym wzroku. Tacy sobie skromni, ociosani prowincjusze jak sam Edwards, przy czym większości było daleko do tej zewnętrznej elegancji, jaką on nabył w Waszyngtonie. Zdawało się, że na posiedzeniach, na których rozstrzygały się losy wielkiego narodu, powinno się widzieć elegantszych ludzi — pomyślała Beatrycze. Pięciuset obywateli, myślących po obywatelsku. Jak mogli ci ludzie z prowincji o ciasnych poglądach, przeciętnym wykształceniu, z zupełną nieznajomością świata decydować o zawiłych kwestiach państwowych, stających przed rządem?

Przyjrząwszy się lepiej, Beatrycze zauważyła porządek, jaki panował w tym pozornym chaosie. Od czasu do czasu jeden z deputowanych wstawał, wręczał speakerowi jakąś kartę lub wygłaszał krótkie przemówienie i znów siadał na miejscu. Speaker co pewien czas stukał młotkiem. Kongres przystępował do rozpatrzenia nowej sprawy. Nikt nie próbował popisów krasomówczych. Minęły czasy wspaniałych mów, wyszukanej dykcji, dramatycznych gestów. Głosy

deputowanych dźwięczały sucho i oficjalnie, zdania były proste. Często uderzały błędy gramatyczne.

Beatrycze spojrzała na zegarek. Godzina przeznaczona na rozstrzygnięcie sprawy sprzedaży terenów państwowych nad rzeką Ward nadeszła. Człowiek siedzący obok katedry speaker'a wstał i przeczytał projekt. Beatrycze nachyliła się szukając wzrokiem Edwardsa. Nigdzie go nie było. Na salę weszło kilka osób i usiadło za nią. Poznała Sama i Georgię Kartysów i panią Newett. Beatrycze od dawna знаła Georgię, lecz nie złożyła jej wizyty w domu waszyngtońskim. Bezsensowna podłość wskrzeszenia starej plotki o Mary oburzyła ją głęboko. A nowe, jeszcze bardziej okrutne wersje, pochodzące z tego samego źródła, ostatecznie pozbawiły ją chęci spotkania się z Georgią.

Powiedziała Steve'owi, że postara się znaleźć źródło plotek. Niedawno udało jej się to zrobić. Odwiedziła panią Ekett, w której domu usłyszała po raz pierwszy plotkę. Pani Ekett zgodziła się pomóc jej. Po usilnych staraniach ustaliły, że osoba opowiadająca tę ohydną historię usłyszała ją z ust pani Newett, przy czym, pani Newett powołała się nie na Georgię, lecz na Sama Kartysa. Wątpliwości nie było. Za plecami Beatrycze siedzieli wrogowie Mary, winni w jej nieszczęścia! Beatrycze poczerwieniała na myśl o ich bliskości. Oczywiście, przyszli do Kongresu, by cieszyć się ze zwycięstwa Newetta nad Edwardsem. Ani na chwilę nie wątpili, że projekt przejdzie. Beatrycze udała, że ich nie widzi, i pochyliła się naprzód, śledząc uważnie bieg wypadków na dole.

Gdy skończono czytać projekt o głos poprosił Newett. Szybko wszedł na podium poniżej katedry speaker'a i rozpoczął swoją mowę, szczegółowo obmyślaną i wyliczoną. Członkowie Kongresu słuchali uważnie. Beatrycze znała doskonale wszystkie szczegóły projektu, gdyż Edwards i Mary często rozmawiali o nim w jej obecności.

Podczas przemówienia wchodziły nowe grupy deputowanych. Do każdego z nich zwracano się niejednokrotnie z prośbą, by głosowali za lub przeciw projektowi i wszyscy oni wiedzieli, że wmieszane są tutaj poważne czynniki polityczne i finansowe i że sprawa jest daleko poważniejsza, niż to się początkowo zdawało. Newetta znali dobrze, przemawiał rzadko, nie miał opinii człowieka mądrego, cieszącego się autorytetem w swoim stanie. Mówca powtórzył dowody przytoczone przez eksperta syndykatu podczas rozpatrywania sprawy w komisji i lekko podkoloryzował je dla lepszego wrażenia.

Wskazał wspaniały rozwój Alaski, będącej prywatną własnością. Dłużej zatrzymał się nad olbrzymimi wydatkami i szczegółowo omówił ryzyko związane z eksploatacją bogactw

naturalnych. Powiedział o korzyściach, jakie wypływały dla stanu Kolorado z budowy nowych dróg komunikacyjnych. Napomknął o tym, że tysiące ludzi znajdzie stałe, dobrze płatne zatrudnienie w syndykacie.

Nikt nie przerywał mu pytaniami lub uwagami. Lecz gdy Newett skończył i wrócił na swoje miejsce, wstał Edwards.

Głos miał piękny i dźwięczny, co było przyjemnym kontrastem w porównaniu z ciekim głosem Newetta, mówiącego przez nos. Beatrycze zauważyła, że Edwards nie jest wcale zmieszany. Zaczął od opowiedzenia zabawnej historii, która streszczała w sobie jego odpowiedź na mowę Newetta i była obliczona na wprowadzenie słuchaczy w miły nastrój.

Była to historia o dobrodusznym niedźwiedziu, który natknął się na namiot myśliwego nad brzegiem rzeki, w tym właśnie miejscu, gdzie miś chodził pić wodę. Niedźwiedź już z daleka zobaczył człowieka, który ubierał się po kąpieli. Nigdy przedtem nie widział ubierającego się człowieka, więc się zatrzymał i zagapił na ciekawy widok. Ubranie człowieka było bardzo piękne — skórzane spodnie, wysokie buty, brązowa koszula myśliwska, czerwony krawat i kapelusz alpejski z piórem. Każda rzecz z osobna wywoływała zachwyty sentymentalnego misia. Instynkt pchał go do walki, lecz miś nie ruszył się. Nigdy w życiu nie widział tak pięknego człowieka! Oczy niedźwiedzia zamiast zapalić się z gniewu, błyszczały z zachwyty. Uronił nawet kilka łez. Czyż można zabić takiego wspaniałego, nadzwyczajnego człowieka? Miś podszedł bliżej, by nacieszyć się elegantem.

Wówczas dopiero piękny myśliwy zobaczył dobrodusznego niedźwiedzia. Przestraszył się, lecz był dobrym strzelcem i zabił go, nie domyślając się pokojowego usposobienia misia, a może nie chcąc o nim nic wiedzieć. Następnie myśliwy zdjął z niedźwiedzia skórę i ozdobił nią swój gabinet.

Bajka była prosta, lecz Edwards opowiedział ją komicznym akcentem zachodnim i zdołał wzbudzić zainteresowanie słuchaczy. Deputowany z New Jersey, który nie cierpiał zaborczej polityki Nowego Jorku, zaśmiał się na całą izbę. Audytorium zaraziło się jego śmiechem i ze wszystkich stron rozległy się tłumione chichoty. Edwards zmienił ton i przeszedł do roztrząsania projektu. Dobrodusznym niedźwiedziem — powiedział — jest rząd Stanów Zjednoczonych. Piękny myśliwy to syndykat, który pragnie nabyć tereny nad rzeką Ward, mający nadzieję olśnić Kongres swoimi skózanymi spodniami, butami i kapeluszem z piórkiem. Opowieści Newetta o Alasce nie mają żadnego odniesienia do tego wypadku. Oddać tereny państwowe olbrzymiej wartości w ręce prywatne za śmiesznie niską cenę po to, by kompania, która je na-

będzie, czerpała z nich duże zyski, nie płacąc minimalnej części dochodów państwu, byłoby istnym szaleństwem.

Deputowany z Kolorado przytoczył cały szereg danych, które obalały oświadczenie Newetta, jakoby suma ofiarowywana za tereny przez syndykat była wystarczająca. Udowodnił, powołując się na świadectwo ekspertów pracujących w komisji, że las i eksploatacja sił wodnych dałyby daleko więcej od tej sumy, którą chce zapłacić syndykat. Z chwilą przeprowadzenia kolei bogactwa mineralne będą miały wartość milionów dolarów.

Edwards odłożył na bok materiał dowodowy i głos jego zadźwięczał jeszcze pewniej i głośniej.

— Panowie deputowani — powiedział — jestem nowicjuszem na tych ławach, lecz sprawa, której bronię, nie jest nowa. Musimy bronić sprawy państwa i ochraniać je. Tereny znajdują się w tym stanie, który wybrał mnie do Kongresu. Cała sprawa była skrzętnie zbadana przez prezesa komisji ziemskiej. To, że komisja odniosła się przychylnie do projektu, mogę wyjaśnić tylko dziwnym kaprysem losu, który wziął pod swoją opiekę interesy syndykatu. Występując jako przedstawiciel mniejszości tej komisji, uważam za konieczne przemówić w imieniu tych członków, którzy zgadzają się ze mną. Jestem zmuszony uważać ten projekt za śmiałą próbę przywłaszczenia majątku państwowego. Znane nazwiska członków syndykatu pozornie oddalają możliwość podobnego podejrzenia. Ale tak nie jest. Fakty i cyfry przytoczone przed chwilą tego dowodzą. Jesteście świadkami bezpardonowej walki między tymi, którzy za wszelką cenę usiłują osiągnąć cel, posługując się swymi stosunkami politycznymi po to, by zagarnąć korzyść materialną — a tymi, którzy są tutaj posłami po to, by bronić interesów państwowych. Jesteście powołani by osądzić tych ludzi, panowie członkowie parlamentu, a kraj oczekuje waszego wyroku. Gdy rząd zwrócił się do was swego czasu, podczas wojny, o wsparcie, zrobiliście wszystko, by mu pójść z pomocą, gdyż wiedzieliście, że tego potrzebuje. Obecnie znów odwołuje się do was. Powinniście głosować przeciwko sprzedaży terenów. Będzie to takim samym aktem patriotyzmu z waszej strony jak służba w armii lub udział w pożyczce państwowej. Czyżby ludzie, cieszący się wprawdzie dużymi wpływami w polityce, okazali się silniejsi od samego rządu? Czyżby zalesione tereny państwowe, które powinny wejść do planu parków narodowych, miały być oddane za bezcen tylko dlatego, że członkowie syndykatu są bliscy niektórym z nas? Nie posiadają większych praw do tych terenów od was samych. Wiadomo wam o tym. Oczekuję ze spokojem waszej decyzji.

Deputowani przychylnie słuchali mowy Edwardsa. Występując przeciwko potężnym przeciwnikom ryzykował swoją karierę polityczną. Podobała się jego odwaga, szczerości pewność, z jaką bronił sprawy, będąc przekonany o jej słuszności. Mowa Edwardsa była najlepszym wystąpieniem młodego deputowanego w przeciągu całej sesji. Gdy skończył, cała izba zahuczała od oklasków. Beatrycze z nadmiaru entuzjazmu podarła parę nowych rękawiczek. Przy sposobności postarała się pokazać Georgii, po której stronie była jej sympatia. Dumna była ze Steve'a Edwardsa i była mu gotowa wybaczyć wszystkie inne omyłki.

Nowi mówcy wzięli udział w debatach. Beatrycze nie знаła ich i mało ją interesowali. Nie mogli dodać nic nowego do przemówienia poprzednika. Beatrycze była pewna powodzenia. Poddała się sile argumentów Edwardsa i jego osobistemu urokowi wyczuwając, że większość deputowanych dzieliła jej entuzjazm.

Czas mijał. W odpowiedzi na „kwestię zasadniczą” speaker uderzył młotkiem. Z kuluarów weszło na salę posiedzeń jeszcze kilku posłów. Przystąpiono do głosowania. Projekt dotyczący sprzedaży terenów nad rzeką Ward upadł większością 210 głosów przeciw 123!

Gdy zostały ogłoszone rezultaty głosowania, Beatrycze usłyszała za sobą głos pani Newett:

— Oburzające!

Obejrzała się, nie mogąc odmówić sobie przyjemności spojrzenia z drwiącym uśmiechem na Sama Kartysa, siedzącego nieruchomo, opierającego się podbródkiem o laskę. Wstała i udając, że widzi po raz pierwszy Georgię Kartys, wykrzyknęła:

— O, Georgia! Dzień dobry! Co za nadzwyczajna mowa, prawda?

Zagadnięta uśmiechnęła się gorzko i nic nie odpowiedziała. Beatrycze wychodząc zauważyła, że na dole otoczyli Edwardsa członkowie stronnictwa, składając mu gorące gratulacje.

Pragnęła pomówić z nim zaraz i wyrazić mu swój zachwyt.

Prędko zeszła na dół po marmurowych schodach. Fresk, wyobrażający rydwan, z napisem: „Przebijajcie drogę na Zachód!” mignął jej przed oczami. Był to jakby symbol zwycięstwa Edwardsa. Z Zachodu powinny być przyjść nowe siły, nowe idee. Beatrycze była dumna z Edwardsa i swojej z nim przyjaźni.

Posłała mu swój bilet wizytowy i czekała na niego w hallu. Chwile mijały i zaczęła się obawiać, że Edwards nie zjawi się. Nareszcie wrócił woźny z zawiadomieniem, że pan poseł zaraz przyjdzie.

Wszedł Edwards. Na jego twarzy nie można było się dopatrzeć śladów zdenerwowania lub tryumfu ze zwycięstwa. Wyglądał na zmęczonego i obojętnego, lecz uśmiechnął się do Beatrycze charakterystycznym, powolnym uśmiechem i uścisnął serdecznie jej dłoń.

— Chciałam koniecznie pozdrowić pana — powiedziała. — Prócz tego muszę oddać panu pozdrowienia od Mary.

— Dziękuję pani.

— Dziś rano otrzymałam od niej list. Z całej duszy życzyła panu zwycięstwa. Obecnie to się spełniło! Nie może pan sobie wyobrazić, jak się denerwowałam i jak się teraz cieszę!

— Zwyciężyliśmy, to najważniejsze.

Beatrycze opowiedziała o spotkaniu z Kartysami. Edwards uśmiechnął się.

— Dla nich to wielkie rozczarowanie. Byli więcej niż pewni, że wygrają.

— Dowiedziałam się, że — dodała prędko Beatrycze — plotki pochodzą od Sama Kartysa.

Edwards wyprostował się.

— Jest pani tego pewna?

— Najzupełniej; Byłam u missis Eckett, gdzie posłyszałam te plotkę. Plotkę rozprzestrzeniła pani Newett, której opowiedział ją Kartys.

— A może ktoś ją opowiedział Kartysowi?

— Wątpię. Jestem przekonana, że on sam ją wymyślił!

— Ja też tak sędzę.

Głos Edwardsa brzmiał spokojnie, lecz oczy jarzyły się stanowczością i gniewem.

— Chcę z panem pomówić jeszcze o innych sprawach — dodała wesoło Beatrycze. — Jedźmy do mnie na herbatę. Moje auto czeka.

— Niestety, teraz nie mogę. Mam jeszcze kilka ważnych spraw.

— Zaczekam, dopóki pan nie skończy — powiedziała.

Edwards wahał się.

— Nie może mi pan odmówić — nalegała. — Ma pan strasznie zmęczony wygląd. Musi się pan napić herbaty. Mam dla pana nowiny, które sprawią panu przyjemność...

Beatrycze wiedziała, że Edwards gotów jest ulec.

— Muszę przedtem zobaczyć się z Ransomem — odparł niezdecydowanie. — Jeżeli zgadza się pani poczekać kilka minut...

— Jestem gotowa czekać choćby godzinę!

Edwards zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Przez korytarz szedł Sam Kartys! Z zapartym oddechem Beatrycze oczekiwała, co będzie. Kartys szedł ponury, patrząc pod nogi. Edwardsa zauważył dopiero wówczas, gdy się z nim spotkał twarz w twarz.

Beatrycze usłyszała, jak wymówił nazwisko Edwardsa i wyciągnął rękę. Edwards założył rękę za plecy i coś szybko powiedział. Nie słyszała słów, lecz widziała bladość, jaka pokryła twarz Kartysa. Słowa Edwardsa smagały go jak zadawane ciosy. Rozbieganym wzrokiem oglądał się na wszystkie strony — w korytarzu oprócz Beatrycze nikogo nie było. Wyprostował się, wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Edwards odprowadził go wzrokiem, aż znikł. Jego oczy błyszcząły drwiąco i z zadowoleniem. Odwrócił się do Beatrycze i powiedział:

— Zdaje mi się, że pani miała rację. Swoim zachowaniem się Kartys dowiódł winy.

— Nie słyszałam, co pan do niego mówił! — z rozczarowaniem wykrzyknęła Beatrycze.

— Tym lepiej! — zaśmiał się Edwards. — Nie liczyłem się za bardzo ze słowami i nie przebierałem w epitetach.

Gdy deputowany odszedł do Ransoma, Beatrycze usiadła na oknie i zamyśliła się. Spotkanie Edwardsa z Kartysem dało jej ogromną satysfakcję. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Kartysa! Łotr, na chwilę skulił się, stał się niskim, tchórzliwym płazem! Edwards, zdawało się, był gotów połknąć go żywcem. Jak cudownie będzie napisać o tym do Mary dziś wieczorem! Zaczęła obmyślać zdania i wyrazy najbardziej wymowne, by wiernie oddać zachowanie się Edwardsa. „Męski”, „szlachetny”... „Jednym spojrzeniem starł na proch Kartysa”. „Wspaniały był w swoim gniewie”... Musi zrobić go w oczach Mary bohaterem. On rzeczywiście był dziś wspaniały i w czasie przemówienia, i teraz...

W samochodzie Edwards mówił mało i wolał słuchać dowcipnych uwag Beatrycze na temat tego, co miało miejsce w parlamencie. Była wesola i swobodna, lecz nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś się stało z nim od czasu ich ostatniego widzenia się. Stało się coś nie mającego nic wspólnego z pracą w Kongresie i wzburzeniem wywołanym walką z Kartysem...

Kłopoty zawodowe, oczywiście, musiały wycisnąć swą pieczęć, lecz nie mogły być przyczyną takiego przygnębienia, takiego smutku... Mimo wspaniałego zwycięstwa Edwards miał zatroskany wyraz twarzy. Uśmiechał się machinalnie a pociemniałe oczy pod gęstymi brwiami patrzyły ze zmęczeniem i beznadziejnie.

Beatrycze nic nie rozumiała, lecz była zbyt mądra, by pytać o cośkolwiek.

Posadziła gościa w wygodnym fotelu, przy kominku, podsunęła mu za plecy poduszkę i w milczeniu przygotowała herbatę. Ogień w kominku wesoło trzaskał. Edwards poddał się przyjemnemu uczuciu wygody i urokowi gospodyni. Była jego przyjacielem i przyjaciółką Mary. To wystarczyło, by poruszyć w nim ciepłe uczucia. Subtelna kobieta zrozumiała, że on teraz potrzebuje odpoczynku i spokoju.

— Proszę wypić herbatę, a potem, jeżeli pan zechce, proszę przejść do gabinetu i wyspać się! — zaproponowała.

— Nie będę spał!

— No, w takim razie proszę się pogrzać przy kominku i rozmyślać o swoich grzechach!

Herbata była świetna, sandwicze mniej dobre niż u Mary, ale Edwards nie zdążył zjeść śniadania i łakomie rzucił się na nie. Beatrycze troskliwie opiekowała się nim, podsuwała ciasto, lecz nic nie mówiła. Żywa i gadatliwa z natury, pojmowała sens milczenia. Gdy Edwards zaspokoi głód, sam zacznie mówić. Wiedziała, że obudziła w nim ciekawość. To, co chciała mu powiedzieć o Mary, niech będzie na deser!

Wreszcie Edwards wykrzyknął z zadowoleniem:

— Nie przypuszczałem nawet, że jestem taki głodny!

— Dobrze, że pan nie zjadł Sama Kartysa! — zaśmiała się. — Była chwila, gdy myślałam, że go pan żywcem połknie!

— Wysłano by mnie haniebnie z powrotem do Kolorado, gdybym to zrobił! Zresztą sprawiłoby mi to taką satysfakcję, że byłoby warto zaryzykować!

— Nie, nie warto — zaprzeczyła Beatrycze. — Zbyt wiele ma pan dobrego w Waszyngtonie. Może nie powinnam była mówić panu o nim...

— Co pani mówi! Cieszę się, że pani powiedziała. Szkoda tylko, że Kartys się nie bronił. Gdyby wyciągnął rewolwer lub zamierzył się na mnie... Z jaką radością sprabym go!

— Sama byłam żądna krwi — powiedziała Beatrycze. — Lecz Kartys oddał coś więcej niż życie — swój honor i swoje męstwo!

— Przyznam się, że mnie rozczarował!

Edwards skręcił papierosa. Beatrycze obserwowała go spod oka.

— Szkoda, że Mary nie widziała Kartysa — powiedziała w zamyśleniu. — Myślę, że wyraz jego twarzy wynagrodziłby jej wszystkie cierpienia. Opiszę jej wszystko dokładnie dziś wieczorem!

Edwards nachmurzył się, popatrzył w okno i burknął niewyraźnie:

— Na pani miejscu nie robiłbym tego.

Beatrycze badawczo spojrzała na gościa.

— Dlaczego? Nie życzy pan sobie, by Mary była z pana zadowolona?

Przez chwilę milczał, jakby szukał odpowiedzi na jej pytanie w nierównych językach płomienia.

— Nie — rzekł wreszcie. — Teraz to już nie ma znaczenia.

Coś było nie w porządku! Teraz już Beatrycze była przekonana, że umęczony wygląd Edwardsa nie jest skutkiem pracy, lecz pochodził z wewnętrznej walki, wywołanej jakąś nową przeszkodą między nim a Mary. Lecz jakiej natury mogła być ta przeszkoda, gdy w listach Mary Beatrycze wyczytała między wierszami głębokie uczucie do Edwardsa? Postanowił wyrzec się Mary? Dlaczego?

Wyrzeczenie się... Oczywiście, to nie dobrowolne wyrzeczenie! Najrozmaitsze domysły rodziły się jej w głowie. Nagle zaświtała jej nowa myśl. Czy nie zjawiała się w życiu Edwardsa inna kobieta? Bardzo możliwe! Ale jak się to mogło stać? Jeżeli myśl o tej kobiecie zmusiła go do ucieczki z Atlantic City, dlaczego nie przeszkodziła mu tam pojechać? Nie mogła przecież zjawić się w ciągu kilku godzin spędzonych w hotelu...

Edwards znów przemówił. Długie milczenie Beatrycze odniosło skutek.

— Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pani nic już o mnie nie pisała do pani Freeman... Zdecydowałem... Chciałem powiedzieć, że zdaje mi się... że po jej odmowie... nie powinienem narzucać się.

Beatrycze patrzyła ze zdumieniem na gościa. Czy to naprawdę jest ten sam człowiek, który przed dwiema godzinami olśnił Kongres Stanów Zjednoczonych swoją odwagą, przekonaniem i krasomówstwem? Beatrycze nie mogła uwierzyć w szczerłość jego słów!

— Jestem zdziwiona — powiedziała. — Niemożliwe, by pan naprawdę tak myślał!

— Mówię zupełnie szczerze... Tym bardziej, że pani Freeman, zdaje się... była niezupełnie zadowolona z mego widoku.

Po prostu kłamał! Może w najszlachetniejszej intencji, lecz pragnął wprowadzić ją umyślnie w błąd! Wiedziała, że kłamał. W biurku leżał list Mary, który dowodził coś wręcz przeciwnego!

To odkrycie obraziło Beatrycze, gdyż była dumna z przyjaźni z nim i miała nadzieję być zawsze godna jego zaufania. Wzruszyła ramionami i zaśmiała się.

— To bardzo dziwne! Dziś otrzymałam list od Mary, w którym pisze, że bardzo się cieszyła z przyjazdu pana!

Edwards odwracając się nagle rzekł:

— Pisała o tym?

— Tak, i wiele innych rzeczy o panu... Lecz oczywiście to pana nie interesuje, jeżeli przestał ją pan kochać...

Twarz Edwardsa wykrzywiła się.

— Kocham ją jak dawniej! Lecz postanowiłem... postanowiłem nie dokuczać jej więcej.

— Przecież ona mile pana przyjęła? Była zadowolona, że pana widzi. Nie rozumiem. Czyżby...

Beatrycze zrobiła pauzę i dodała z umyślnym okrucieństwem:

— Czyżby złe języki okazały się silniejsze od pana uczucia... Zaufania pana!

Edwards drgnął jak od ciosu i zbladł śmiertelnie.

— Pani nie może... nie ma prawa tak myśleć! Beatrycze odwróciła się i poprawiła kwiaty w wazonie.

— Nie chcę tak myśleć. Ale nie wiem, jak mam to inaczej wyjaśnić... Zmianę pana w stosunku do Mary.

— Nie zmieniłem się — burknął Edwards. — Przyczyna nie zależy ode mnie.

Zapadło milczenie. Beatrycze wiedziała, że on ją obserwuje, lecz siedziała nieruchomo, nie starając się go ponaglać. Czuła, że jej słowa odniosły pożądaną skuteczną zmianę. Edwards przeszedł się po pokoju i stanął przed kominkiem, patrząc w okno. Małe różowe zegary tykały dźwięcz-

nie. Zatrzeszczało drewno palące się w kominku i łamiąc się upadło na czerwony, tlejący węgiel. Zimowy zmierzch ogarniał pokój. Beatrycze wyciągnęła rękę do kontaktu i nagle krąg światła oświetlił nakryty stół. Chwila była symboliczna. Dosyć błąkał się w mroku, pora, żeby między nią a nim nastąpiła jasność.

— Nie chciałbym, by pani myślała o mnie w ten sposób... — zaczął. — To nieprawda. Może powinienem powiedzieć pani... To, co się stało, nie ma nic wspólnego z missis Freeman. Beatrycze milczała.

— Powstała przeszkoda — Edwards powoli mówił dalej. — Ożyła pewna historia z mojej przeszłości. Ona właśnie zniweczyła moje nadzieje na zgodę missis Freeman.

Beatrycze szybko odwróciła się do niego.

— Kobieta?

Edwards schylił głowę i ponuro patrzył na dywan. Odpowiedź była wyraźna. Nawet w tej umęczonej pozie mężczyzna zachował swoją wrodzoną szlachetność.

— Szkoda — westchnęła Beatrycze.

— Nie mam prawa o tym mówić, nawet z panią. Missis Freeman nie powinna o tym wiedzieć. Stałbym się wówczas jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Cokolwiek by pani o mnie myślała, mam nadzieję, że nie wyda pani mojej tajemnicy.

— Pańskiej tajemnicy? Pan mi przecież absolutnie nic nie powiedział!

— Powiedziałem, co mogłem.

Beatrycze zamyśliła się. Przeczucie nie zawiodło jej. Może Edwards w swej prostocie przejawia znaczenie przeszłych grzechów? Uśmiechnęła się.

— W życiu każdego mężczyzny była jakaś kobieta, lecz...

— Na litość boską, nie będziemy roztrząsać tej sprawy — przerwał jej Edwards.

Beatrycze wzruszyła ramionami:

— No, dobrze, nie będziemy. Chce pan jeszcze herbaty?

— Dziękuję, nie. Pójdę już. Chciała mi pani powiedzieć coś o missis Freeman?

— Nie, teraz nie warto. Obecnie to nie ma już znaczenia.

— Ma pani rację — szepnął Edwards. — Teraz to nie ma znaczenia...

Ponieważ nie chciał jej nic powiedzieć, Beatrycze nie zatrzymywała go. Pragnęła zebrać myśli w spokoju. Edwards podziękował za gościnę i pożegnał się. Beatrycze ucisnęła mu dłoń. Wyglądało to na rozstanie przyjaciół, z których jeden wyjeżdżał w daleką, ciężką podróż.

Rozdział XIV

BEATRYCZE ROBI ODKRYCIE

Beatrycze usiadła w fotelu, w którym przed chwilą siedział Edwards, i pogrążyła się w rozmyślaniach o przyczynach jego nieoczekiwanego i dziwnego wyrzeczenia się Mary. Przed tygodniem prosił ją o pomoc w osiągnięciu celu. Dziś odrzuca możliwość nadziei!

Edwards przyznał się, że przeszkodą do szczęścia była jakaś kobieta z jego przeszłości. Lecz dlaczego jest dziś przeszkodą, a przed tygodniem nie było o niej nawet mowy?

Z natury Edwards nie był lowelasem i nigdy też nim nie był. Możliwe, że właśnie jego prostota i szlachetność zrobiły go tak drażliwym. Jakie prawa mogła mieć do niego ta kobieta? W jaki sposób mogła zmusić Edwardsa do złożenia ofiary z jedynej głębokiej miłości? Beatrycze nie mogła wymyślić innej przeszkody między nim a Mary, jak dawne małżeństwo Steve'a. Już po chwili zdecydowała, że to było niemożliwe. Gdyby był żonaty, to nigdy by nie asystował Mary ani nie dopuścił do siebie myśli o małżeństwie z nią. A przecież się jej oświadczył! Pomknął za nią do Atlantic City. Co więc zmusiło go do tak nagłego powrotu do Waszyngtonu i wyrzeczenia się szczęścia? Widocznie coś zaszło w Atlantic City!

Beatrycze żałowała, że nie wypytała Edwardsa lepiej. Jeżeli nie jest żonaty, to przyczyna kryje się w domniemanych obowiązkach w stosunku do innej kobiety, tak nieoczekiwanie roszczącej do niego swe „prawa”. Edwards poczuwał się do ponoszenia skutków jakiejś miłości! Był idealistą i rycerzem, szczególnie w stosunku do kobiet. Nie można dopuścić, by głupia drażliwość zgubiła szczęście jego i Mary. Beatrycze zdecydowała zrobić wszystko co możliwe, by się zakochani zobaczyli i porozumieli. Resztę pozostawiła losowi, wierząc w łaskę Przeznaczenia.

Napisała do przyjaciółki długi list, o tym, jak znalazła źródło plotek, które zmusiły Mary do opuszczenia Waszyngtonu, opisała swoje spotkanie z Kartysami i panią Newett w Kongresie. W najbardziej entuzjastycznych wyrazach opowiadała o wystąpieniu Edwardsa; jak go wysłuchano z uwagą w parlamencie i jak cała izba oklaskiwała go gorąco, gdy skończył. Porównała jego *dźwięczny, piękny głos* z głosem Newetta, *podobnym do szczekania foksteriera*. Newett według niej nie był gentelmenem, a *zwykłym najemnikiem bandy złodziei*. Edwards natomiast był *wspaniały, olśnił wszystkich swoją głęboką szczerością i krasomówstwem*. Wszyscy — pisała Beatrycze, nie cofając się przed przesadą — *mówili o jego odwadze, byli zdumieni, że*

odważył się wystąpić przeciwko wpływowym członkom swego stronnictwa, ryzykując swoją karierą polityczną. Lecz teraz zwyciężył i wszystkim wiadomo, że stoi przed nim otworem świetna kariera. Dowiódł swych zdolności, zajął mocne stanowisko w szeregach pierwszych działaczy politycznych.

Wyczerpawszy temat sukcesów politycznych Edwardsa, Beatrycze z humorem opisała jego spotkanie z Kartysem.

To było nadzwyczajne, droga Mary! O, jaka szkoda, że nie byłaś ze mną i nie mogłaś widzieć i rozkoszować się tym widokiem! Nie wyobrażałam sobie, żeby można było lepiej zapłacić Kartysowi za jego brutalność, jak brutalnością za wszystko, co wycierpiałaś przez niego. Marzyłam o bójkę, o krwi, wyobrażałam sobie Kartysa leżącego gdzieś w rowie z rozbitą głową i Georgię opatrującą jego rany. Teraz jednak wiem, że człowieka może spotkać gorsza rzecz niż pobicie. Widziałam, jak się to stało z Samem Kartysem. Stracił odwagę, honor, stchórzył przed Edwardsem jak przed mieczem karzącego anioła i odszedł przegrany, podły, wtuliwszy ogon jak zbity pies. Edwards położyłby go na miejscu, gdyby tylko tamten zrobił ruch. Lecz wszystko dobre, co się dobrze kończy. Memu pragnieniu zemsty stało się zadość i uważam, że powinnaś teraz również być zadowolona.

Następnie, Beatrycze opisała, jak przywiozła Edwardsa do siebie, do domu na herbatę, szczegółowo opisała jego zatroskanie i przygnębienie, przyczyny których należy szukać nie w jego walce politycznej w Waszyngtonie, a w czymś innym, czego nie mogła zrozumieć. W Waszyngtonie wszystko wypadło dla niego pomyślnie. Osiągnął świetne zwycięstwo nad wrogami, zabezpieczył swoją karierę. Beatrycze niepokoi stan Edwardsa. Zdążyła się przywiązać do niego, nie tylko za jego odwagę i męstwo, lecz jeszcze bardziej za jego duchowe, rycerskie zalety, tak rzadkie w dzisiejszych czasach. Tę część listu Beatrycze zakończyła żartobliwym zapewnieniem, że gotowa sama się w nim zakochać i wyjść za mąż, jeżeli jest jakaś nadzieja, że Mary go jej odstąpi.

Przypuszczam, że rozumiałaś teraz — pisała dalej — iż Twoje obawy, że plotki dotyczące Ciebie i Edwardsa, mogą zepsuć jego karierę były zupełnie bezpodstawne. Jego mowa w Kongresie dowiodła, jaki to wybitny człowiek i polityk z dużą przyszłością, o nieskazitelnym honorze, w stosunku do którego wszystkie kłamstwa są bezsilne.

Z tego, co Ci napisałam, wszystko powinno być dla Ciebie jasne. Dość długo pozostawałaś na wygnaniu. Wracaj spokojnie do Waszyngtonu! Uprzedzam, że jeśli tego nie zrobisz, przyjadę po Ciebie.

List był obszerny i wymagał nie lada sztuki. Beatrycze spędziła przy biurku prawie cały wieczór. Dla osiągnięcia celu nie poskapiła barw i nie zawahała się przed zmianą w kilku miejscach prawdy. Zakleiła kopertę z uczuciem wewnętrznego głębokiego zadowolenia. Dobrze spełniła obowiązek przyjaźni!

2

Beatrycze zupełnie trafnie przypuszczała, że czas i odległość zrobią swoje w nastroju Mary. Dziewczynie było brak Edwardsa. Cierpiała na myśl o opuszczeniu Waszyngtonu. Podczas rozłąki rozumiała, że Steve nie tylko zajmuje w jej życiu poważne miejsce — lecz że stał się samym jej życiem!

Obecność Polly trochę odciągała ją od tych myśli. Lecz często w nocy, nie mogąc zasnąć, myślała z goryczą o nieszczęściach, jakie prześladowały ją za jej wielką ofiarę. Teraz życie wymagało od niej nowej ofiary, jeszcze większej — wyrzeczenia się ukochanego człowieka.

Wspominając przyjazd Edwardsa, Mary męczyła się wątpliwościami i obawą. Podczas ich krótkiego spotkania był roztargniony, jakby jego myśli były zajęte czymś innym. Prawie cały czas milczał, pozwalając jej mówić. Mary nie oczekiwała od niego nowych wyznań i zapewnienia miłości wiedząc, że jego i jej uczucia są zbyt głębokie. Lecz pragnęła po kobiecemu widzieć w nim choćby najmniejsze oznaki przywiązania i stałości. Dlaczego był zimny i roztargniony, jeżeli przybył tutaj w jedynym celu zobaczenia jej? Przypomniała sobie, że to ona zaproponowała poranny spacer z Johnem i że Edwards zgodził się bez zwykłego w takim wypadku entuzjazmu. To nie było do niego podobne! Był czymś przybity. Mary rozczułała się na myśl, że był może niezdrów, przemęczony pracą. Nie miała prawa sądzić go surowo i być zbyt wymagająca w stosunku do człowieka, który okazał jej takie bezinteresowne przywiązanie...

List Beatrycze wydał się jej promieniem słońca po tygodniowym deszczu i mgle. Dowcipny, wesoły, drwiący, pomógł Mary podnieść się na duchu i ukazał ostatnie zdarzenie po raz pierwszy w nowym świetle. Uciekła od plotek, które koniec końcem nie były straszniejsze od innych plotek, a z tamtymi dawno się pogodziła. Co prawda, było jej i teraz przykro, że jej nazwisko było zamieszane w tę brudną historię wraz z nazwiskiem Edwardsa. Lecz mimo wszystko przyjęła go, gdy przyjechał. Zatem jej decyzja wyrzeczenia się go nie była taka stanowcza, jak to początkowo przypuszczała. Mary zdawała sobie sprawę, że wkrótce będzie mu-

siała wybierać — pozostać w Waszyngtonie lub wyjechać na stałe do innego miasta. Do chwili przyjazdu Edwardsa nie wiedziała, że znajdzie się w takiej rozterce. Gotowa była ustąpić, lecz przestraszyło ją dziwne zachowanie się Edwardsa. Miała mgliste przeczucie, że jakaś nowa przeszkoda stanęła między nimi; nie ta, która ich rozdzieliła w Waszyngtonie, lecz nowa. Przeciwno nim sprzęgła się jakaś tajemnicza siła... Wyobraźnia zapewne! Lecz Mary nie mogła się pozbyć tej myśli. List Beatrycze pomógł jej normalniej i spokojniej popatrzeć na istotę rzeczy.

Przeczytała list kilka razy. Opanowały ją rozmaite uczucia, gdy czytała o powodzeniu Edwardsa i jego przygnębieniu, o incydencie z Kartysem. Zamyśliła się nad żartobliwą groźbą Beatrycze, że przyjedzie i zabierze ją do Waszyngtonu. Bi gotowa była rzeczywiście spełnić swój zamiar...

Dziewczyna długo siedziała przy oknie, patrząc na morze. Czyżby Steve'a tak bardzo dręczyła rozłąka z nią? Zapewne teraz pragnie z nią pomówić o wielu rzeczach, szczegółowo opowiedzieć o swoim zwycięstwie. Mary odczuwała potrzebę podzielenia się z nim radością z odniesionego sukcesu. Roztargnienie, jakie ją uderzyło w Atlantic City, zapewne już przeszło...

Dlaczego właściwie nie ma wrócić do Waszyngtonu? Ostateczną decyzję może powziąć równie dobrze tam, jak w Atlantic City. John też chce wrócić...

Dziewczyna pragnęła ukryć przed sobą swoje prawdziwe uczucia. Ciągnęło ją do Edwardsa, do usłyszenia jego głosu, do tego by czuć jego niezmienną, głęboką miłość.

Pomyślała chwilę i zdecydowała się wyjechać nazajutrz do Waszyngtonu.

3

Polly prawie cały poranek spędziła sama, siedząc w słońcu na balkonie i oddając się głębokim rozmyśleniom. Mary wyszła do niej, widząc jednak, że Polly nie jest usposobiona do rozmowy, wróciła do swego pokoju. Od czasu do czasu zamglone spojrzenie Polly błędziło po horyzoncie, rozjaśniało się, a ona uśmiechała się. Za chwilę, jakby przypominając sobie jakieś trudności poruszała się niespokojnie, zmieniała pozę i znów zastygała w bezruchu i zamyśleniu. Myśli jej nie były wesołe, rodziły pragnienia i plany, przeciw którym wzdragała się w niej jeszcze reszta uczciwości i sumienia. Co prawda, życie obeszło się z nią bezwzględnie. Żadnych grzechów Polly nie popełniła (krótkiego szału w Rajskiej Dolinie nie można było nazwać grzechem), a tymczasem kary sypały się na nią jedna za drugą. Zniosła wszystkie niepowodzenia, jakie mogą spotkać wesołą, beztroską kobietę, nie szukającą nic innego w życiu, prócz ła-

twego szczęścia. Cały świat sprzysiął się przeciwko niej. Polly wspominała swoją burzliwą przeszłość, szczególnie to nieszczęsne lato, gdy w tajemnicy udała się nad jezioro Louizy. Okrutna ironia losu! Gorycze całego życia pochodziły od tej jednej krótkiej chwili szczęścia!

Szczęście to okupiła cierpieniem. Dotychczas nie wiedziała, czym ma wyjaśnić swój dojmujący żal — tęsknotą za kochankiem, czy za samą miłością? Spędziła tydzień jak w radosnym śnie, krew gorącą lawiną krążyła w jej żyłach... Potem przełękła się i uciekła. Bała się, że idylla się zepsuje. Wyjść za mąż za Steve'a, wydawało się jej równoznaczne ze skazaniem się na biedę. Głupia! Jak dobrze i bogato żyłaby teraz! Wspomnienie Rajskiej Doliny z nową siłą burzyło jej krew.

W jej spojrzeniu nie było nic miękkości, gdy wstała i zabrała pled, idąc do hotelu. Małe zmarszczki wokoło ust odznaczały się wyraźniej. Polly powzięła decyzję. Sprawa była trudna, ale warto było spróbować! Tak czy inaczej, Steve powinien ją wynagrodzić za poniesioną hańbę, za przebyte męki, za nędzę...

Polly była zdziwiona, gdy weszła do pokoju Mary i zobaczyła otwarte szafy, leżącą na krzesłach garderobę, rzeczy do połowy ułożone w kufrach.

Mary zawijała kapelusze w bibułę i wkładała je do pudła, z pokoju mademoiselle Dupuy dolatywał roztargniony głos Johna. Mary przygotowywała się do szybkiego wyjazdu.

— Co się stało? — zaczęła Polly.

— Ja i John wyjeżdżamy jutro rano — krótko powiedziała Mary.

— Dokąd?

— Do Waszyngtonu.

Polly spojrzała na gruby list na stole, adresowany ręką Beatrycze de Salignac i powiedziała obojętnie:

— Nagłe postanowienie?

— Tak, zdecydowałam się nagle. Pora już wracać do Waszyngtonu. Jeżeli sobie życzysz, możesz tutaj zostać.

Polly milczała przez chwilę.

— Chcesz się mnie pozbyć?

— Nie, ale myślałam, że może ci się tutaj podoba i chcesz tu zamieszkać.

— Ani na chwilę! Tutaj jest bardzo nudno. Ta miejscowość już dawno mi obrzydła.

— Dobrze — zgodziła się Mary — w takim razie pakuj swoje rzeczy. Mam wrażenie, że trzeba będzie kupić nową walizę. Nie pomieścisz w tej swoich nowych sukien.

Polly spacerowała po pokoju, dotykając różnych rzeczy.

— Od kogo ten list? — zapytała z udaną obojętnością.

— Od Bi de Salignac.

— Ona jest przyjaciółką Edwardsa, prawda?

— Tak.

— Jaka ona jest teraz, Mary? Pamiętam ją z lat dziecińczych, zawsze uważała się za bardzo mądrą!

— Beatrycze jest rzeczywiście bardzo rozumna, przy tym jest moją jedyną bliską przyjaciółką.

Polly zaśmiała się.

— Zapomniałaś o Edwardsie!

— Nie można ich porównywać — powiedziała spokojnie Mary. — Bardzo cenię obydwoje.

— Mam nadzieję bliżej ich poznać — także obojętnie odparła Polly.

Mary nie przerywała pakowania, a Polly nie wychodziła.

— Bardzo mi przykro, jeżeli jestem ci ciężarem — wybuchnęła żałośnie. — Mam wrażenie, że ty sobie nie życzysz, żebym jechała do Waszyngtonu.

— Nigdy nie dałam ci powodu do myślenia, że jesteś mi ciężarem.

— N...nie... Ale chyba rozumiesz, jak mi jest ciężko pozostawać w takiej upokarzającej roli! We wszystkim od ciebie zależeć. Nawet ubrania nie mogę kupić sama! To straszne! — wykrzyknęła histerycznie Polly. — Ale co ja mam zrobić? Nie mogę przecież zostać na ulicy i umrzeć z głodu!

— Przestań — nachmurzyła się Mary.

Czuła się winna w stosunku do Polly; żałowała, że jej zaproponowała pozostanie w Atlantic City. Przypuszczała jednak, że wiecznie kaprysząca Polly nie będzie się dobrze czuła w cichym domku waszyngtońskim, nie zadowolą ją skromne przyjemności i spacer, które wystarczały jej i Johnowi.

— Nie chciałam cię dotknąć — odparła miękko. — Wiadomo ci jednak, że prowadzę żywot bardzo spokojny. Będzie ci nudno.

— Nie można powiedzieć, żeby tutaj było strasznie wesoło! — zuchwale odparła Polly. — No, byłam zadowolona, o ile to możliwe w mojej sytuacji.

— Uważam, że to niezbyt uprzejme z twojej strony tak mówić — chłodno powiedziała Mary.

— No, to dobrze! — odgryzła się Polly i wyszła z pokoju.

4

Beatrycze spotkała ich na dworcu i odwiozła swoim samochodem do domu. Nie widziała Polly siedem czy osiem lat i zauważyła w niej dużą zmianę. Postarzała się — pomyślała Beatrycze — kobieta grająca kiedyś z powodzeniem rolę „naiwnej, czarującej dziewczyny” przypuszczała, że zawsze ją może grać z powodzeniem...

Polly zachowała wszystkie zewnętrzne cechy tej roli — sztucznie naiwne spojrzenie, szybkie ruchy, zalotną grę brwi i uśmiechu, dziecinne kiwanie głową, zamiast „tak”, zbytni entuzjazm. Wszystko to było czarujące w osiemnastej wiosnie życia lecz wydawało się trochę śmieszne przed trzydziestką. Beatrycze była do pewnego stopnia uprzedzona do Polly jeszcze od czasów pierwszej młodości, lecz gdy Polly na znak starej przyjaźni, pocałowała ją w policzek, oddała jej pocałunek. Polly starała się wywrzeć dobre wrażenie. Lecz w porównaniu z jej bezustanną paplaniną i sztucznym ożywieniem powściągliwość Mary wydawała się jeszcze bardziej czarująca. Beatrycze długo przebywała w arystokratycznych sferach starego świata i wielu rzeczy się nauczyła — między innymi tego, że spokojne, powściągliwe ruchy są pierwszą oznaką dobrego tonu. Polly należała do innego świata niż ona i Mary. W stroju, w rozmowie i myślach Polly była produktem Broadway'u, typem kobiety żyjącej dla przyjemności i dla eksploatacji swoich wędnących wdzięków. Jednym słowem — Polly była wulgarna.

Po przyjeździe do domu John rzucił się do swego pokoju, na zabawki, za którymi zatęsknił. Guwernantka poszła za nim, a Polly do swego pokoju.

Gdy Polly wyszła z salonu, Mary z ulgą zaśmiała się i gorąco przytuliła się do Beatrycze.

— O, Bi! Jak się cieszę, że wróciłam do domu!

— Ja również się cieszę, że wróciłaś!

— Ogromnie było mi brak ciebie! Poczułam to, gdy otrzymałam twój list, Bi! Pisałaś o wszystkim, o czym chciałam wiedzieć!

— Szczególnie o Stevie Edwardsie? — chytrze zapytała Beatrycze.

— O wszystkim! Jak nadzwyczajnie upadł ten projekt sprzedaży terenów państwowych!

— Szkoda, że nie widziałas Edwardsa. Był wspaniały! W dziennikach teraz wiele piszą o twoim rycerzu z Zachodu!

— Widziałas go od tego czasu, jak pisałaś do mnie?

Beatrycze zaśmiała się.

— Nie, kochanie, nie denerwuj się. Co prawda omal nie zakochałam się w nim, gdy słyszałam jego mowę, w środę. Ale nie będę go nawet zapraszała na herbatę bez twego pozwolenia.

— Nie mów głupstw!

— Mówię zupełnie poważnie. Jeżeli ty wyrzekniesz się go, sama zabiorę się do niego, zobaczysz! On jest zbyt czarujący, by mógł długo spacerować na wolności.

— Pisałaś, że źle wygląda?

Mary starała się ukryć obawę w głosie, lecz to się jej nie zupełnie udawało.

Beatrycze uśmiechnęła się.

— Mówmy szczerze, Mary! Staralam się dać ci do zrozumienia w liście. Steve niszczy swoje zdrowie nie z powodu pracy, a przez ciebie!

— Myślisz?

— Jestem tego pewna!

— Czy on... rozmawiał z tobą o mnie?

— Tak. Przypuszczam, że miał do tego prawo. Jestem jego i twoim przyjacielem.

— Co on mówił, Bi?

— Że ci się oświadczył i żeś mu odmówiła.

— O!

— Przecież to prawda?

— Tak — szepnęła dziewczyna.

Beatrycze zapytała po chwili milczenia:

— Dlaczego?

— Wiesz przecież, Bi. Po tym, co o nas mówiono, nie mogłam znieść tej myśli. Byłam oburzona, upokorzona... Nie powinien był wtedy oświadczać mi się. Powinien był czekać...

Mary umilkła i podeszła do okna.

— Chcesz powiedzieć, że wybrał nieodpowiedni moment?

— Tak! Możliwe, że w innych okolicznościach odniosłabym się do tego inaczej. To wszystko było takie okropne!

— Przypuszczam, że zdałaś sobie teraz sprawę, że większość tych okropności sama sobie wymyśliłaś — z uśmiechem zauważyła Beatrycze. — To było w rzeczywistości kłamstwo polityczne, nie dotyczące ciebie bezpośrednio. Chciano zaszkodzić Edwardsowi i chwycono się pierwszego lepszego pretekstu. Obecnie cała ta historia jest zapomniana, a Kartys zdemaskowany jako podły intrygant. Po tym, co miało miejsce w gmachu Kongresu, nie traciłam, oczywiście, czasu i opowiadałam wszędzie, co widziałam!

Mary zbliżyła się do przyjaciółki i położyła jej rękę na ramieniu.

— Po co to robiłaś, Bi? Wolałabym, by jak najmniej było rozmów o mnie.

— Nie mogłam postąpić inaczej! Udławiłabym się, gdybym nie opowiedziała wszystkim o spotkaniu Kartysa z Edwardsem! Musisz mi to wybaczyć, Mary, jednocześnie ze wszystkimi moimi przewinieniami.

Beatrycze serdecznie uściśnęła rękę Mary.

— Chcę ci po prostu wytłumaczyć, że stałaś się ofiarą własnej wyobraźni — mówiła dalej. — Przypuszczałaś, że plotki mogą zaszkodzić Edwardsowi. Wprawdzie były one na to obliczone, lecz okazały się bezsilne. Możliwe, że stracił kilka głosów wśród prowincjonalnych wyborców, lecz tego nie należy brać w rachubę. Ransom postawił na osobisty urok Edwardsa, na siłę jego przekonań. Kartys i Newett nie liczyli się z tym. Ransom, okazało się, miał rację! Doświadczony starzec wiedział, że na jednego suchego purytanina w Kongresie przypada dziesięciu, którzy potajemnie zachwycają się tymi grzechami, jakie wypominają Edwardsowi.

— O, Bi, nie trzeba!

— To prawda. Żyjemy w wolnym kraju. Życie osobiste człowieka nikogo nie obchodzi. Ważne jest tylko to, jak zachowuje się na swoim stanowisku. Edwards dowiódł wszystkim swojej siły. Sama widzisz, że twoje stosunki z nim nie mogą zaszkodzić jego karierze.

Beatrycze mówiła szczerze, przekonująco i była pewna, że przyjaciółka zmieniła swój punkt widzenia. Mary usiadła w fotelu i zamyśliła się.

— Chciałabym bardzo, by Edwards bywał u mnie nadal — powiedziała niezdecydowanie. — Nie wypada mi jednak pisać lub dzwonić do niego...

— Dlaczego?

— Tak dziwnie się zachował... Gdy przyjechał, nie było mnie w hotelu, gdyż nie uprzedził mnie o przyjeździe. Polly go spotkała. Gdyby jej nie było, może nie zobaczyłabym go wcale! Wyjechał następnego dnia rano!

— I, oczywiście, nie chciał cię budzić — spokojnie rzekła Beatrycze. — To zupełnie naturalne. Zawezwano go w pilnej sprawie.

— Możliwe, lecz...

— Co takiego?

— Nic specjalnego, tylko po otrzymaniu twego listu sprawdziłam u telegrafistki hotelowej, czy tego dnia otrzymał depezę. Nie było to u niej wcale notowane!

— Mary! Jak ci nie wstyd?!

— Dlaczego?

— Nie myślałam, że jesteś taka podejrzliwa! Czyżbyś nie ufała Edwardsowi?

— W ogóle ufam, lecz zaniepokoił mnie jego odjazd. Edwards nie był taki jak zazwyczaj, lecz zdenerwowany, zatroskany, zmieszany. Wydało mi się, że czegoś się obawia, jeżeli w ogóle można użyć tego słowa o człowieku tego rodzaju. Nie wiem... Doznawałam dziwnego uczucia. Ty wiesz, że kobiety nieraz mają dziwne przeczucia, które trudno jest wytłumaczyć rozsądkiem.

— Tak — zgodziła się Beatrycze. — Lecz czasami wprowadzają nas one na błędną drogę. Nie powinno się całkowicie kierować wyczuciem.

— Tak często widywałam go tej zimy, tak go dobrze poznałam, lecz nigdy nie widziałam go takim, jak tego wieczoru. Nie umiem ci dobrze wytłumaczyć.

— Na twoim miejscu poszłabym po prostu za głosem serca. — Beatrycze położyła rękę na rękę Mary i ciągnęła: — Nie warto nadal taić przede mną, co dzieje się w twoim sercu! Przecież go kochasz, prawda?

Mary powoli odwróciła rękę dłonią do góry i palce jej splotły się z palcami przyjaciółki. Pochyliła głowę i szepnęła.

— Tak, Bi, kocham go.

Beatrycze mocno ją uścisnęła.

— Wiedziałam o tym, moja droga! Chciałam to jednak usłyszeć od ciebie samej. To ja-koś nas zbliża...

Wyprostowała się i zaśmiała.

— Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, to według mnie Steve Edwards ubóstwia cię! Miłość takiego człowieka jest warta, by o nią walczyć! Nie powinnaś pozwolić, by cokolwiek stanęło między wami!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic specjalnego. Lecz wiem, jak trudno jest osiągnąć szczęście. A osiągnąwszy, zachować je. Dlatego też radzę ci nie myśleć zbyt wiele, nie wysuwać wątpliwości, a pójść za głosem serca.

Beatrycze umilkła, nad słuchując. Z sąsiedniego pokoju rozległ się słaby metaliczny dźwięk. Mary wstała. Portiera rozsunęła się i do pokoju weszła Polly z książką w ręku.

— Polly! Myślałam, że jesteś na górze.

— Zeszłam po książkę — powiedziała z zimną krwią Polly. — Czy któraś z was czytała tę książkę?

Wymieniła tytuł. Beatrycze nic nie odrzekła. Ukazanie się Polly przerwało bieg jej myśli. Milczała, patrząc na nią pytająco. Dziwne, że weszła tak nagle, że nie było jej słychać w bibliotece, za cienką portierą...

— Owszem, czytałam to — powiedziała Mary, spojrzawszy na przyjaciółkę. — Myślę, że ta powieść będzie ci się podobała. Chcesz z nami zostać?

— Nie, dziękuję, jestem zmęczona. Przypuszczam, że niedługo znów cię zobaczę Beatrycze! — kiwnęła głową i wyszła do przedpokoju.

Polly była taka uprzejma, że przez chwilę Beatrycze zawstydziała się swego podejrzenia. Mary nic nie powiedziała. Jeżeli nawet myślała, że Polly podsłuchiwała w ciemnej bibliotece, nie pokazała tego po sobie.

— Pamiętaj, Mary, jak najmniej analizowania. Ty jesteś do tego skłonna. Bierz swoje szczęście po prostu, bez roztrząsania! Nie wymyślaj przeszkód, które nie istnieją.

Beatrycze włożyła futro i pocałowała przyjaciółkę:

— Do widzenia, kochanie. Przyjdę jutro.

W zamyśleniu zeszła ze schodów do oczekującej na nią limuzyny. Nagle uderzyła ją myśl: Polly! Po co ona podsłuchiwała? Polly...

— Dokąd mam jechać? — zapytał szofer.

Beatrycze zorientowała się, że przez chwilę stała nieruchomo, trzymając klamkę drzwiczek.

— Do domu!

Dziwna rzecz, jak jedno podejrzenie rodziło drugie! Beatrycze przypominała sobie zdanie Mary: „Polly spotkała go: gdyby nie ona, nie byłabym się widziała ze Steve'em Edwardsem!”

Wówczas Beatrycze nie zwróciła na to uwagi. Teraz te słowa nabierały nowego znaczenia. Myśl była wprost nieprawdopodobna, lecz Beatrycze nie mogła się jej pozbyć. Steve spotkał się z Polly, zanim zobaczył Mary. Jakiś czas spędzili razem. Przyjechał do hotelu Tremor przed samym obiadem, a wkrótce po obiedzie poszedł do Mary. Edwards przyznał się, że spotkał „kobietę ze swej przeszłości”. Czyżby to było możliwe, żeby tą kobietą była Polly?

A jeżeli nie Polly — to kto? Gdyby Steve spotkał tę kobietę w pociągu, na ulicy, w restauracji, hotelu nigdy by nie zawiadomił Mary o swej obecności w Atlantic City. Odjechałby zaraz, a nie następnego dnia.

Jedynym możliwym wyjaśnieniem było przypadkowe spotkanie w apartamentach Mary, którego nie można było uniknąć — spotkanie z Polly!

Beatrycze zwolniła szofera i powoli szła po schodach. Była dumna ze swej przenikliwości, lecz dręczyła ją troska o szczęście Mary. Polly nigdy jej się nie podobała, nawet w dzieciństwie. Obecne spotkanie wzmocniło w niej antypatię. Zły sąd jednej kobiety o drugiej zależy bardzo często od rozbieżnych gustów w ubieraniu się i sposobie bycia. Wulgarność Polly była zawsze niemiła Beatrycze, lecz inne cechy jej charakteru robiły jeszcze bardziej przykre wrażenie. W drodze z dworca do domu Polly przejawiała skłonność do drwin pod adresem Mary, odzywając się lekkomyślnie o rzeczach, do których Mary i Beatrycze odnosiły się poważnie. Mary w stosunku do Polly była dobroduszna i pobłażliwa. Lecz charaktery ich były zbyt różne, by mogła między nimi panować harmonia.

Słowem posiane nasienie podejrzewania znalazło w Beatrycze podatny grunt. Wielkie niebezpieczeństwa leżały na drodze delikatnej łodzi, którą pragnęła skierować do cichej przystani przez wzburzone fale oceanu.

Rozdział XV

SIOSTRY

Gdy drzwi się zamknęły za Beatrycze, Mary w zamyśleniu zatrzymała się w salonie, później poszła do biblioteki.

Półmrok, przy którym niemożliwością było szukanie książek na półce, potwierdził jej podejrzenia, że Polly zeszła na dół jedynie w celu podsłuchiwania jej rozmowy z przyjaciółką. Mary zapaliła światło. Na podłodze leżał miedziany nóż do rozcinania kartek. Polly niechcący strąciła go ze stołu i ten dźwięk zmusił ją do wejścia do salonu. Mary podniosła nóż, potrzymana go w rękach i marszcząc brwi położyła go na stole. Polly podsłuchiwała. Po co? Poczucie, że jest szpiegowana w własnym domu było nie do wytrzymania. Poszlaki przeciwko Polly były tak wyraźne, że fakt ten wydawał się oczywisty.

Stosunek sióstr do siebie był i tak napięty. Z poczucia obowiązku Mary okazała siostrze nie tylko gościnność — lecz serdeczną troskę. Miłości pozostało niewiele. Gdy Polly przekonała się, że Mary jej nie wypędzi, jej początkowy sposób zachowania — skromny i wzruszający — prędko się zmienił. Stała się kapryśna, czasami po prostu zuchwała.

Mary była skłonna przypisywać kaprysy Polly stanowi jej zdrowia i nerwów. Lecz choć wypoczynek nad morzem uleczył ją, to nie zmienił jej charakteru. Ani w myślach, ani w uczuciach sióstr nie było harmonii.

Polly w wielu wypadkach zmieniała się na gorsze od chwili rozłąki, lecz Mary nie podejrzewała, by upadła tak nisko, żeby podsłuchiwać pod drzwiami. Tego nie można było ścierpieć.

Przekreśliła kontakt i zdecydowanym krokiem skierowała się na górę, do pokoju siostry. Polly była już w szlafroku. Mimo woli spojrzała na Mary i zapalając papierosa, rzuciła się na łóżko.

— Co się stało? Masz taki dziwny wygląd!

Mary zamknęła za sobą drzwi.

— Było mi bardzo nieprzyjemnie, że stałaś w bibliotece w czasie mojej rozmowy z Beatrycze...

— Ach, tak! Dlaczego?

— Dlatego, że rozmawiałyśmy o sprawach osobistych. Nie wiedziałam, że jesteś pod drzwiami. Poszłaś na górę głównymi schodami, dlaczego zeszłaś innymi?

Polly wzruszyła ramionami:

— Nie chciałam ci przeszkadzać, przechodząc przez salon, ot i wszystko. Przecież ci powiedziałam, że szukałam książki.

— Po ciemku? To nie bardzo udany wykręt, Polly!

— Chcesz przez to powiedzieć, że podsłuchiwałam pod drzwiami? No, wiesz co, Mary, nigdy nie spodziewałam się tego po tobie!

— Może nie podsłuchiwałaś? — zapytała spokojnie Mary. Polly roześmiała się.

— Mówisz to tak, jakbym uciekła z rodzinnym srebrem! Mówię ci, że zesłam po książkę.

— Proszę cię, odpowiedz na moje pytanie.

— Nie odpowiem, dopóki nie przestaniesz grać roli królowej z tragedii. Może to odpowiada twemu typowi, lecz w tej sytuacji jest nie na miejscu. Czy ty naprawdę przypuszczasz, że mnie interesuje twoja rozmowa z Beatrycze?

— Nie wiem, czy cię interesuje, lecz była to rozmowa prywatna, której nie prowadziłybyśmy wiedząc, że ty nas słuchasz!

— Naprawdę? — Polly spuściła nogi z łóżka i uważnie oglądała swoje pantofle. — Uważam, że to nie jest zbyt ładnie z twojej strony mówić w ten sposób, Mary!

W głosie Polly dźwięczały łzy. Mary była tak rozdrażniona, że to jej nie wzruszyło.

— Przyszłam do ciebie nie po to, by być miłą. Nie masz prawa liczyć na moją dobroć. Postąpiłaś bez sumienia!

— Mary!

— Nieuczciwie i bez sumienia! Innych słów nie znajduję! Podsłuchiwałaś. Dlaczego?

Polly szarpnęła się, usta jej wykrzywiły się pogardliwie, gdy odpowiedziała:

— Ponieważ mnie już obwiniłaś, jaki sens odpowiadać na twoje pytania?

— Musisz odpowiedzieć! Przygarnęłam cię do siebie, wzięłam do swego domu, niczego ci nie odmawiałam, bo było mi ciebie żal. W zamian nic nie żądam, prócz przyzwoitego zachowania się w stosunku do mnie. Ty natomiast postąpiłaś bardzo podle. Podsłuchiwałaś. Dlaczego to zrobiłaś? Naprawdę nie możesz zrozumieć, że taka rzecz jest niedopuszczalna?

— Wcale nie starałam się podsłuchiwać — odpowiedziała Polly.

Mary nie zwróciła uwagi na jej słowa.

— Czy powiesz mi nareszcie, dlaczego wtykasz nos w moje prywatne sprawy? — zapytała zimno.

— Wcale mnie nie interesują. To brzydko z twojej strony!

— Bronię swych praw we własnym domu. Nie podoba mi się twoje zachowanie w stosunku do mnie. Zachowujesz się coraz bardziej wrogo. Lecz ta ostatnia podłość przepelniła czarę! Jeżeli chcesz pozostać moim gościem, musisz się zachowywać przyzwoicie i uczciwie!

Polly wypuściła kłęb dymu i sucho się zaśmiała.

— Widocznie uważasz, że nie jestem ci dość wdzięczna! Zapewne chcesz, bym grała rolę ubogiej krewnej, rezydentki? Do tego, oczywiście, nie jestem zdolna. To nie leży w mojej naturze — poniżać się i podlizywać. Nie masz najmniejszego prawa tego żądać. Cóż z tego, że tobie się w życiu powiodło, a mnie nie? Wykorzystujesz moje nieszczęścia, by mi dać odczuć moją zależność od ciebie. I dochodzi do tego, że oskarżasz mnie o podsłuchiwanie twoich głupich rozmów! Muszę ci szczerze powiedzieć, Mary, że to za wiele!

Polly wstała i wrzuciła papierosa do kominka. Mary patrzyła na nią, nie znajdując słów.

Zarzuty Polly nie sprawiły jej przykrości, lecz ostry ton zdenerwował ją. Przypomniała sobie lata upokorzeń, cierpień, o których Polly nie miała widocznie najmniejszego pojęcia. Chwila była nieodpowiednia na kompromisy.

— Nie, Polly — powiedziała powoli. — Nie przejaszkawiam; świetnie sobie zdaję sprawę z tego, co mówię. Nadużywasz mojej gościnności. Nie masz najmniejszego prawa tego robić. Co byś nie myślała o swoich prawach w tym domu, ja jestem tutaj panią i powinnaś się z tym liczyć!

— A jeżeli nie zechcę? — bezczelnie zapytała Polly.

— Wówczas będziesz zmuszona wyjechać.

Drwiący uśmiech znikł z twarzy Polly. Ręce się jej trzęsły, gdy brała papierosa z pudełka i zapalała. Od złości zapało jej oddech w piersiach.

— Rozumiem — powiedziała dusząc się. — Nie chcesz, żebym została tutaj! Lecz jeżeli ja wyjadę, John pojedzie ze mną!

Mary drgnęła i powoli, wyraźnie odparła:

— Nie masz żadnych praw do Johna. Taka była umowa.

— To ty postawiłaś te warunki, a nie ja — wzruszyła ramionami Polly. — Umowa jest ważna, dopóki jestem tutaj. Gdy wyjadę, straci swą moc.

— Nieprawda. Dawno straciłaś wszystkie prawa do Johna.

— Nic podobnego! On jest moim synem.

— Porzuciłaś go.

— Ale teraz wróciłam! — zaśmiała się Polly. — Nie masz żadnych praw do niego, prócz tych, które ci czasowo powierzyłam.

— Nieprawda! Usynowiłam go.

— Lecz nie zatwierdziłaś tego prawnie. To wielkie przeoczenie z twojej strony.

Mary oddychała z trudem.

— Ja... ja wierzę w sprawiedliwość prawa — wykrzyknęła tracąc panowanie nad sobą. — Jestem gotowa sądzić się z tobą! John jest mój! Kocham go, wychowałam, troszczyłam się o niego. Stał się częścią mego własnego życia...

— Lecz ty go nie nosiłaś pod sercem, ty go nie urodziłaś!

Mary spojrzała na siostrę ze strachem. Rzeczywiście, przecież nie usynowiła Johna według przepisów prawa! I nie urodziła go. Lecz mimo to, on był jej tworem całą duszą i ciałem. Polly wyrzekła się go od pierwszego dnia urodzenia. Mary nie znalazła słów na odpowiedź.

— Nie radzę ci szukać obrony w prawie — drwiąco powiedziała Polly. — Jestem jego matką. Oprócz tego on ma gdzieś ojca.

— Milcz!

Mary zakryła twarz rękami.

— Jednak musisz się z tym liczyć! — nalegała Polly. — Ojciec Johna gdzieś żyje!

— Nie masz prawa mówić do mnie o tym łotrze! Zabraniam ci.

Polly odwróciła się i zapytała z chytrym uśmiechem:

— Dlaczego tak go nienawidzisz?

— Dlatego, że jest dla mnie uosobieniem wszystkiego co nieuczciwe i podłe! Takiego człowieka mogłabym zabić, gdyby stanął między mną a Johnem.

— A jednak to jego ojciec — z zimną krwią odparła Polly. — Będziesz musiała uznać jego prawa i moje. Nawet on ma większe prawa do Johna niż ty. Zapominasz, że może kiedyś zjawić się.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic specjalnego, chciałam po prostu dowieść, jakie bezpodstawne są twoje pretensje w porównaniu z jego i moimi prawami do wychowywania tego dziecka.

Polly usiadła na łóżku, uśmiechając się do swoich myśli.

— Nie chcę się z tobą kłócić, Mary, lecz powinnaś być rozsądna. Dziś postąpiłaś ze mną bardzo brzydko. Nigdy nie wszczełabym pierwsza tej rozmowy. No i po co to było?

Strząsnęła popiół do popielniczki i mówiła przyciszonym głosem:

— Zasadniczo, wcale nie mam zamiaru zabierać ci Johna. Co zrobiłabym z nim bez pieniędzy? Co prawda z łatwością porozumiewam się z ludźmi i mogłabym się jakoś urządzać. Ale on przywiązał się do ciebie. Rozumiesz go lepiej niż ja. Jestem gotowa pozostać na stronie, jeżeli nie będziesz zbyt ostro ze mną postępowała. Nie powinnaś ze mną rozmawiać tak, jak dzisiaj! Można pomyśleć, że jestem obcą w tym domu, a nie twoją rodzoną siostrą! Zapomnijmy o naszym nieporozumieniu, dobrze, Mary?

Mary stała nieruchomo, oparta o kominek, pogrążona w myślach o przeszłości. Głos Polly dochodził do niej jakby z oddali — obcy, ostry, niosący w sobie groźbę dla jej cichego szczęścia. Polly zrzuciła wreszcie maskę i pokazała swoją duszę. Mary czuła, że z chwilą, gdy ustąpi siostrze w tym... tym szantażu! — to na zawsze straci swój spokój i szczęście Johna!

— Cokolwiek by się stało — rzekła z trudem — ty nigdy nie otrzymasz Johna! Nigdy! On jest mój. Nie oddam go! Muszę go ustrzec od ciebie. I ty nie masz prawa tak do mnie mówić...

— Boże! Znów wszystko zaczyna się od początku!

Zgasiała papierosa i położyła się, dodając zmęczonym głosem:

— Nic więcej nie powiem. To ty nie możesz się uspokoić. Na litość Boga, przestań odgrywać tragedię. Nie chcę wyjeżdżać, nie chcę Johna. Mnie tu jest bardzo dobrze. Lecz postarajmy się żyć w spokoju!

Mary w milczeniu spojrzała na siostrę i powoli poszła w kierunku drzwi.

— Dobrze, postarajmy się... Spróbuję... — powiedziała z trudem i wyszła.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Polly zerwała się i przekręciła klucz w zamku. Następnie wydobłała spod poduszki schowaną tam flaszeczkę z „lekarstwem” i drżącą ręką podniosła ją do ust.

Gdy przyszła służąca prosić ją na obiad, Polly odrzekła, że jest zmęczona i pozostanie w swoim pokoju. Mary i John zjedli obiad w dwójkę. Dopiero późno wieczorem, gdy John dawno już spał i Mary siedziała sama w bibliotece, Polly zeszła do niej.

— Czy przywieźli bagaż? — zapytała jakby nigdy nic.

— Jeszcze nie, przywiozą jutro rano.

Po rozmowie z siostrą Mary stoczyła ze sobą ciężką walkę duchową i wyszła z niej zwycięsko. Poczucie obowiązku i cierpliwość wzięły górę nad rozdrażnieniem i gniewem.

Polly widocznie zdążyła się wypać. Była wciąż w szlafroku. Wyglądała niedbale, włosy miała potargane, oczy błyszczały gorączkowo w bladej twarzy. Z westchnieniem usiadła na fotelu obok kominka.

— Jak tutaj nudno! Czy u ciebie tak zawsze? Nie mogłam dłużej zostać sama na górze. Nie masz nic przeciwko temu, że posiedzę u ciebie?

— Proszę cię!

Polly milczała pewien czas, skubiąc nerwowo palcami frędzle paska.

— Przyszłam ci powiedzieć, że... przykro mi jest, żeśmy się pokłóciły — powiedziała.

— Nie miej mnie za niewdzięczną, Mary. Bardzo cenię wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Po prostu byłam w złym humorze. Nie panuję teraz tak dobrze nad sobą, jak przedtem.

— Nie będziemy o tym mówiły — niechętnie powiedziała Mary. — Ja też żałuję, że mówiłam z tobą tak ostro.

Polly nachmurzyła się.

— Zasłużyłam na to...

W jakimś nagłym porywie zerwała się.

— Wiesz co, Mary, myślałam o twoich słowach. Masz rację. Żyjemy nieprzyjaźnie ze sobą, tak nie powinno być. Może to moja wina. Ale ty się tak zmieniłaś! Nie zdajesz sobie sprawy, że ja cię kocham i bezinteresownie zajmuję się twoimi sprawami. Ty mi nic nigdy nie mówisz o swoich osobistych sprawach. Według mnie, to nie jest dobrze. Nie widziałyśmy się wiele lat, lecz pamiętasz, jak przedtem zwierzałyśmy się sobie ze wszystkiego?

Polly smutnie westchnęła i przeszła się po pokoju.

— Widocznie straciłam prawo do twojej szczerości. Lecz miałam nadzieję, że mi przebaczysz, ułatwisz mi... Tak chciałam wskrzesić naszą dawną przyjaźń.

Mary nie poruszyła się. Słowa siostry brzmiały nieszczerze, sztucznie.

— Życie bardzo zmieniło nas obie. Nie mogę odnosić się do ciebie jak dawniej. Lepiej nie mówmy o tym.

Mary powiedziała to miękko, lecz stanowczo. Polly odrzekła żalonym tonem:

— Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak mi jest przykro, gdy widzę, jak się dzielisz swymi tajemnicami z Beatrycze, a kryjesz je przede mną!

— Beatrycze jest moją przyjaciółką od wielu lat — powoli odparła Mary. — Niejednokrotnie dowiodła mi swego przywiązania, gdy byłam osamotniona, opuszczona przez wszystkich.

— Opuszczona? Przecież sama tego chciałaś! Nikt ci nie kazał żyć w samotności. Były rozmaite wyjścia z sytuacji...

— Nie było ani jednego wyjścia, które mogłabym zaakceptować — zimno odparła Mary.

— Jeszcze we Francji proponowałam oddać Johna do przytułku. Oczywiście, teraz nie ma co nad tym debatować.

— Masz rację. Nie warto.

Siostry milczały chwilę.

— Ale obecnie nie jesteś sama — powiedziała Polly. — Oprócz Beatrycze masz Steve'a Edwardsa...

Mary milczała.

— To nadzwyczajny człowiek, czyż nie? Ma przed sobą świetną przyszłość... Oczywiście, od dawna rozumiałam, jaki jest twój stosunek do niego! Domyśliłam się tego jeszcze w Atlantic City. Czy on zna prawdę o przeszłości? O Johnie?

— Nie. Dlaczego o to pytasz?

— Czy nie mam prawa interesować się twoją przyszłością, Mary?

— O mojej przyszłości nie ma mowy. Wiesz o tym dobrze, że nie mogę wyjść za mąż!

— Dlaczego? Jeśli cię kocha...

— Polly, proszę cię, zamilcz!

— Widzisz, znów mnie odpychasz! — wzruszyła ramionami, z obrażoną miną. — Zdaje mi się, że czas najwyższy pójść spać. Zapomnij wszystko, co ci mówiłam o Johnie, dobrze? Dobranoc!

3

Polly długo spacerowała w swoim pokoju, paląc papierosa za papierosem. Postanowiła za wszelką cenę uzyskać jakieś zadośćuczynienie za przeżyte nieszczęścia i niepowodzenia.

Życie wreszcie dawało jej w ręce szansę poprawienia swego bytu. Mogłaby stać się niezależna i osiągnąć materialne wygody. Byłoby głupotą nie skorzystać z nadarzającej się sposobności. Jak to się odbije na innych, o tym nie myślała.

Do Mary od dawna ustosunkowała się wrogo. Zazdrościła jej bogactwa, urody, przy której jej powierzchowność jeszcze bardziej traciła, wygodnie urządzonego domu, przyjaźni z Beatrycze de Salignac. Lecz najwięcej złościła Polly świadomość swoich własnych wad i długu zaciągniętego wobec siostry.

Zjawienie się Edwardsa nadało nowy kierunek jej myślom. Nie od razu wpadła na to, jak wykorzystać sytuację. Początkowo zainteresował ją sam Edwards. Była ciekawa, jak Steve przeżył jej zdradę, chciała się przed nim wytłumaczyć. Doprowadziła do spotkania tylko w tym celu, by wspólnie z nim przypomnieć sobie przeszłość, dać mu odczuć, co utracił. Nie osiągnąwszy celu, Polly wyszła z restauracji z uczuciem rozgoryczenia i obrazy. Zrozumiała, że Edwards nie żywi dla niej żadnego uczucia. W jego oczach nie różniła się niczym od kobiet, z którymi spotkał się w przeszłości.

Lecz on nie znał prawdy o Johnie! Wówczas Polly jeszcze nie była zdecydowana wyjaśnić mu ją. Potrzeba było jej trochę czasu, by zastanowić się nad sytuacją.

Dziś wieczorem dowiedziała się wszystkiego, co jej było potrzebne. Umyślnie zeszła do biblioteki, by upewnić się co do uczuć Edwardsa i Mary. Rozmowa z Mary dała jej wiele żłośliwej satysfakcji i wynagrodziła jej wszystkie upokorzenia. Lecz czy Mary była szczerą mówiąc, że nie chce wyjść za niego za mąż? Polly w to nie wierzyła...

Usiadła na łóżku, trzęsąc się w paroksyzmie bezdźwięcznego śmiechu. Gdyby Mary wiedziała! „Nie waż się mówić o tym łotrze! Zabraniam ci!” — zadeklamowała Polly. — Ha ha! Człowiek, którego Mary ubóstwia! Który ubóstwia Mary...

Dostała napadu hysterii. Trzeba postarać się zasnąć. Wsunęła rękę pod poduszkę i wyjęła „lekarstwo”. Dziś można zażyć podwójną dawkę, by dobrze się wyspać i jutro dobrze wszystko obmyślić, co do Steve'a, Johna, Mary i siebie...

Polly padła na łóżko, patrząc rozszerzonymi źrenicami na małą lampkę pod różowym abażurem. Było już późno. Jak przyjemnie czuć się senną po takim zdenerwowaniu. Wyciągnęła rękę do kontaktu, lecz ta bezwładnie opadła na poduszkę i znieruchomiała.

Polly straciła przytomność.

Rozdział XVI

ŻĄDANIA POLLY

Mieszkanie Edwardsa, składające się z pięciu pokoi było bardzo miłe — salon, gabinet i trzy pokoje sypialne. W jednym z pokoi gościnnych mieszkał jego sekretarz, Bob Hastings. Większość swej pracy Edwards wykonywał w domu.

Hastings był bardzo zdolnym młodym człowiekiem, szczerze oddanym swemu szefowi. Początkowo przypisywał dziwny stan Edwardsa zmęczeniu. Była to naturalna reakcja po kilku tygodniach uciążliwej walki. Lecz walka z Kartyssem została uwieńczona świetnym zwycięstwem; sam prezydent przysłał wyrazy uznania dla Edwardsa, a Steve pozostał nadal obojętny i przygnębiony. Wrócił z proszonego obiadu w Białym Domu znudzony i prawie nic nie opowiedział o rozmowie z prezydentem. Coś było nie w porządku! Sekretarz domyślał się, że przyczyną jest missis Freeman. Po jej powrocie z Atlantic City Edwards przestał u niej bywać. Ale Hastings był rozumny i ostrożny jak sowa, będąc nawet zewnętrznie podobny do tego ptaka, i ani słowem nie dał poznać po sobie, że się czegoś domyśla.

Spotkawszy się z Beatrycze de Salignac na herbacie u wspólnych znajomych, odpowiadał wymijająco na jej pytania o Edwardsa. Beatrycze była z tego widocznie nie bardzo zadowolona i przyjechała do Edwardsa z wizytą. Odwiedziny te jeszcze bardziej rozbudziły ciekawość Hastingsa. Wiadomo mu było, że Beatrycze jest przyjaciółką pani Freeman. Młoda wdowa nie raz robiła rzeczy nadzwyczajne. Nie uprzedzając Edwardsa o swej wizycie, zastała go raz wraz z sekretarzem. Przeszli do gabinetu, skąd do Hastingsa długo dochodziły ich wzburzone głosy.

Hastings był zbyt lojalny wobec swego szefa, by choć w myślach komentować zdarzenia, których był przypadkowym świadkiem, ale był również zbyt inteligentny, by nie skojarzyć zaobserwowanych faktów. Domyślił się więc, że urocza pani de Salignac jest zaangażowana w naprawienie tego, co się zepsuło między Mary Freeman a Steve'em Edwardsem — cokolwiek

to było! I choć z jednej strony wtykanie nosa w cudze sprawy uważał za zajęcie niegodne szanującej się osoby, nie potępił pani de Salignac, że próbowała skłonić tych dobrych, szlacheckich ludzi do naprawienia swoich stosunków. Widoczna daremność tych wysiłków — widoczna w smutnym usposobieniu Edwardsa — skłoniła Hestingsa do przyznania, że w tej jednej, jedynej sprawie byłby gotów odstąpić od swych zasad.

Toteż kiedy wzburzona Beatrycze wyszła wreszcie z gabinetu Edwardsa, Hestings uprzejmie odprowadził ją do windy i żegnając się, odważył się powiedzieć z pewnym naciskiem:

— Gdybym mógł szanownej pani w czymś pomóc...

Beatrycze spojrzała na niego bystro, uśmiechnęła się dyskretnie i powiedziała z pozorną niedbałością:

— Bardzo pan uprzejmy, panie Hestings. Cóż, gdyby kiedykolwiek odwiedziła pana Edwardsa pani Polly Drack, byłabym wdzięczna za wiadomość...

W ich spojrzeniach była porozumienie spiskowców, pożegnanie zaś grzeczne, lecz oficjalne.

Jakiś czas potem Hestings odebrał telefon, w którym nieco niewyraźny kobiecy głos powiedział z jakby sztuczną pewnością siebie:

— Chcę rozmawiać z panem Edwardsem!

— Pan Edwards jest zajęty, proszę pani. Właśnie wychodzi na posiedzenie komisji Kongresu. Od kogo mam mu przekazać wiadomość?

— Jestem Polly Drack. Mam pilną osobistą sprawę i muszę się z nim widzieć natychmiast.

Hestings nagle mocniej zacisnął palce na słuchawce.

— Obawiam się, proszę pani...

— Niech mu pan powie, że już tam jadę — wpadła mu w słowa Polly Drack i połączenie zostało przerwane.

Sekretarz zmieszany wszedł do gabinetu, gdzie Edwards porządkował dokumenty, które miał zabrać ze sobą. Zdziwiony podniósł głowę.

— Co tam znowu, Sam?

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwoniła właśnie pani Drack i mówiła, że musi się z panem natychmiast zobaczyć. Ma tu zaraz przybyć.

Gdyby Hastings nie obserwował uważnie Edwardsa, zapewne nie zauważyłby lekkiego poruszenia.

— Pani Drack? — powtórzył ten zdziwiony. — Czy powiedział pan, że czekają na mnie w Kongresie?

— Tak jest, lecz ona powiedziała, że ma bardzo pilną sprawę i że zaraz przyjedzie do pana.

Edwards podszedł do okna i przez chwilę stał nieruchomo, patrząc na ulicę. Hastings zabrał się do pracy.

— Dobrze — odezwał się wreszcie Edwards. — Przyjmę ją. Może pan pozostać tutaj i przepisywać na maszynie, proszę jednak uważać, by nam nikt nie przeszkodził. To... sprawa prywatna, Hastings.

— Słucham pana.

2

Gdy rozległ się dzwonek, Edwards odłożył pióro. Hastings wyszedł do przedpokoju.

— Jeżeli to pani Drack, proszę poprosić ją do salonu — krzyknął deputowany. — Zaraz do niej wyjdę. I proszę uważać, by nam nie przeszkadzano.

Czego chciała Polly? Zdawało się, że wszystko już zostało powiedziane podczas spotkania w hotelu Tremor. Steve nie miał najmniejszej chęci powrócić do tego tematu. Miał nawet wyjść przed jej przybyciem, lecz zdecydował pozostać. Jeżeli pani Drack chce się z nim widzieć, to wcześniej czy później tego dopnie.

Otworzył drzwi z gabinetu do salonu. Polly stała przy oknie. Odwróciła się szybko i rzekła:

— Dziwi to pana zapewne, że do niego przyszedłam.

Zamknawszy za sobą drzwi, Steve stanął, patrząc w milczeniu na Polly.

— Przyznam się, że tak; jestem rzeczywiście zdziwiony — powiedział powoli, zbliżając się do gościa. — Co pani sobie życzy? Proszę siadać.

Przy dziennym świetle Polly wydała się starsza niż w półmroku restauracji, gdzie Steve widział ją po raz ostatni. Znać było po niej, że jest zdenerwowana.

— Ja... ja musiałam jeszcze raz z panem pomówić! Myślałam, że powiedziałam wszystko. Ale tak nie jest. Czy nikt nas nie może usłyszeć?

— Nie. Mój sekretarz pisze na maszynie. Nikt nam nie przeszkodzi. Ale, powtarzam, jestem zdziwiony...

— Tak, tak, rozumiem — przerwała mu Polly i zaśmiała się sucho. — Wszystko to jest bardzo dziwne. Chcę powiedzieć, że znajdujemy się obydwójce w bardzo dziwnej sytuacji.

— To prawda — burknął Edwards. — Lecz przecież żadne rozmowy nie mogą niczego zmienić!

— A jednak jeśli pomówimy, zrozumiemy się lepiej wzajemnie; zrozumiemy nasze obowiązki.

— Obowiązki? — zdziwił się Edwards.

— Tak! Pan nie wie jeszcze wszystkiego. Nie powiedziałam panu najważniejszego! Polly umilkła i odwróciła się. Steve'a ogarnęła ciekawość.

— Proszę mówić dalej — powiedział.

— Trudno mi o tym mówić... Ostatnim razem starałam się dać do zrozumienia... prawdę... o mojej chorobie. Mówiłam panu przecież, że omal nie umarłam... Lecz pan nie rozumiał.

Polly zakryła twarz rękami i wyszeptała:

— Byłam chora dlatego, że miałam dziecko!

Na chwilę podniosła głowę i spotkała się ze wzrokiem Edwardsa.

— Twoje dziecko, Steve!

— Dziecko? — zdenerwowanym głosem powtórzył Edwards, nie wiedząc, czy ma wierzyć. Polly tyle razy go okłamywała! — Moje dziecko?

— I moje! — dodała Polly.

Nastąpiła chwila milczenia. Edwards wstał i podszedł do okna. Gdy się odwrócił, był bardzo blady.

— Dziecko umarło?

— Nie. W tym całe nieszczęście — spokojnie powiedziała Polly. — Ono żyje!

Edwards usiadł, patrząc na Polly. Oczy jego zmalowały i głos dźwięczał głucho:

— Proszę mówić dalej! Tylko na litość boską, proszę mówić prawdę!

— Oczywiście! Sytuacja i tak jest dosyć ciężka, by ją jeszcze pogarszać kłamstwem. Powiedziałam, że wiele cierpiałam. Wpadłam w rozpacz, gdy zrozumiałam, że zostanę matką. To nie powinno się stać, gdybym była bardziej doświadczona. Nie wiedziałam, co robić! Starałam się... starałam się... odnaleźć ciebie. Lecz ty znikłeś.

Polly zrobiła pauzę i spojrzała na Steve'a. Nie wytrzymując jego wzroku, spuściła oczy.

— Mieszkałyśmy w Nowym Jorku. Byłam w rozpaczycy! Chciałam skończyć samobójstwem... Pewnego razu, Mary weszła do mojego pokoju...

— Mary!

— Nie wytrzymałam i rozplakałam się. Zaczęła mnie wypytywać i... i przyznałam się do wszystkiego!

Polly umilkła i wyprostowała się. Oczy jej biegały niespokojnie po pokoju. W rękach miała chusteczkę do nosa.

— Mary całą sprawę wzięła w swoje ręce. Nie pozwoliła mi zrobić tego, co uważałam za stosowne... by nie dopuścić do urodzenia się dziecka!

Edwards był zbyt wstrząśnięty i nie domyślał się jeszcze prawdy. Współczucie wzięło w nim górę nad niechęcią do tej kobiety. Słuchał z pochyloną głową i ze złożonymi rękami, podobny do zakonnika w czasie modlitwy. Gdy Polly umilkła, wstał i znów podszedł do okna.

— Biedna! — szepnął mimo woli, przypominając sobie dawną Polly, wesołą dziewczynę z Rajskiej Doliny.

— Tak, byłam nieszczęśliwa — zaskłała, przyciskając chusteczkę do oczu. Płakała.

Były to prawdziwe szczere łzy. Polly z łatwością rozczuła się nad sobą. Edwards stał nieruchomo. Z gabinetu dolatywał stukot maszyny. To pomogło mu wrócić do rzeczywistości.

— Co się stało potem? — zapytał, odwracając się.

— Omal nie umarłam! Teraz nie ma to, oczywiście, znaczenia... ponieważ żyję...

— A dziecko? — niecierpliwie zapytał Edwards. — Powiedziała pani, że ono żyje. Gdzie jest teraz?

Polly milczała.

— Gdzie dziecko? — powtórzył Edwards.

Wstała i ciężko oparła się o poręcz fotela. Nie wiedziała jak rozegrać sprawę. Czuła, że jeszcze nie pora powiedzieć prawdę. Zamiast odpowiedzi, uśmiechnęła się smutno:

— Dotychczas niosłam sama odpowiedzialność za nasz występki. Teraz zrozumiesz, co chciałam powiedzieć, mówiąc o twoich obowiązkach!

Edwards nachmurzył się. Nie spuszczał z niej wzroku. Wyznanie Polly oszołomiło go. W pierwszej chwili pomyślał, że kłamie. Teraz jednak wiedział, że mówi prawdę. Gdzieś było dziecko, ich wspólne dziecko, żywe ogniwo między nim a tą kobietą! Edwards czuł, że ona umyślnie zwleka z odpowiedzią, by dać mu czas na zrozumienie i ogarnięcie istoty sprawy. Przyszła do niego żądać wynagrodzenia za swoje nieszczęście!

— Pani później wyszła za mąż? — zapytał. — Co pani sobie życzy, bym zrobił? Jestem gotów spełnić swój obowiązek. Gdzie dziecko?

— Tak, byłam zameżna! — wymijająco odrzekła Polly. — Okropne małżeństwo.

Edwards milczał chwilę, zaskoczony goryczą i nienawiścią, jaka zadźwięczała w jej głosie. Lecz to, czy Polly była szczęśliwa w małżeństwie, czy nie, nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. Małżeństwo to usuwało wszelkie jej pretensje do Edwardsa. Natomiast co się tyczy dziecka, spełni swój obowiązek. Lecz inne żądania — nie!

Znów zrodziła się w nim niechęć do Polly, gdy pojął cel jej odpowiedzi.

— Pani rozumie, że małżeństwo jej zwalnia mnie od wszelkich obowiązków w stosunku do pani — powiedział sucho.

Polly szybko podniosła głowę, dzwoniąc długimi kolczykami. Cała jej postać napięła się jak struna.

— Tak pan myśli? — zapytała ostro. — Pan nie poczuwa się do żadnych moralnych obowiązków?

— Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, dla dziecka — spokojnie odrzekł Edwards.

— Ach, tak!

Polly zmieniła nagle taktykę. Edwards podszedł do niej i powtórzył:

— Gdzie jest dziecko? Pani nie odpowiedziała mi na to pytanie!

Polly cofnęła się.

— Nie, nie odpowiedziałam! — odparła, odrzucając hardo głowę. — Powiem to panu wtedy gdy uznam to za stosowne. Ale teraz wiem, co z pana za człowiek.

— Czego więcej oczekiwała pani ode mnie? — z zimną krwią zapytał Edwards.

— O, niczego! — z goryczą wykrzyknęła Polly. — Jestem po prostu jedną z kobiet z pańskiej przeszłości. Z moich praw może pan sobie nic nie robić, dlatego że nie mogę nic prawnie od niego zażądać... Niczym nie mogę pana zmusić...

— Proszę mi wybaczyć, pani Drack, ale...

— Gotów pan jest zapomnieć o wszystkim, co wycierpiałam przez pana! Zapomina pan, że wówczas byłam dzieckiem, a pan dorosłym mężczyzną. Pan zdawał sobie sprawę z tego, co robi, a ja nie! Ja cię kochałam... To prawda! Oddałam też panu całą duszę, a nie tylko samo ciało!

Steve słuchał jej zdumiony. Głos Polly dźwięczał histerycznie, zatrzęsła się cała, jakby nie miała więcej sił, by opanować nerwy.

— Pan mnie zgubił! Zniszczył mi całe moje życie, a sam pozostał wolny. Rzucił mnie z dzieckiem na los szczęścia!

Edwards chciał coś powiedzieć, ale Polly nie dała mu przyjść do słowa.

— Zabiłeś mi duszę, słyszysz? Moją duszę! I śmiesz twierdzić, że nie masz obowiązków względem mnie! To podłość!

Wyczerpana upadła na fotel, z trudem oddychając. Hastings w drugim pokoju stukał wciąż na maszynie. Edwards pomyślał, że sekretarz chyba nie mógł słyszeć krzyków Polly.

— Zostawię panią samą, jeżeli nie będzie pani rozmawiała spokojnie! — powiedział stanowczo. — Jak pani nie wstyd tak krzyczeć!

Polly podniosła się, z trudem panując nad sobą.

— Nie, pan zostanie! — rzekła ochryłym głosem. — Powiem jeszcze coś, co się panu nie bardzo będzie podobało, panie Edwards. Pan żąda, bym sama niosła ciężar swego upokorzenia. Otóż zmuszę pana również do cierpienia. Pan przypuszcza, że nie zauważyłam, co się dzieje między panem a Mary...

— O tym nie ma pani potrzeby mówić.

— A właśnie, że chcę o tym mówić i będzie pan musiał wysłuchać! Niech pan wie, że ona nigdy nie zostanie pana żoną! Powiem jej całą prawdę o panu. Powiem jej, że jesteś człowiekiem, który właśnie mnie zhańbił. Zawsze myślała o panu ze wstrętem, nie pozwalając mi nic mówić dlatego, że jej zdaniem, przewodnik z Rajskiej Doliny był ostatnim łotrem, ostatnim niegodziwcem w jej oczach!

Steve słuchał z przerażeniem słów ukazujących jej brutalność i nienawiść.

Polly zaśmiała się nerwowo.

— Pan, jej najlepszy przyjaciel... jej... narzeczony. Człowiek, którego nienawidziła całe swoje życie!

Słowa zamarły jej na ustach, lękliwie cofała się, przytulając się do ściany. Steve zbliżał się do niej z wykrzywioną twarzą, w najwyższej wściekłości!

— Nie waż się mówić o Mary, słyszysz?

— Ja... ja muszę — odpowiedziała Polly, jękając się, jednakże patrząc w oczy Edwardowi. — Ona jest zamieszana w tę sprawę. Ona i John.

— John!

— Tak jest, John. On nie jest jej synem, a moim. I twoim!

Edwards cofnął się. Przez kilka chwil oboje milczeli, nie ruszając się z miejsca i patrząc na siebie.

— Teraz już pan wie! — rzekła wreszcie Polly. — John, twój syn.

Jeżeli Polly chciała jednym ciosem zmiażdżyć Edwardsa, to po wyrazie jego twarzy sądząc, mogła przypuszczać, że jej się to udało. Stał, przyciskając dłoń do czoła, jak gdyby go w to miejsce uderzyła.

Odzyskując odwagę na widok jego rozpacz, Polly uśmiechnęła się i wróciła na fotel przy stole. Edwards powoli powiódł wzrokiem za nią.

— John — mój syn! Lecz w takim razie, w jaki sposób... Dlaczego Mary...

Prawda olśniła go.

— Pani chce powiedzieć, że Mary przez cały czas troszczyła się o dziecko, wówczas gdy pani... — zdenerwowany, z trudem wymawiał słowa. — Pani zgodziła się, by wzięła pani hańbę na siebie? Pani pozwoliła na to? Dlaczego to zrobiła? Pani kłamała w Atlantic City. Teraz proszę mi powiedzieć prawdę, jeżeli pani może! Dlaczego Mary to zrobiła? By uratować pani cześć, wzięła na siebie pani hańbę. To do niej podobne!

Polly wzruszyła ramionami.

— Trafiła mi się okazja wyjścia za mąż. Proponowałam, by oddać dziecko do przytułku. Ale Mary wzięła Johna do siebie. Nikt nie wymagał jej ofiary, sama tego chciała.

Edwards stał przy kominku z twarzą schowaną w dłoniach. Szlachetność Mary przepełniła czarę jego własnego upokorzenia. Teraz wszystko było zrozumiałe. John był jego synem! Dziwne, jak on od samego początku instynktownie czuł pociąg do tego dziecka. Mary, święta, czysta kobieta, która wszystko złożyła na ołtarzu ofiary dla dziecka. Mary i John stali się jeszcze bliżsi i drożsi jego sercu. Z każdą chwilą wyraźniej czuł swoją winę w stosunku do nich. Palił go stary grzech. W uszach dźwięczały słowa Polly: „Pan, jej przyjaciel, narzeczony, człowiek, którego całe życie nienawidziła!”.

Oczywiście, Mary musi go nienawidzić. Stracił ją — i syna!

Edwards podniósł głowę i ujrzał własną twarz w lustrze — postarzałą i szarą jak popiół. Powoli odwrócił się do Polly Drack.

Siedziała na poprzednim miejscu, przy stole, i szukała czegoś w torebce. Nie patrząc na Edwardsa, podniosła dłoń do ust i połknęła pastylkę. Później wyjęła papierosa i zapaliła gorączkowo. Dziwne to, ale Edwards nie czuł do niej nienawiści. Patrzył na nią z zaciekawieniem, starając się domyślić, co chciała osiągnąć ta kobieta? Powiedziała mu o Johnie dlatego, że powinien był o tym wiedzieć. Lecz Steve czuł, że za tym wyznaniem ukrywa się tajemnicza przyczyna.

— Czego pani sobie życzy ode mnie? — zapytał.

Papieros uspokoił Polly. Uśmiechając się, odrzekła:

— Nie powiedziałam, że chcę coś od pana.

— Nie, ale ja to wyczuwam. Czego pani chce?

Nawet Polly zabrakło bezczelności, by przedstawić swoje pretensje. Powiedziała wymijająco:

— Czy pan uważa za sprawiedliwe, bym tylko ja znosiła wszystkie trudności? Czy pan nie uważa, że powinien mi to wynagrodzić?

— W jaki sposób? — zapytał ostro Edwards. — Chce pani, bym się z nią ożenił?

— Niech Pan Bóg broni! — zaśmiała się Polly. — Z nas byłaby niedobrana para! Ale, jak pan wie, jestem w wyjątkowo ciężkim położeniu. Nie mogę przecież całe życie żyć na koszt Mary!

— Pani żąda, bym jej dał pieniądze? Żeby się wykupić od pani?

— Nie sądziłam, że pan jest taki brutalny!

— Przecież pani tego żąda?

— Trzeba żyć! — wzruszyła ramionami Polly.

Edwards patrzył na nią, zdumiony jej cynizmem i bezczelnością. Polly nie miała do niego żadnych praw. Gdyby się zachowała inaczej, Edwards na pewno pomógłby jej z litości. Lecz on nigdy w życiu nie ustąpił przed groźbą. Polly chciała go szantażować! Zachowanie jej gniewało go i jednocześnie bawiło. Chciał wiedzieć, w jaki sposób zamierza wypełnić swoją groźbę.

— Co pani zrobi, jeżeli na tę sprawę nie zechcę patrzeć z punktu widzenia pani? — zapytał.

— Powiem Mary całą prawdę o panu! — wybuchnęła Polly. — I, oczywiście, zabiorę jej Johna!

Zabierze Mary Johna! Po raz pierwszy Edwards dojrzał całą nicość Polly. Choćby nie wiadomo co, nic od niego nie dostanie! Zrobił wysiłek, by zachować spokój.

— Pani zabierze Johna siostrze, po tylu latach jej opieki i starań się o niego?

— Dlaczego nie? Przecież on jest mój. John jest bardzo miłym chłopcem, a ja... czuję się samotna.

— Lecz pani oddała go przecież Mary? Pani sama to powiedziała. Ona zastąpiła mu matkę od pierwszego dnia urodzenia.

— A jednak prawdziwą matką jestem ja. Wezmę go, jeżeli zechcę.

— To niemożliwe — zaprzeczył Edwards. — Pani go nie kocha i nigdy nie kochała. W przeciwnym razie nie porzuciłaby go.

— John jest mój...

— Nie — krzyknął Edwards rozgniewany. — Pani tylko dlatego chce go zabrać, że Mary go ubóstwia! Pani chce ją pozbawić ostatniej przyjemności!

— Panie Edwards...

— Tak jest! Mary tak wiele zrobiła dla pani, że pani nie może jej nic dać w zamian, prócz nienawiści. Tego rodzaju kobiety jak pani nie są zdolne do wdzięczności! — Jego spojrzenie i słowa paliły Polly. — Pani przez tyle lat pozwoliła jej cierpieć za swój i mój grzech. Ale teraz pani nie zabierze jej jedynej radości! Proszę nie liczyć ani na moją pomoc, ani na moje pieniądze. Znajdę sposób, by ochronić Johna przed panią! On jest moim synem i pragnę, by pozostał u Mary!

Polly zerwała się na równe nogi i odskoczyła wstecz jak oparzona. Jej plan runął! Z wściekłości i rozczarowania mąciło się jej w głowie.

— To jest pana ostatnie słowo? — zapytała, dusząc się.

— Tak... ja...

Edwards urwał. Oboje odwrócili się w stronę drzwi, które się nagle otworzyły i do pokoju wpadła Beatrycze de Salignac. Za nią stał Bob Hestings i Mary.

Rozdział XVII

WYJAŚNIENIE

Gdy przed kilkoma dniami Beatrycze odwiedziła Edwardsa przekonała się, że jej domysły odnoszące się do Polly Drack mają sens. Mało z tym, podejrzewała ją jeszcze o coś więcej, o czym Edwards nie wiedział.

Życie Mary i Johna przestało dla niej być tajemnicą. Przekonawszy się, że Polly rzeczywiście była „dziewczyną z przeszłości Steve'a" bez specjalnego trudu domyśliła się, że wyjazd siostr do Europy i urodzenie Johna było rezultatem podróży nad brzeg jeziora Louizy. Natalia Ben, nie wiedząc o tym sama, pomogła Beatrycze w tym śledztwie. Beatrycze specjalnie w tym celu zaprosiła ją na śniadanie i wypytała o wszystkie szczegóły związane ze wspólnym pobytom Benów i siostr Freeman na Zachodzie.

Daty się zgadzały...

Beatrycze zdawała sobie sprawę ze swej bezsilności. Szczyciła się przyjaźnią Steve'a i Mary i w pewnym stopniu poczuwała się do odpowiedzialności za ich szczęście. Zakochanych dzieliła straszna przepaść. Mary niczego nie podejrzewała i była gotowa ustąpić. Beatrycze wiedziała, że gdyby Edwards ponowił swoje oświadczenia, Mary by się zgodziła. Lecz wiedziała też, że Edwards teraz nie przyjdzie więcej do Mary.

Polly stanowiła zagrożenie. Życie obeszło się z nią bezlitośnie. Wróciła do Waszyngtonu rozbita, upokorzona, utraciwszy resztę sumienia i odpowiedzialności za swe czyny. Niewątpliwie, Polly postara się wykorzystać zastaną sytuację. Podśluchiwanie pod drzwiami dowodziło tego wymownie. Zbierała informacje o stosunkach Steve'a i Mary. Wkrótce wykorzystwała te wiadomości...

Mary głęboko kochała Edwardsa. Lecz czy będzie zdolna mu wybaczyć, gdy się dowie, że jest ojcem Johna, tym, który zhańbił Polly?

Beatrycze starała się postawić siebie na miejscu Mary. Ona przeżyła głęboko miłość i wiele wybaczyła. Lecz wątpliwe było, by była zdolna do kompromisów. Jest dumna i uparta, jej pojęcia o dobru i złu są zbyt surowe. Beatrycze na miejscu Mary wybaczyłaby Steve'owi i zapomniała o istnieniu Polly, ale była daleko od pewności, czy Mary postąpi podobnie. Wszystko zależało od siły jej miłości do Edwardsa. Mary nic nie robiła połowicznie. Jej miłość

i przywiązanie do Johna dowodziły tego. Czy chwyci swe szczęście, wielkodusznie przebacząc przeszłość — czy też odepchnie go na zawsze?

Beatrycze nie wiedziała. Chciała pomóc i nie mogła wymyślić, jak to zrobić. Ostrożność podszeptała jej, że trzeba uważnie śledzić Polly.

Miała mglisty plan przed sobą: zebrać wszystkich bohaterów tego dziwnego dramatu i pozostawić losowi do rozwiązania ten ciężki węzeł. Nieludzkie było pozostawić nadal Mary w niepewności. Beatrycze wiedziała, że przyjaciółka nie zdecydowała się jeszcze na napisanie listu do Edwardsa, lecz wiedziała również, że jego milczenie i nieobecność sprawiają jej dużo udręki. Taki stan nie mógł trwać długo, Beatrycze postanowiła działać.

Telefoniczna wiadomość od Hastingsa była hasłem do stoczenia batalii. Beatrycze natychmiast zadzwoniła do Mary i poprosiła ją, by się ubrała i przyjechała, bo pojedą do magazynów po zakupy. Już przygotowała grunt do decydującej rozmowy o Edwardsie.

Mary przyznała się, że w Atlantic City zabroniła surowo Steve'owi mówić o przeszłości — nie tylko o plotce Kartysa, lecz o jego osobistych uczuciach do niej. Beatrycze starała się dowiedzieć Mary, że Steve kocha ją bardziej niż przedtem i że właśnie zakaz zmusił go do rozpaczliwego kroku: do powrotu do Waszyngtonu. Mary słuchała uważnie i w końcu zgodziła się, że Beatrycze widocznie ma rację, że Edwards prawdopodobnie unikał jej z tej przyczyny. Odpowiedź Mary, która dowodziła, że miłość powoli robiła swoje, wprowadziła przyjaciółkę w zachwyty. Nie zaprzestała perswazji, dopóki ostatecznie nie przygotowała Mary do decydującego rozwiązania.

Gdy Mary siadła obok niej w samochodzie, Beatrycze rzekła niedbale:

— Po drodze do sklepów muszę zajechać do Edwardsa i oddać mu książkę. Nie masz nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie.

— Zastaniemy go w domu; nie zdąży jeszcze wyjść do Kongresu. Nie myślisz, że z twojej strony byłoby ładnie zostawić mu kilka słów?

Mary milcząc patrzyła w okno.

— A jeszcze lepiej zajdźmy do niego obydwie — zaproponowała Beatrycze. — Zostanę tam kilka chwil.

— Nie wiem, czy będzie zadowolony, gdy mnie zobaczy...

Beatrycze zaśmiała się.

— Wątpisz w to?

Mary uśmiechnęła się, lecz nie odpowiedziała.

Auto szybko mknęło po szerokiej ulicy; minęło dziwaczny biały gmach angielskiej ambasady. Zaledwie kilka sekund pozostało, by powziąć ostateczną decyzję. Rozumna Beatrycze nie nalegała, lecz, gdy samochód zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał Edwards, wyskoczyła zręcznie na trotuar i rzuciła:

— Idziesz?

— Idę — odparła Mary, wychodząc za nią.

W windzie Beatrycze myślała z trwogą o tym, że Edwards może jeszcze nie wrócił lub Polly jeszcze nie przyjechała, lub też Hastings nie wpuści ich do mieszkania. Ostatnia przeszkoda, co prawda, nie bardzo ją martwiła. Bob jako stróż nie był straszny.

Zadzwoiła do drzwi i rzekła ostrym szeptem:

— Co by się nie działo, Mary, chodź ze mną!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Teraz już za późno się cofać. Na miłość boską bez wahań, Mary, bo wszystko zepsujesz!

— Beatrycze, ja muszę wiedzieć — zaczęła Mary, lecz w tej samej chwili Hastings otworzył drzwi.

Widząc, kto przyszedł, stropił się. Polly jest — z zadowoleniem pomyślała Beatrycze i powiedziała wchodząc do przedpokoju:

— Muszę się koniecznie widzieć z panem Edwardsem.

Hastings był zbyt dobrze wychowany, by zastąpić jej drogę.

— Pan Edwards jest zajęty — odparł. — Nie mogłaby pani przyjść innym razem?

— Beatrycze! — wykrzyknęła Mary, przyciskając ręce do piersi. Zza drzwi dochodziła głośna sprzeczka!

— Pani Drack jest tutaj? — zapytała Beatrycze i spokojnie skierowała się do drzwi.

— Błagam panią! — zaczął Bob, wybiegając przed nią, lecz Beatrycze władczo go odsunęła.

Mary w zdumieniu patrzyła to na przyjaciółkę, to na Hastingsa.

— Polly tutaj! Co to ma znaczyć?

Ciekawość pokonała zmieszanie. Właśnie na to Beatrycze liczyła. Mary widziała, jak Hastings rzucił się naprzód, gdy Beatrycze ujęła klamkę drzwi.

— Proszę panią! To jest niemożliwe... Pan Edwards jest zajęty!

Lecz Beatrycze otworzyła drzwi i weszła, nie zwracając uwagi na sekretarza. Mary poszła za nią. Pewność siebie przyjaciółki dodawała jej odwagi. Rozumiała, że Beatrycze nie postąpiłaby tak, gdyby nie miała ku temu ważnych powodów.

2

W salonie było aż szaro od dymu z papierosów. Przez okna wpadały promienie słońca, niedaleko okna stała Polly, a kilka kroków od niej Steve Edwards, blady, zmęczony. Ujrawszy Mary, na jedno mgnienie oka zamknął oczy i opuścił głowę...

Dziewczyna w tej chwili zrozumiała, co oznaczało to dziwne spotkanie. Wstrząs był tak silny, że pozbawił ją przez chwilę wszelkiego uczucia. Wyraźnie widziała wszystkie drobiazgi i szczegóły w pokoju, zauważyła całą gamę zmian na twarzach Polly i Edwardsa i pojęła ich znaczenie. Słyszała wszystkie dźwięki, cykanie zegara, własny oddech, bicie swego serca. Ale nic nie czuła i sama dziwiła się swemu spokojowi.

Edwards nie poruszył się. Milczenie zdawało się trwać wiecznie. Polly wyprostowała się i niezręcznie się zaśmiała. Jej śmiech rozproszył nastrój. Beatrycze przemówiła:

— Ja jestem odpowiedzialna za wtargnięcie, panie Edwards. Pana sekretarz nie chciał mnie wpuścić...

Steve podniósł śmiertelnie bladą twarz.

— Dlaczego... pani to zrobiła? — wymówił z trudem.

— Chciałam położyć kres nieznośnej sytuacji. Przywiozłam Mary. Ona nic nie wiedziała. Lecz powinna wiedzieć...

— Tak... ma prawo — powtórzył Edwards. Przesunął ręką po oczach i zwrócił się do sekretarza, który stał w drzwiach: — Proszę nas zostawić, panie Hastings.

Beatrycze szybko spojrzała na Mary i wysunęła się z pokoju. Wypełniła to, co uważała za swój obowiązek. Więcej nie mogła nic pomóc. Mary sama musi doprowadzić walkę do końca...

Mary wreszcie powrócił dar słowa. Bez najmniejszego współczucia spojrzała na Polly i odwróciła się do Edwardsa.

— To pan... był tym człowiekiem?

Mimo woli użyła czasu przeszłego, jakby chcąc przeprowadzić granicę między Steve'em Edwardsem, którego znała, a tym, który był przewodnikiem w Rajskiej Dolinie.

Edwards w milczeniu schylił głowę. Polly zaśmiała się sztucznie. Mary szybko odwróciła się do niej:

— Czy to prawda?

— Tak.

Steve popatrzył w oczy Mary i rzekł powoli:

— Dawno powiedziałbym pani o tym, ale to była tajemnica pani Drack, a nie moja.

— Czy od dawna jest panu wiadomo, że John jest pana synem? — z trudem oddychając, zapytała Mary.

— Nic... nie wiedziałem... Pani Drack dopiero w tej chwili mi o tym powiedziała! — wyrzucił z siebie Steve w rozpacz.

Nastąpiło milczenie.

— Rozumiem! — Mary zatrzymała się, poszukując słońca. — Gdy przyszedłam tutaj, nie wiedziałam, że... was razem zastanę... i co to wszystko ma znaczyć.

Upadła na fotel i przycisnęła ręce do skroni. Edwards zaczął coś mówić, lecz Mary zatrzymała go ruchem ręki.

— Proszę chwilę poczekać — powiedziała cicho. — Muszę pomyśleć...

Pokój wirował jej przed oczami. Lata upokorzeń i cierpień walczyły z głębią uczuć i namiętnością do Edwardsa. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie powinna myśleć tylko o sobie, nie powinna pójść za głosem swych uczuć. Na pierwszym miejscu stał John. Niewinne, bezbronne dziecko...

Jego interesów musi bronić, a nie swoich! Polly zezem patrzyła na siostrę. Chcąc dowieść swego spokoju, wyjęła papierosa i zapaliła. Steve nie ruszał się, nie spuszczał z Mary ciężkiego, pełnego rozpaczyny wzroku.

Mary powoli przemówiła, jakby nie mówiąc do Polly i Edwardsa, a do słonecznej plamy na dywanie. Jej głos dźwięczał spokojnie, lecz jemu wydawało się, że po raz pierwszy go słyszy, tak mało był podobny do zwykłego głosu Mary.

— Przed kilku laty, gdy się dowiedziałam, że... to się stało — mówiła, patrząc nieruchomo przed siebie — zostawiłam siostrę w Nowym Jorku i pojechałam do Banfu w poszukiwaniu pana. Sezon nad jeziorem Louizy był zakończony. Pana nie było. Nikt nie wiedział, dokąd się pan udał. Pojechałam do Banfu w nadziei przywiezienia pana z sobą do Nowego Jorku i zmuszenia pana do małżeństwa z Polly, by wasze dziecko przyszło na świat z nazwiskiem.

Mary zrobiła pauzę, oczekując odpowiedzi. Lecz Steve milczał przygnębiony, myśląc o tym, co ona ma zamiar za chwilę powiedzieć. Polly stała przy kominku z przechyloną na bok głową, jak jakiś zapatrzony ptak.

Mary spojrzała na Edwardsa i ciągnęła dalej:

— Sytuacja od tego czasu mało się zmieniła. Pan i Polly jesteście rodzicami Johna. To, co działo się z wami po opuszczeniu jeziora Louizy, nie zmieniło waszych obowiązków w stosunku do niego. Dałam mu swoje nazwisko, gdyż innego nie posiadał. Lecz on ma prawo do pańskiego nazwiska, panie Edwards — takie samo prawo, jak przed siedmiu laty...

— Mary! — wykrzyknął Edwards. — Pani chce...

Dziewczyna zimno przerwała:

— Na szczęście moja siostra jest wolna. Zdaje mi się, że pana obowiązek jest jasny. Musi się pan ożenić z Polly i dać Johnowi swoje nazwisko, jakie mu się prawnie należy.

Edwards milczał oszołomiony wielkością nowej ofiary, jaką Mary była gotowa złożyć, wyrzekając się Johna. Wreszcie Polly wmieszała się do rozmowy.

— Niestety, mam inne plany — oświadczyła sucho.

— Jakie plany mogą być ważniejsze w porównaniu z obowiązkiem matki? — z wyrzutem zapytała Mary.

— To niemożliwe — bąknął Edwards i odwrócił się.

Mary spojrzała na niego, wstała i przeszła w stronę okna.

— To jest jedyne godne wyjście z tej sytuacji.

— Ja nie mogę... Nie jestem w stanie... — szeptał w rozpaczycy Edwards.

Dziewczyna odwróciła się.

— Pan musi!

Mary sama nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi. Odnosiła wrażenie, że jakaś wyższa siła nią kieruje. Steve podniósł umęczoną twarz.

— Proszę nie żądać tego ode mnie, Mary!

— Nie mogę postąpić inaczej — spokojnie powtórzyła dziewczyna.

— Myślę o Johnie. Jedyne tego żądam od pana. — Głos jej zadrzał.

— Nazwisko dla pana chłopca...

Ostatnie słowa wymówiła ledwie dosłyszalnie. Steve wstał, patrząc na nią z rozpaczą.

— Dla pani chłopca — i mego! — powtórzył. — Mary! Pani mnie zabija!

— Proszę przyrzec! — cicho powiedziała dziewczyna.

Edwards zatrzymał długie spojrzenie na Mary. Wytrzymała je spokojnie, bez obawy i Edwards zrozumiał, że lata cierpień dały jej siłę i wielkie męstwo duchowe, których on nie osiągnie nigdy. Tak dużo wycierpiała! Teraz prosiła, by podzielił z nią te cierpienia. Zrozumiał, że go znienawidziła za jego przeszłość. W oczach Mary oprócz bólu, odczytał jednak przyjacielskie wezwanie. Jej wola musi być dla niego prawem. Pokornie schylił głowę.

3

Polly Drack, oparta o kominek, słuchała ze zdumieniem rozmowy siostry z Edwardsem. Uśmiechnęła się drwiąco. Sprawa przyjęła dziwny obrót... Beatrycze zrujnowała jej plany, wszystko obróciła w proch. I nagle Mary zupełnie poważnie błagała Edwardsa, by się z nią ożenił! Mary tego żąda! Polly wszystkiego oczekiwała, tylko nie tego.

Ani Steve, ani Mary nie zwracali na nią uwagi, jakby była po prostu przedmiotem, a nie żywą istotą! Nie zapytali jej nawet o zdanie, a przecież ona, Polly, była równie zainteresowaną osobą w tym dramacie. Denerwował ją głupi, jej zdaniem, podniosły ton rozmowy. Cała ta historia obrzydła jej — tragizm Mary, męczeński wygląd Edwardsa. Znalazł się święty, nie ma co mówić!

— Dobrze — rzekł Edwards, chyląc głowę i zwracając się do Mary: — Postąpię tak, jak pani sobie życzy.

Polly nie wytrzymała i wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Widzę, że rozporządziliście moją osobą! Czy nie przypuszczacie, że należało wpierw spytać mnie o zgodę? Jaki sens wychodzić za mąż, jeżeli się z góry wie, że byłoby to męką? Nie mam zamiaru się poświęcać!

Edwards patrzył na nią z litością i pogardą.

— Musimy się zrozumieć wzajemnie raz na zawsze — mówiła dalej Polly. — Możecie sobie grać melodramat, lecz ja będę mówiła szczerze. Nie wyjdę za mąż za Steve'a Edwardsa. Nie życzę sobie więcej wyjść za kogokolwiek. Mam dosyć po jednym razie tej przyjemności!

Ulżywszy swemu sercu i zaznaczywszy swą samodzielność, Polly spojrzała wyzywająco na Mary. Edwardsowi powoli wracał spokój i zdolność do myślenia. Wiedział, czego żądała Polly. Czas, by Mary dowiedziała się o tym. Zapytał swym niskim głosem, który zagłuszył wrzaskliwe wykrzykniki Polly:

— Czego pani wobec tego żąda?

— Nareszcie słyszę rozsądne słowa! Czego żądam? To chyba zupełnie jasne. Pieniądzy! Obrzydła mi ta ciągła nędza. Powiedziałam panu, że będę szczerą. Chcę pieniędzy!

Nastąpiło milczenie. Mary było wstyd za siostrę.

— Jako zapłatę za co? — powoli zapytała Mary.

Polly dojrzała płomień gniewu w jej oczach, lecz wzruszyła ramionami.

— Choćby za to, że zejdem z waszej drogi! Możecie sobie zostawić Johna. Niech Steve złoży na moje konto przyzwoitą kwotę, wówczas odejdem i nie będę wam przeszkadzać!

Edwards chciał coś powiedzieć, lecz Mary mu przerwała.

— Nie! — krzyknęła, przeszywając wzrokiem Polly. — Musicie obydwójce naprawić zło, jakieście zrobili dziecku! O pieniądzach nie może być mowy! Nie dostaniesz ani dolara!

Mary przerwała by nabrać tchu, i gorąco ciągnęła dalej:

— Byłaś szczerą. Odpowiem ci tym samym. Nie ścierpię przez ciebie nowych upokorzeń. Długo nosiłam ciężar twego grzechu, ale teraz skończone! Więcej nie oczekuj ode mnie ani pomocy, ani podtrzymania. Zabraniam ci robić interes na tej sprawie. Słyszysz — zabraniam! Sama taka myśl jest hańbą. Spełnisz warunki, jakie ci podyktuję. Wyjdiesz za mąż za... za niego, lecz wyrzekniesz się wszelkich jego pieniędzy. Wasze małżeństwo jest koniecznością ze względu na Johna.

— Nie — ze śmiechem powtórzyła Polly — nie mam wcale zamiaru wychodzić za mąż.

— W takim razie musisz opuścić mój dom. Więcej nie życzę sobie ciebie widzieć i nigdy nie pomogę ci ani materialnie, ani inaczej.

Polly z przerażeniem spojrzała na siostrę, lecz szybko przysła do siebie.

— Aktorka melodramatyczna! — powiedziała z pogardą i głośno się zaśmiała.

Był to zły śmiech. Mary słyszała go już przedtem, lecz dziś czuła się niezłomna.

— Spełnisz moje żądanie albo dziś jeszcze opuścisz mój dom!

— Przypuszczasz? — kpiła Polly. — Gdybyś ty wiedziała tylko, jaka jesteś śmieszna, Mary! Ty mnie nie możesz zmusić, bym zrobiła to, czego ja nie chcę! Zawsze postępowałam tak, jak uważałam za stosowne! Nikt mnie nie może do niczego zmusić. — Głos Polly zmienił się w histeryczny wrzask: — Myślisz, że ja wyjdę za mąż dlatego, że ty tak chcesz? Nie, nie i nie! Nie zrobiłabym tego nawet wówczas, kiedy mogłam, i nie zrobię. Bo ja nie mogę... Nie mogę... Ha...ha-ha!

— Nie możesz? Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała Mary.

Polly ze złością powiedziała:

— Popelniałabym bigamię — ot i wszystko! Powiedziałam ci, że się rozwiodłam z Geo, ale to nie jest prawda! Nie otrzymałam rozwodu. Mam nadzieję, że zostawicie mnie teraz w spokoju?! O, jak ja was nienawidzę! Nienawidzę, nienawidzę!

Upadła na krzesło, łkając z bezsilnej złości i wypuściła z rąk flaszkę z „lekarstwem”. Mary popatrzyła przez chwilę, potem podniosła flaszkę z dywanu, spojrziała na etykietę i w odruchu gniewu wrzuciła ją do kominka. Flaszka rozbiła się w drobne kawałki.

Nie ma nic straszniejszego jak gniew człowieka cierpliwego. Mary zbyt długo cierpiała w milczeniu. Teraz jej oczy miały błyskawice.

Dźwięk rozbitego szkła opamiętał Polly. Wyprostowała się w fotelu. Mary stała nad nią jak karzący anioł.

— Wstydz się! — powtórzyła oddychając z trudem. — Nieszczęsna!

Polly starała się wytrzymać jej spojrzenie, ale nie mogła.

— Zdaje mi się, że będzie... lepiej, jak stąd odejdę — burknęła niewyraźnie. — Wszystko jedno, wszystko przepadło!

Wzruszyła ramionami i zwróciła się do Steve'a:

— Przypuszcza pan, że ona wyjdzie za pana, po tym, co było? Nigdy! Zawsze nienawidziła pana o wiele bardziej niż mnie. Zostawiam was samych, żebyście mogli ze sobą pomówić. Życzę ci powodzenia, Steve!

Polly wyszła z dumnie podniesioną głową i trzasnęła drzwiami. Jeszcze rozległ się jej głos i śmiech, potem nastąpiła cisza.

Mary patrzyła w okno, starając się opanować swoje wzburzenie. Powoli się odwróciła i zbliżyła do Steve'a. Jej głos brzmiał spokojnie.

— Zanim odejdę, muszę powiedzieć panu kilka słów.

— Czyż nie dość już namęczyliśmy się? — cicho zapytał Edwards.

Dziewczyna mówiła dalej, jakby nie słysząc:

— Przede wszystkim dziękuję panu za zgodę. Nie jest pana winą, że Polly odmówiła.

Steve w milczeniu schylił głowę. Mary dodała szeptem:

— Dla nas wszystkich ten dzień był decydujący. Zdaje mi się, że wszystkie cierpienia siedmiu lat skoncentrowały się dziś w tym pokoju. Przed pożegnaniem pana, chcę by pan wiedział... To, co się stało przed wielu laty, nie zmieniło moich uczuć do pana...

— Mary... jedyna...

Podniosła rękę. Jej jasny, stanowczy wzrok zatrzymał Edwardsa.

— Nie trzeba... Proszę pana! Potrzebuję pańskiej pomocy w tym, co muszę panu powiedzieć. Polly ma rację. Nasz związek jest niemożliwy. Pan to zrozumie, prawda?

— Nie... — ochryplym głosem odparł Edwards. — Nie... ja chcę mieć nadzieję.

— Pan powinien zrozumieć, że to nie może nastąpić. Przede wszystkim musimy pomyśleć o Johnie, a nie o sobie. Zapomniałabym o... pańskim grzechu, gdyby nie John.

Dziewczyna uśmiechnęła się gorzko i mówiła dalej:

— Zawsze myślałam, że moja nienawiść do pana była silniejsza niż wszystko. Teraz jednak wiem, że to nieprawda. Najsilniejszą i najpiękniejszą rzeczą w moim życiu była jednak miłość, która zniweczyła nawet nienawiść! Taką miłość czuję do pana, Steve.

— Mary! — jęknął — Daj mi...

— Nie. Nie... Niczego nie można zmienić. Ja wiem, że pan jest szlachetnym człowiekiem. Dowiódł pan tego. Lecz moja siostra stoi między nami. — Zrobiła pauzę i niezdecydowanie dodała: — Co do Johna... Napiszę. Zgodzimy się...

Edwards szybko przerwał:

— John jest pani synem — rzekł drżącym głosem. — Nikt go pani nie zabierze! Ja do niego nie mam praw. A ona nie będzie śmiała!

— O, dziękuję! Zawsze, ilekroć pan zechce, będzie go pan mógł zobaczyć, będzie do pana przychodził.

— Mary, przyprowadzaj go sama od czasu do czasu!

— Nie. Nigdy nie przyjdę. Żegnaj, Steve.

Podawała mu rękę i wyszła z pokoju.

Rozdział XVIII

MIŁOŚĆ ZWYCIEŻA

Beatrycze siedziała w gabinecie z Hestingsem i starała się rozmawiać o rzeczach błahych, ale rozmowa się nie kleiła i wciąż się rwała. Następowały niezręczne chwile milczenia. Zza drzwi dochodziły głosy. Po jakimś czasie Beatrycze wstała i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju.

— Proszę głośniejsz stuknąć na maszynie, panie Hestings! Nie powinnam słyszeć, co się tam dzieje...

Bob spojrział na nią spod rogowych okularów, mrugnął oczami i posłusznie zabrał się do pracy.

Drzwi się otworzyły. Do gabinetu wpadła Polly, histerycznie zanosząc się od śmiechu. Nie zwracając uwagi na Beatrycze, pokręciła się przed lustrem, poprawiła spiesznie kapelusz i wyszła z pokoju. Co to miało znaczyć? Hestings uśmiechnął się pod nosem i stuknął dalej na maszynie. Widocznie dla niego było czymś zwyczajnym oglądać w mieszkaniu Edwardsa rozdrażnione damy. Beatrycze zapaliła papierosa i z niecierpliwością oczekiwała, co będzie dalej. Z salonu nie dochodził żaden dźwięk. To był dobry znak. Da Bóg, Mary wreszcie porozumie się z Edwardsem...

Wreszcie wyszła i Mary. Wyglądała, jak później opowiadała Beatrycze Edwardsowi, „jak alabastrowa statua świętej”, z ciemnym blaskiem w oczach, lecz spokojna „jak gdyby tylko co się modliła u wezłowania umierającego”.

Steve pozostał w drzwiach. Beatrycze zgasiła papierosa i Hestings odprowadził je do windy.

— Mary — zaczęła Beatrycze, gdy samochód ruszył — mam nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego tak postąpiłam.

Dziewczyna dotknęła ręki przyjaciółki.

— Oczywiście, Bi. Nie mogłaś postąpić inaczej.

— Opowiedz mi Mary...

— Nie ma o czym. Żądałam, by się pobrali. Ale okazuje się, że Polly nie ma rozwodu z Geo Drackiem!

— Chwała Bogu! — wykrzyknęła Beatrycze z taką ulgą, że Mary spojrzała na nią z wyrzutem.

— Nie będziemy tego roztrząsały — powiedziała cicho. — To wszystko jest bardzo przykre. Muszę się uspokoić. Nie będziesz się gniewała, prawda?

Przy tych słowach, Mary gorąco uścisnęła rękę przyjaciółki. Beatrycze zrozumiała. Samochód zbliżał się do domu.

— A więc nie jestem ci teraz potrzebna? — zapytała smutno Beatrycze.

— Nie, kochanie. Zadzwoń do ciebie później. Do widzenia.

Mary przejawiała dużo męstwa w rozmowie z Edwardsem, świetnie panowała nad sobą przy Beatrycze. Pragnęła jednak instynktownie samotności, ciszy swego domu. Gdy się znalazła w pokoju, usiadła ciężko w ulubionym fotelu i zamarła w nieruchomej rozpacz.

Z niebywałą wyrazistością zrozumiała, że kocha Steve'a. To, co się stało wiele lat temu, nie zniechęciło jej, bo dowiódł swej szlachetności i chciał się poświęcić dla dobra dziecka i okupienia grzechu. Polly natomiast była brutalna, bez serca, pozbawiona najmniejszego poczucia moralności. Czy dla tak podłego stworzenia warto było się poświęcać, oddając młodość, swój honor i szczęście! Gorzka ironia losu!

Mary starała się pocieszyć, że nie dla Polly poświęciła siebie, a dla Johna. Zlitowała się nad losem bezbronnego dziecka...

Dopiero po tygodniu Beatrycze zobaczyła Steve'a Edwardsa. Umyślnie unikała spotkania, oczekując dobrych wiadomości, by mu je zakomunikować. Edwards zadzwonił do niej z Kongresu, prosząc o pozwolenie odwiedzenia jej.

Wydał jej się bardziej spokojny i pewniejszy. Spadł z niego ciężar. Beatrycze przyniosła herbatę i opowiedziała mu, co jej było wiadome. Po dramatycznym spotkaniu u niego obu siostr miała miejsce jeszcze bardziej dramatyczna scena. Mary mówiła o tym bardzo powściągliwie, lecz Beatrycze zrozumiała, że Polly zjawiała się u siostry rano z nowymi prośbami i obietnicami. Co jej Mary na to odpowiedziała, Beatrycze nie wie, lecz nazajutrz rano rzeczy Polly zostały wywiezione z domu i wkrótce ona sama go opuściła. Mary wyznaczyła jej pensję miesięczną — ile, nie wiedziała, ale w każdym razie więcej, niż Polly na to zasługiwała, pod warunkiem, że nie będzie robiła żadnych przeszkód w usynowieniu Johna. Beatrycze była przekonana, że Polly pozostawi teraz siostrę w spokoju. A czy Steve widział Polly Drack? Okazuje się, że widział. Polly oczekiwała na niego w jego mieszkaniu, gdy wieczorem wrócił z Kongresu. Nie chciał jej przyjąć, jednakże wyszedł do niej. Zrobiło mu się jej żal. Polly prosiła

o „pożyczenie” 1000 dolarów. Prócz tego była jej potrzebna rozbita flaszka z „lekarstwem” i mówiła coś o „receptce”.

— Narkotyk! — wykrzyknęła Beatrycze. — Jaka ohyda! No i co, dał jej pan pieniądze?

— Tysiąc dolarów to nie majątek — powiedział Edwards. — Mówiła, że jest bez grosza.

Wypisałem jej czek.

Beatrycze nie była z tego zadowolona. Dobrze, że Mary o tym nie wiedziała.

Edwards w milczeniu pił herbatę. Beatrycze wzięła z pudełka czekoladkę i też pograżyła się w rozmyślanie. Wreszcie Edwards skręcił papierosa i zapytał:

— O czym pani myśli?!

— O czym ja myślę? — zapytała Beatrycze. — Sama nie wiem, o czym mam myśleć!

Przyznam się panu, że uważam się za zwyciężoną — do czasu. Zrobiłam, co mogłam. Teraz odpoczywam.

— Jak to mam rozumieć?

— Jak pan chce! Zima jeszcze się nie skończyła!

— To bardzo zagadkowe.

— Pan przyszedł do mnie nie dlatego, by mnie odwiedzić — uśmiechnęła się — lecz dlatego, by pana nakarmić herbatą, sandwiczami i... nadzieją. Moja gościnność kończy się na sandwiczach, panie Edwards!

— Czy naprawdę myśli pani, że Mary mówiła szczerze, że nigdy się nie zgodzi?

— Oczywiście, że była szczerą! Dla Mary cały sens życia przejawia się w samozaparciu. Mnie się zdaje, że przestałaby siebie uważać za porządną kobietę, gdyby się wciąż nie poświęcała dla kogoś!

— Proszę nie kpić! Mówmy poważniej!

— Za nic! — Beatrycze znów wzięła czekoladkę. — Już od dwóch miesięcy dręcę się przez was! Teraz skończone! Nie mam zamiaru więcej się męczyć, życie jest zbyt krótkie!

— Co mam robić? — zapytał Edwards.

— Uzbroić się w cierpliwość! Proszę lepiej wziąć cukierek czekoladowy. Nic tak nie wpływa na rozwój cierpliwości, jak powolne żucie! Czy widział pan kiedy krowę na pastwisku? Leży i rusza szczękami, żuje i żuje... I jaka jest cierpliwa!

— Co pani chciała powiedzieć, mówiąc, że zima się jeszcze nie skończyła?

Beatrycze zaśmiała się.

— Tylko tyle, że pod koniec zimy lód zaczyna topnieć!

— A!

— Po zimie następuje wiosna, potem lato...

— Według pani mogę mieć nadzieję?

— Ja nic nie mówię, po prostu informuję pana o korzystnych zjawiskach. Widział pan Johna?

— Nie, ale bardzo chciałbym go zobaczyć!

— Świetnie. Jutro po śniadaniu zabiorę go od Mary i przyprowadzę panu!

— Mary nie będzie się gniewała?

— Mnie jest wszystko jedno, czy się będzie gniewała, czy nie! Pan ma swoje prawa do niego. Zrobimy razem spacer autem. Na razie nic więcej panu nie obiecuję!

3

Pąki drzew rozkwitły i wkrótce drzewa stanęły w delikatnej zieleni młodziutkiego listowia. Nadeszła wiosna. Słońce potokami zalewało szerokie ulice, klony rzucały na asfalt subtelny, koronkowy cień. W Potomacku — parku wśród kwitnących wisien szczebiotały ptaki przybyłe z południa.

Beatrycze de Salignac z zadowoleniem zwracała uwagę Mary na te zjawiska podczas wspólnych spacerów. Mary nie była już podobna do „alabastrowej statuy”. W jej duszy po długiej zimie również rozkwitła wiosna. Oczy dziewczyny jarzyły się wewnętrznym blaskiem. Obserwując ją, nie miało się już wrażenia, że ona patrzy w ciemność — raczej z mroku patrzyła na jaskrawe, oślepiające światło.

Beatrycze urządziła Edwardsowi kilka spotkań z Johnem. Powiedziała Mary, że Steve sobie tego życzy i jej zdaniem zasługuje na to, i dziewczyna się zgodziła. Ojciec spotkał się z synem w domu Beatrycze, a później spotykał się z nim w swoim mieszkaniu. Dwa, czy trzy razy Steve przyszedł na skwer Lafayette, gdzie John bawił się z boną.

Beatrycze nie mogła zapomnieć wzruszenia Edwardsa, gdy po raz pierwszy ujrzał chłopca po długiej rozłące. Szczegółowo opowiedziała o tym Mary, lecz dziewczyna zbyła ją jakimś nic nie znaczącym zdaniem. Takt Beatrycze graniczył z genialnością. Przestała zupełnie mówić z Mary o Edwardsie, unikając nawet jego imienia.

Ta taktyka poskutkowała. Mary po kilku nieśmiałych i daremnych aluzjach, mających za cel naprowadzić przyjaciółkę na temat Edwardsa, zwalczyła swoją powściągliwość.

— Jeżeli chcesz, możesz mi otwarcie powiedzieć, Bi, co o mnie myślisz — powiedziała cicho.

Stały obie na szczycie wzgórza. Beatrycze oglądała krajobraz. Nic nie powiedziała.

— No? — zapytała Mary.

— Chcesz znać moje szczere zdanie?

— Tak! Jakie by nie było, to lepsze niż twoja obojętność!

Beatrycze spojrzała na Mary, chwilę pomyślała i przemówiła gorąco:

— Nie znoszę nietolerancji, Mary! Jest to jedyna rzecz na świecie, jakiej nie uznaję. Przeszłość każdego człowieka należy tylko do niego — wszystko jedno czy jest zła, czy dobra. Ani jedna kobieta na świecie nie ma prawa, by mężczyzna był jej wierny przed jej poznaniem! To nonsens. A ty właśnie to robisz!

— Ależ... Przecież to moja siostra...

— Głupstwa gadasz! Może sobie być czyją chce siostrą. Cóż z tego? Przeciwnie, są to „okoliczności łagodzące” winę Polly. Czy ty sobie nie wyobrażasz, jak wyglądała ta cała idiotyczna idylla? Polly nudziła się na śmierć w Banfie, wyjechała nad jezioro Louizy, oszalała z nadmiaru swobody i żądzy przygód. Ty przecież znasz ją! Zawsze sobie wyobrażała, że każdy mężczyzna powinien się zakochać w niej od pierwszego spojrzenia. Nie zapominaj, że miała już doświadczenie... że już miała swoją przeszłość, choć nie chciałaś w to wierzyć. Dla nikogo w Nowym Jorku nie było tajemnicą, że miała romans z żonatym mężczyzną. Jak to on się nazywał?

— Po co o tym wspominać?

— Tylko dlatego, by cię nauczyć patrzeć na całą sprawę tak, jakby na nią spojrzała każda inna kobieta, prócz ciebie! Czyż mógł prostoduszny, wiejski chłopak, jakim wówczas był Steve, przejść do porządku dziennego nad pokusą takiego diablątka, jak Polly? Oszłomiła go swymi oryginalnościami, łąsiła się do niego, kokietowała go, przelewała potoki łez — zresztą sama wiesz, co ona potrafi!

— Czy Edwards opowiadał ci o tym? — ze wzburzeniem spytała Mary.

— Nie. Nic mi nie mówił. Ale nie jestem przecież taką naiwną by mi były potrzebne jakieś opisy! Zresztą Edwards powiedział mi, że proponował Polly małżeństwo; czekał na nią, by ją zawieźć do najbliższego kościoła i dowiedział się w hotelu, że ona wyjechała, nie zostawiając adresu!

— O!

— Tego ci nie powiedziała? Tak też przypuszczałam. Nic dziwnego, że nie zastałaś go, gdy przyjechałaś do Banfu! Opuścił hotel tego samego dnia, w najwyższej wściekłości, że został oszukany.

Mary ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

— Oczywiście, tego nie wiedziałam!

— Teraz już wiesz prawdę. Powtarzam ci to na podstawie słów samego Steve'a. Miał prawo powiedzieć mi o tym, jak ja mam prawo mówić o tym z tobą. Prosiłaś mnie o szczerść, więc muszę ci powiedzieć, że uważam twoje postępowanie za okrutne i nierozsądne!

Mary nic nie odpowiedziała, lecz w powrotnej drodze znów się odezwała:

— Bi, starałam się kierować wewnętrznym poczuciem... To wszystko było takie nieoczekiwane. Odkrycie to wstrząsnęło mną. Tego dnia coś we mnie umarło, gdy się znalazłam z tobą w mieszkaniu Edwardsa. Przestałam czuć... Po raz pierwszy ujrzałam w prawdziwym świetle Polly i Edwardsa. Pamiętam, jak byłam zdziwiona, że nie czuję do niego nienawiści. Wówczas zrozumiałam, że nie on sam jest winny. Lecz żadnych uczuć dla niego nie żywiłam. Prócz współczucia. Odkrycie to podziało na mnie jak wstrząs fizyczny, po którym nie od razu czuje się ból rany.

Mary prowadziła samochód, patrząc przed siebie, na pustą drogę. Beatrycze milczała.

— Później zaczęłam cierpieć. Rozumiesz mnie chyba? Minał wstrząs, a pozostały rany, które bolały...

Beatrycze uśmiechnęła się i na pozór lekko wtrąciła:

— W ludzkim organizmie są dziwne możliwości wyzdrowienia.

— Nie wiem... — w zamyśleniu mruknęła Mary.

Beatrycze spojrzała na przyjaciółkę. Silny, zdecydowany profil, niezupełnie regularny; na w pół otwarte usta, jakby gotowe do uśmiechu...

— Lubię pomarzyć, Mary — rzekła Beatrycze. — I przykro mi jest, że moje marzenia nie sprawdzają się. Czasem dobrze być sentymentalną. Szczególnie na wiosnę... Będę się czuła naprawdę nieszczęśliwa, jeżeli to wszystko nie skończy się pomyślnie dla ciebie i Steve'a!

— Biedna Bi! — uśmiechnęła się Mary. — Ile ci narobiłam kłopotów i udreki!

Na tym rozmowa się urwała.

4

W słoneczny majowy dzień, około godziny trzeciej po południu, Steve Edwards szedł powoli przed siebie. Myślał o swoim niedługim wyjeździe do Kolorado na wakacje. Nie widywał Mary i, wypełniając jej życzenie, nie szukał z nią spotkania, zadowolając się krótkimi chwilami spędzonymi z Johnem. Doszedł do wniosku, że John jest najcudowniejszym dzieckiem na świecie. Nie tracił nadziei zdobycia Mary wcześniej czy później. Beatrycze radziła uzbroić się w cierpliwość, lecz Edwards wyczuwał, że jego cierpliwość się kończy. Wiedząc, że wkrótce opuści Waszyngton, był gotów postawić wszystko na jedną kartę i zrobić jeszcze jedno rozpaczliwe i ostatnie usiłowanie, by zdobyć zgodę ukochanej kobiety.

Pogrążony w swych myślach szedł, nigdzie nie patrząc i nie słysząc, jak za nim rozległ się tupot dziecinnych stóp. Czyjeś ręce ujęły go za nogi. Rozległ się wesoły śmiech.

— Złapałem pana, panie Edwards, nie puszczę pana.

— John! Omal nie upadłem!

Steve podniósł chłopca do góry i odwrócił się szukając wzrokiem Francuzki. Zamiast mademoiselle Dupuy ujrzał Mary!

Postawił chłopca i stał niezdecydowany z kapeluszem w ręku. Policzki Mary zaróżowiły się lekko. Uśmiechnęła się uprzejmie.

— John stał się dużym łobuzem, prawda? — z trudem odezwał się Edwards.

— Obawiam się, że go pan zepsuł!

— Trudno go nie psuć.

Przez kilka chwil młodzi ludzie patrzyli na siebie w milczeniu, oboje zmieszani; w końcu roześmieli się.

— Pójdę z panią — powiedział Steve. — Muszę pomówić z panią o Johnie. Nie ma pani nic przeciwko temu?

— Nie.

John szedł między nimi, coś nieustannie paplając. Gdy doszli do domu, powiedział, że chce się bawić w „dziki Zachód” i pobiegł na górę ubrać się w skórzaną koszulę i kapelusz kowbojski i po lasso.

Mary zaprowadziła gościa do biblioteki. Steve zrozumiał, co chciała powiedzieć Beatrycze mówiąc, że Mary jest podobna do alabastrowej statuy. Było w niej uduchowanie i kruchość, których przedtem Edwards nie zauważył.

— Wiem o tym, że nic nie mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie; nic takiego, czego by pani już sama nie pomyślała. Nie będziemy jednak mówili o przeszłości. Ona jest skończona. Pani jest moim sędzią. Kocham panią i o tym pani wie. Lecz jest coś ważniejszego od naszej miłości. Mam na myśli Johna. Pani sobie życzy, by nosił moje nazwisko. Proszę je mu dać, Mary!

Steve zrobił krok naprzód, ku niej.

— W przyszłym tygodniu muszę udać się w podróż, a nie mogę wyjechać, nie otrzymawszy ostatecznej odpowiedzi od pani!

Mary podniosła głowę i w skupieniu patrzyła w oczy Edwardsa, który ujął jej rękę.

— Pobierzmy się, Mary! Wszystko wówczas będzie dobrze. Poświęcę ci całe życie. Tak wiele wybaczyłaś, czyż nie możesz wybaczyć jeszcze raz?

Ręka Mary zadrżała. Zachwiała się i Steve objął ją.

— Spójrz na mnie! Jestem taki sam, jaki byłem przed kilku miesiącami. Kochałaś mnie wówczas, kochasz mnie i teraz...

Powoli uniosła twarz i przymknęła oczy. Edwards ucałował jej usta.

— Tak, kocham cię — szepnęła. — Wszystko inne nie ma znaczenia. Nawet Polly...

— To był ciężki sen. Teraz obudziliśmy się!

— Mnie się też zdaje, że to sen, lecz szczęśliwy...

— Pojedziesz ze mną do Kolorado w przyszłym tygodniu!

— Gdzie tylko chcesz, choćby na koniec świata!

John na palcach schodził po schodach. W jednej ręce niósł łąso, w drugiej — nóż myśliwski. Chłopak starał się robić jak najmniej hałasu, gdyż skradał się do zdobyczy. Miał poważny, skupiony wyraz twarzy, gdy wszedł do salonu i przyczołgał się do portiery, która dzieliła salon od biblioteki. Jego ofiary stały odwrócone do niego plecami, przytulone do siebie, szepcząc coś cichutko. To trochę zdziwiło Johna, gdyż w pokoju nikogo oprócz nich nie było.

Chłopak wyprostował się i zarzucił łąso tak, jak go uczył Edwards. Pętla opadła na ramionach Steve'a i Mary. John z uśmiechem szczęścia zaciągnął pętlę...

